

Helen Dickson

*Atutowa*

*karta*

# Rozdział pierwszy

*Anglia, 1684 rok*

W tawernie „Pod Królewską Głową” przy Fleet Street dwóch ludzi grało w karty. Ktoś mógłby spytać: co w tym dziwnego? Cóż... to nie była zwyczajna gra i gracze też niezwykli.

Siedzieli sami przy stole przesiąkniętym winem w niewielkiej sali. Migotliwe światło świec wydobywało z mroku ich skupione twarze. Gracze z wielkim napięciem wpatrywali się w karty. Każde rozdanie mogło zdecydować o losie jednego z nich.

Starszy z graczy, Henry Barrington, siedział nieruchomo niczym posąg wykuty z kamienia. Przegrał już prawie wszystko. Jego towarzysz pilnie przyglądał mu się spod oka. Był dużo spokojniejszy. Przez całe dwie godziny - bo tak długo grali - nie stracił pewności siebie.

Nazywał się Marcus Reresby. Dość długo szukał Barringtona, zanim przydybał go „Pod Królewską Głową”, w miejscu

ulubionym przez działaczy Green Ribbon Club, republikanów i antypapistów. Nie było to spotkanie dwóch dawnych przyjaciół. Marcus serdecznie nienawidził Barringtona i widział w nim mordercę swego ojca. Nie miał jednak na to żadnych dowodów. Wiedział jedynie, że Barrington był uwikłany w zdradziecki spisek na życie króla Karola i jego brata Jakuba, księcia Yorku.

Barrington oczywiście zaprzeczał wszelkim oskarżeniom, lecz w jego oczach Marcus dostrzegł poczucie winy. Poczucie winy... i coś jeszcze. Coś, czego Barrington nie potrafił zwalczyć: strach. Prymitywny, zwierzęcy strach. Czego się bał? A może raczej kogo?

Marcus był gotów rozwikłać tę zagadkę, ale na razie, znając zamiłowanie Barringtona do hazardu, wciągnął go w pułapkę i zadał cios w najboleśniejże miejsce. Powoli i systematycznie odzierał go z majątku.

Nie stanowiło żadnej tajemnicy, że Barrington należy do najbogatszych ludzi w Londynie. Miał wielkie dobra i udziały w kilku spółkach handlowych. Siegał po każdą rzecz, której zapragnął, i ciągle mu było mało.

Kiedyś kształcił się na prawnika. Ambitny, wyrachowany i pozbawiony wszelkich skrupułów, mógł zrobić karierę jako prokurator. Niestety, z poglądów był republikaninem związanym z partią wigów i głośno występował przeciwko następcy tronu, katolickiemu księciu Yorku. Nie miał więc szans, aby w tej sytuacji politycznej zagrozić miejsce w królewskiej palestrze.

Barrington spojrział na ostatnią kartę, którą trzymał w ręku. Grube krople potu spływały mu po czole. Marcus Reresby

okazał się groźnym graczem. Bez trudu zepchnął Barringtona do obrony. Przez cały czas spokojnie kontrolował sytuację i beznamietnym wzrokiem patrzył na swoją ofiarę, od czasu do czasu rzucając zgryźliwe uwagi.

- Guzdrzesz się, Barrington - zabrzmiał chłodny głos Marcusa.

Barrington cisnął kartę na stół. Twarz wykrzywił mu grymas złości. Miał ochotę udusić swojego przeciwnika, zetrzeć mu z gęby ten paskudny uśmiezek i w ten sposób odpłacić za poniżenie. Zamiast tego oparł się o blat i wstał z wymuszoną godnością.

- Zaczekaj. - Słowa Marcusa niczym ostrze brzytwy przecięły ciszę, panującą w niewielkiej salce. - Jeszcze nie skończyliśmy.

Barrington zamarł w bezruchu i skierował czujne spojrzenie na Marcusa. Zastanawiał się, o co mu może chodzić.

- Masz córkę, Barrington - powoli powiedział Marcus. - Z tego, co słyszałem, dziewczę niebiańskiej urody.

Wszystkim było wiadomo, że stary bogacz ubóstwiał swoją żonę. Po jej śmierci córka została przy ojcu. Barrington widział w jedynaczkę podobieństwo do zmarłej żony i nie spieszył się, aby ją wydać za mąż. Marcus postanowił zadać mu ostatnie pchnięcie.

Barrington wyczuł jego intencje. Mało ci, młokosie, że ograbiłeś mnie z pieniędzy? - myślał. Zachciewa ci się mojej córki?

- No to co? - spytał.

Marcus popatrzył na niego bez wyrazu.

- Chciałbym wiedzieć, co się z nią stanie, skoro zabrałem jej dziedzictwo.

- Nie twoja sprawa, Reresby.

- A jednak z chęcią się tym zajmę - odparł Marcus i wyciągnął przed siebie długie nogi w butach do konnej jazdy.

- Żądam wyjaśnień.

- Mam czułe serce. Dam ci ostatnią szansę odzyskania choć części majątku. Zagrajmy jeszcze jedną partię, tym razem o honor twojej córki.

Barrington zmrużył oczy.

- Mam kupczyć własnym dzieckiem?

- Właśnie - cicho potwierdził Marcus z utajoną groźbą. - Powiedziałem, że mam czułe serce. Jeśli wyciągniesz wyższą kartę, aż do śmierci zatrzymasz cały swój majątek, ale ja wezmę twoją córkę na tak długo, jak tylko zechcę.

Barrington łypnął na niego ponuro.

- Nigdy - syknął. - Po to zrobiłeś mnie nędzarzem, żeby mi teraz wszystko zwrócić?

- Poczekaj, jeszcze nie skończyłem. Jeśli ja wygram, spiszesz zeznanie, w którym potwierdzisz swoją zdradę i bez oporu oddasz się w ręce sprawiedliwości.

- Ach, o to chodzi... A moja córka?

- Pozostanie nietknięta jak w dniu narodzin.

Marcus się uśmiechnął, ale w jego oczach nie było ani śladu wesołości. Wzrok miał zimny i mówił oschłym tonem, nieśpiesznie cedząc słowa.

- Sam widzisz, że nie możesz ze mną wygrać. Jeżeli jednak

przyjmiesz moje wyzwanie i będziesz miał łut szczęścia, to przynajmniej zachowasz wszystkie swoje dobra.

Barrington skrzywił się nerwowo.

- Ty zaś w tym czasie zaczniesz się zabawiać z moją córką. Dlaczego miałbym się na to zgodzić?

- Bo lubisz hazard. Nie odrzucisz takiej propozycji.

Barrington z nienawiścią myślał o słowach Marcusa. Przeciwnik wpędził go w pułapkę, z której praktycznie nie było wyjścia. Chyba że... pomyślał Barrington, chyba że dołączyć do moich towarzyszy w Holandii. Już nieraz chciał wyjechać. Był przecież zaledwie pomniejszym członkiem spisku i pozbył się głównego świadka, starego Reresby'ego. Mógł zatem czuć się względnie bezpieczny, tym bardziej że oskarżenie o zdradę wymagało co najmniej dwóch zeznań.

Wbił wzrok w stół, by wyrazem twarzy nie zdradzić się przed Marcusem. Ciekawe... Za wszelką cenę chciał wygrać, bez względu na okoliczności. Zresztą praktycznie nie miał wyboru. Jeśli zaś chodzi o Catherine... Barrington uśmiechnął się w duchu. Jeszcze nie wszystko stracone. Tak jak powiedział Marcus, przy odrobinie szczęścia mógł odzyskać majątek. Czyli w zasadzie to, co teraz najważniejsze. A córka? Cóż, Marcus nie znał całej prawdy.

Wbrew pozorom Barrington od lat usiłował zapomnieć, że ma córkę. Jej obecność sprawiała mu niewymowną przykrość. Owszem, do ludzi zawsze wyrażał się o niej z najgłębszą miłością, ale były to pozory. Jedyne garść najbliższych przyjaciół dziewczyny w pełni zdawała sobie sprawę z rzeczywistych uczuć Barringtona. Marcus na pewno nic o tym nie wiedział.

Niech więc się cieszy swoją „zemstą”, pomyślał stary Chytrus. Tak będzie nawet lepiej. -

- Obrażasz mnie, Reresby. Moja córka jest niewinna.

- Dobrze wiesz, co cię czeka, jeśli odrzucisz moją propozycję.

- Obawiam się, że zbyt mocno jesteś zaślepiiony nienawiścią

- odparł Barrington, z powrotem siadając na krześle. Wreszcie zobaczył promyk nadziei, czuł się więc nieco spokojniejszy.

- Mogę postawić własne warunki?

- Słucham.

- Jeżeli wygram, pozwolisz mi zachować majątek, ale w zamian poślubisz Catherine. Nie chcę, żeby ją wytykano palcami. Jako twoja żona, nie zazna poniżenia. - Prawdę mówiąc, zupełnie nie dbał o to, co się stanie z jego przesłodką Catherine. Nawet do głowy mu nie przyszło, żeby ją spytać, co też myśli o spodziewanym zamążpójściu.

Marcus obrzucił go uważnym spojrzeniem.

- Co takiego? Chcesz mnie obarczyć nią na resztę życia?

Nic z tego, Barrington.

- Może poczekaj, aż skończę mówić. Jeżeli wygrasz, wyjawię ci wszystko, co wiem o śmierci twego ojca. Poznasz nazwisko człowieka, który trzymał sztylet.

Tego Marcus się nie spodziewał. Nawet na to nie liczył, gdy siadał do karcianego stolika. Gdyby teraz się wycofał, wróg byłby znowu górą. Owszem, mógł przyjąć stawkę, ale w razie przegranej Barrington zachowałby cały swój majątek, a on musiałby poślubić jego córkę. W pierwszej chwili zamierzał stanowczo pokręcić głową. Potem jed-

nak pomyślał i westchnął głęboko. Pokusa była zbyt wielka. Wszak mieli równe szanse, a on za wszelką cenę pragnął się dowiedzieć, kto zabił jego ojca.

- Zgoda - mruknął po dłuższej chwili.

- Jeszcze jedno, Reresby - powiedział Barrington. Marcus przypatrywał mu się bez słowa. - Jeśli wygrasz, nie będzie żadnego oficjalnego zeznania. Dowiesz się, czego zechcesz, ale w zamian dasz mi słowo honoru, że nie przeszkodzisz mi w wyjeździe z kraju.

- Masz na to moje słowo. Prędzej czy później, zdradzi cię któryś z kompanów. Wzorem mojego ojca jestem dżentelmenem i nie splamię nazwiska fałszywą przysięgą. Nie zwykłem łamać słowa. Bez względu na ostateczny wynik tej rozgrywki, twój majątek w całości już należy do mnie. Mimo to pozwolę ci z niego korzystać. Zgadzasz się?

Barrington skinął głową.

- Ale na tym nie koniec - zastrzegł. - Targuję się dalej. Powiedzmy, że wyciągnę wyższą kartę. Wtedy poślubisz moją córkę, ale pozwolisz jej pozostać ze mną. Chcę resztę życia spędzić we względnym spokoju. Po mojej śmierci weźmiesz, co twoje. - Nie wiedzieć czemu, z niechęcią myślał o jakiegokolwiek głębszej zażyłości pomiędzy dwojgiem młodych. Być może, bał się gniewu zmarłej żony. Wiedział, że gęsto będzie musiał się tłumaczyć, kiedy stanie przed nią w zaświatach.

Marcus pokiwał głową.

- Niech będzie.

Widział śmierć wypisaną na ziemistej twarzy przeciwnika. Barrington był bardzo chory - dokuczliwa niemoc zjadała mu



trzewia. Nie pozostało mu zbyt wiele życia. Mógł wygrać bitwę, lecz w rzeczywistości już przegrał swoją małą wojnę.

Marcus przez chwilę miał wrażenie, że dzieje się coś dziwnego. Oderwał wzrok od Barringtona i spojrzał w stronę wejścia. Siedział bez ruchu, jakby przekonany, że ktoś ich obserwuje. Ale za drzwiami dostrzegł tylko ciemną plamę z pełgającymi ognikami świec. Powoli wzruszył ramionami i znów popatrzył na swojego wroga.

Henry Barrington niespiesznie, z wyraźnym ociąganiem, drżącą ręką przełożył karty i odwrócił talię. Wyciągnął damę pik. Całkiem niezłe. Odniósł wrażenie, że ciasna pętla, którą szykował dla niego kat z Tyburn, trochę zaczęła się rozluźniać. Nadeszła kolej na Marcusa. Barrington czekał w ogromnym napięciu, wodząc oczami za ręką młodzieńca. Marcus przerażająco wolno pokazał swoją kartę.

Walet kier.

Przegrał.

Barrington lekko się uśmiechnął. Smakował swój triumf.

- Kości rzucone, Reresby. Nie możesz się wycofać. No cóż...  
Twoja młodzieńcza duma i smutek po stracie ojca sprawiły, że popełniłeś błąd, którego będziesz żałował przez lata.

Marcus w duchu przyznał mu rację.

Barringtonowie od pięciu pokoleń mieszkali w imponującej rezydencji koło Richmond, nad samym brzegiem Tamizy. Dom nosił nazwę Riverside House. Był wspaniały - otoczony u wejścia starymi drzewami, duży, z czerwonej cegły, w holenderskim stylu. Wnętrza emanowały ciepłem. Henry

Barrington nigdy nie skąpił pieniędzy na cenne dzieła sztuki z najdalszych zakątków świata, na wygodne meble i barwne gobeliny, sprowadzane z Brukseli. Na ścianach wisiały płótna malowane przez najsławniejszych mistrzów.

Noc była ciemna, kiedy późną porą przed bramą Riverside House stanęły dwa powozy. Siedemnastoletnia Catherine już smacznie spała, wtulona w miękką pościel na ogromnym łożu. Nie widziała czarno odzianych postaci, szybko zmierzających w stronę rezydencji. Twarde obcasy zachrząściły ostro na zamarznętej ziemi. Chwilę później do sypialni Catherine weszła jej stara piastunka, Alice Parks. Potrząsnęła za ramię swoją panią.

- Obudź się, Catherine - szepnęła natarczywie.

Dziewczyna z wolna otworzyła oczy i przeciągnęła się niczym leniwa kotka.

- Alice? Co ty tu robisz? Przecież jest środek nocy - zamruczała sennie. Odwróciła się na drugi bok i naciągnęła kołdrę na głowę. Była zła, że ją obudzono. We śnie widziała twarz swego ukochanego Harry'ego Stapletona.

- Obudź się - nalegała Alice, znów potrząsając ją za ramię.  
- Twój ojciec właśnie wrócił do domu. Chce, żebyś natychmiast przyszła.

Catherine zaraz oprzytomniała na dźwięk słowa „ojciec”.

- O tej porze? - spytała. Usiadła na łożku i odrzuciła kołdrę na bok.

- Tak. Zdaje się, że nie jest w najlepszym nastroju. - Alice podała jej suknię. - Wzywa cię do kaplicy i... chyba powinnaś wiedzieć, że jest z nim ktoś jeszcze.

Catherine bez słowa narzuciła na siebie luźną domową suknię i wsunęła stopy w miękkie pantofelki. Serce waliło jej jak oszalałe, kiedy szła długą galerią w stronę schodów. Niemal bez tchu zbiegła po szerokich stopniach. Kaplica była bardzo mała, ciasna i wilgotna, przesiąknięta zapachem pleśni. Znać, że od dawna nikt tu nie zaglądał. Catherine wzdygnęła się, czując chłodny powiew. Nieco ukryta za wiszącą w przejściu haftowaną kotarą, przystanęła na chwilę, żeby spojrzeć na to, co działo się w środku. Blask zapalonych świec budził czarne cienie, tańczące na ścianach. Błada łuna wisiała nad ławkami i niewielkim ołtarzem.

Powoli weszła do kaplicy. Dostrzegła kilka osób, stojących pod ścianą, ale spoglądała wyłącznie na Barringtona. W jej sercu nie było miłości. Nie pragnęła podbiec do ojca. Dla niej był odległą, mało znaną postacią, zawsze chłodną, ponurą i nieprzystępną. Ostatnio nie widziała go już parę tygodni. Teraz zauważyła, że się postarzał; schudł, przybladł - i miał głęboko zapadnięte oczy. Wyglądał jak u progu śmierci.

W kaplicy panowała napięta atmosfera. Catherine szła powoli, niczym w transie, zastanawiając się, po co ją wezwano. Krok za krokiem zbliżała się w stronę kręgu światła i z napięciem czekała, że ktoś się odezwie. Wokoło panowało jednak głucho milczenie.

Henry stanął tuż przed nią. Nawet cień uśmiechu nie rozjaśniał jego ściągniętej, ponurej i złej twarzy. Spojrzał na córkę. Przesunął wzrokiem po jej postaci, ze zdumieniem patrząc na zmiany, które ostatnio zaszły w jej wyglądzie. Już nie była małą dziewczynką, lecz dorosłą panną o nieco eg-

zotycznej urodzie. Do złudzenia przypominała matkę. Barington niespodziewanie poczuł, że coś ściska go za serce. Do tej pory tęsknił za zmarłą żoną, Therese. Prawdę mówiąc, za jej śmierć obwiniał właśnie córkę. Może to sprawiło, że tak bardzo odsunął się od Catherine? Mógł ją spokojnie oddać w ręce Reresby'ego. To była chyba jedyna część jego majątku, z którą rozstawał się bez żalu.

- Posłałeś po mnie, ojciec - cicho odezwała się Catherine.

- Tak. Jest tu ktoś, kogo musisz poznać. Wiem, że już późno, ale to sprawa niecierpiąca zwłoki.

Catherine odwróciła się w stronę człowieka, który wyszedł z mroku. Przez chwilę nie widziała nikogo poza nim. Był to barczysty, wysoki młodzieniec, cały odziany w czerń, przystojny, tryskający energią i siłą witalną. Powitał ją śmiałym, otwartym spojrzeniem. W jego ciemnych oczach czaiło się coś, co sprawiło, że głęboki rumieniec zabarwił policzki Catherine. Czuła się przytłoczona aurą męskiej władzy, bijącą od niego.

Młodzieniec postąpił naprzód. Włosy miał gęste i długie. Końce ciemnych kędziorów opadały mu aż na kołnierz płaszczka. Lekko orli nos i zacięte usta sprawiały, że jego twarz nabrała groźnego uroku. Catherine odruchowo dała krok do tyłu. Młodzieniec bez uśmiechu lekko skinał jej głową i odwrócił się, jakby to krótkie spotkanie miało mu wystarczyć.

Zapewne Catherine byłaby zdumiona, gdyby ktoś jej powiedział, że wywarła wielkie wrażenie na Marcusie. Z dużym trudem zachował pozorną obojętność. Dopiero dzisiaj miał okazję naocznie się przekonać, że w pogłoskach o jej urodzie

nie było krzty przesady. Stała przed nim tak piękna, niewinna i czysta... Jej włosy były czarne niczym skrzydło kruka i długie jak grzywa przedniego rumaka. Nosek miała niewielki i lekko zadarty, twarz zaś owalną, o nieco wystających kościach policzkowych. Miękkie, drobne wargi bardzo się różniły od karminowych ust dam na królewskim dworze. Młode, lecz jędrne piersi wypychały stanik luźnej sukni, a ciemnozielone oczy jaśniały wewnętrznym blaskiem, zdającym się rozświetlać ponurą kaplicę. W tej chwili widniało w nich zaciekawienie zmieszane ze strachem. Mimo to dumnie uniosła głowę, patrząc na Marcusa.

Młodzieniec początkowo wcale nie zamierzał wciągać jej w intrygę. Teraz, kiedy ją poznał, miał pretensję do siebie, że chyba postąpił jednak zbyt okrutnie. Nie miał prawa jej krzywdzić. Ale cóż, przyjął warunki Barringtona i tym samym pozbawił się drogi odwrotu. Musiał pojąć ją za żonę. Stał więc przed ołtarzem, ale nie bardziej od oblubienicy palił się do ślubu.

Cierpliwość nigdy nie była jego główną cnotą, tym razem także wzruszył ramionami i mruknął zgryźliwie:

- Pospiesz się, Barrington. Już późno. Muszę być gdzie indziej.

Catherine drgnęła na dźwięk jego głosu. Był głęboki i władczy, jakby już od dawna przywykł do wydawania komend.

- Niech cię diabli, Resesby. Daj mi przynajmniej chwilę.

Marcus gniewnym ruchem trzepnął rękawicami w dłoń i zniknął w ciemnościach.

- Zawiadom mnie, kiedy będziesz gotów - rzucił przez ramię.

Henry stanął przed córką. Na pewno widział obawę w jej oczach, lecz nie kwapił się ze słowami pocieszenia.

- Dlaczego kazałeś mi przyjść do kaplicy, ojcze? - zapytała Catherine. Jak przez mgłę docierało do niej, że dzieje się coś złego. Coś z pogranicza koszmarnego snu. - Kim jest ten człowiek? Czego tu szuka?

- Ciebie, moja droga - chłodno odparł Henry. - Ciebie.

- Nic nie rozumiem - powiedziała roztrzęsionym głosem.

- Co uczyniłeś, ojcze? Jeszcze raz pytam: kto to taki?

- Nazywa się Marcus Resesby. Za chwilę go poślubisz.

Catherine przycisnęła rękę do piersi. Miała wrażenie, że zemdleje. Wzięła głęboki oddech i z ogromnym trudem próbowała pozbierać myśli.

- Przecież miałam wyjść za Harry'ego Stapletona. Dałeś nam swoją zgodę. Powiedziałeś, że to dobra partia.

Henry skrzywił się z gniewem i zniecierpliwieniem.

- Możesz zapomnieć o Stapletonie. Zmieniłem zdanie. Chcę, żebyś w zamian wyszła za Resesby'ego.

- Obiecałeś mnie Harry'emu! - krzyknęła Catherine, niepomna na złość ojca.

- Już nie. Jesteś jeszcze bardzo młoda, moja droga, i nie rozumiesz wielu ważnych spraw. W tym momencie twoje osobiste chęci nie mają żadnego znaczenia. Być może później ci to wyjaśnię. Teraz masz mnie słuchać. Poślubisz Resesby'ego.

- Jak możesz tego ode mnie oczekiwać? - zawołała z niedowierzaniem. - Przecież mam pełne prawo znać powody tak nagłej decyzji!

- Za późno. Zakończyłem już przygotowania. Przyszykuj się.

Catherine zeszywniała ze strachu. Cała krew odpłynęła jej z policzków. Pragnęła tylko Harry'ego i od lat była przekonana, że nic nie może tego zmienić. Kochała go dziewczęcą miłością, pełną oddania i najszczerzej pasji. Nie wyobrażała sobie innego męża. Harry lub nikt - to było dla niej jedyne rozwiązanie.

Spojrzała na niewielkie grono osób, które przybyły do kaplicy. Nie rozpoznała nikogo. Skuliła się niczym zgoniony zając, kiedy dopadną go ogary. Co miała zrobić? Dostrzegła schowaną w cieniu Alice. Na pomarszczonej twarzy piastunki malował się wyraz głębokiej troski. Znikąd pomocy... Catherine ponownie spojrzała na ojca.

- Nie zrobię tego - oznajmiła stanowczo. - Nie wyjdę za zupełnie obcego człowieka!

- Twoje kaprysy mnie nie obchodzą. Dzisiaj zostaniesz jego żoną. To już postanowione.

Catherine zmarszczyła delikatne brwi.

- Ale dlaczego?! - Pierwszy raz w życiu sprzeciwiła się rozkazom ojca. Henry popatrzył na córkę lodowatym wzrokiem. Catherine poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. Mimo to nie chciała na całe życie związać się z człowiekiem, którego dopiero co ujrzała. - Ojczy, błagam... Nie zmuszaj mnie do tego. Zrobię wszystko, co tylko zechcesz... z tym jednym wyjątkiem. - Henry próbował się odwrócić, ale chwyciła go za ramię i zmusiła, żeby na nią spojrzał. - Błagam! - powtórzyła głośniej. - Kocham Harry'ego. Chcę, aby był moim mężem!

Henry Barrington pozostał głuchy na prośby córki. Odtrącił jej rękę z taką siłą, że Catherine straciła równowagę i upadła na kolana.

- Kochasz? - syknął ze złością. - A gdzie tu mowa o miłości? Takie uczucia są dla głupców. Miłość to tylko zaślepienie, które na ogół nie pozwala ludziom dostrzegać brudów codziennego życia. Liczy się władza i majątek. To nas chroni. A teraz wstań i nie rób z siebie widowiska, Catherine.

- Och, ojciec - szepnęła załamana - aż tak bardzo mnie nienawidzisz? Oddajesz mnie w ręce człowieka, którego nigdy w życiu nie widziałam. Nie zapytasz nawet o moje uczucia?

Henry obojętnie odwrócił się od niej i podszedł do ołtarza, przy którym trwały już ostatnie przygotowania do ceremonii.

Catherine wciąż klęczała na kamiennej posadzce. Czuła chłód, przenikający przez jej cienką suknię, ale nie zwracała na to najmniejszej uwagi. Nie wiedziała, jak długo trwała w tej pozycji. Nagle ktoś wziął ją za zimną jak lód rękę i energicznym ruchem postawił na nogi. Był to Marcus Reresby.

- Proszę nie wpadać w rozpacz, panno Barrington - powiedział łagodnym tonem.

Nie zdziwił się, kiedy Catherine gwałtownie wyrwała rękę z jego dłoni. W jej oczach połyskiwały łzy. Mimo to dzielnie powstrzymywała się od płaczu.

- To nie potrwa długo - dorzucił Marcus. - Nie musi pani się obawiać. Może od razu powiem, że odejdę zaraz po zakończeniu ceremonii. Nie zobaczymy się dość długo.

Catherine przyjrzała mu się nieco uważniej. Miał jakby zasmuconą minę. Czyżby jej współczuł? Tego nie wiedziała.



Pozwoliła, by ją podprowadził do stopni ołtarza. Pastor już zakończył przygotowania i nie zamierzał nikomu zadawać trudnych pytań. Drobną sumą, którą przyjął za swoje usługi, sprawiła, że nie miał wyrzutów sumienia. Catherine poczuła, że coś ją ściska w gardle.

Marcus stanął kolo niej przed ołtarzem i z ukosa spojrzal na oblubienicę, która wyprostowała się z niekłamaną dumą. Nie przymykała oczu, ale wojowniczo patrzyła przed siebie. Marcus spozierał na nią z rosnącym podziwem. Nie płakała nad swoim losem, choć na pewno bała się tego, co ją czeka. W najtrudniejszej chwili umiała zachować godność.

Pastor monotonicznie recytował kościelne formuły. Przez ten czas Catherine stała nieruchomo niczym posąg. Jej twarz nie wyrażała najmniejszych emocji. Odpędziła od siebie myśli i uczucia. Tylko raz łzy niechcący nabiegły do jej oczu, kiedy wyobraziła sobie reakcję Harry'ego na wieść o tym, że już nigdy nie będą małżeństwem. Tęskniła za jasnowłosym chłopcem, któremu wyznała miłość - i który też ją kochał. Miała cichą nadzieję, że zdoła jej przebaczyć.

Uroczystość dobiegła końca. Pastor rozłożył ręce i odszedł od ołtarza.

- Wszystkiego najlepszego. Odejdźcie w pokoju.

Catherine, nagle zaślepiona łzami, odwróciła się szybko i potknęła o suknię. Zachwiała się, lecz w tej samej chwili Marcus po raz drugi przytrzymał ją za ramię. Zerknęła w dół i zobaczyła szczupłą męską dłoń ze starannie wypielegnowanymi paznokciami. Zła, że niepotrzebnie okazała słabość, odskoczyła od męża i gwałtownie przycisnęła rękę do siebie.

Nie spodobało mu się, ale nie dał tego po sobie poznać. Na jego ustach błądził cień uśmiechu, lecz Catherine już tego nie widziała. Patrzyła w inną stronę.

- Jako twój mąż, mam obowiązek wyjaśnić ci, co tutaj zaszło - powiedział Marcus. - Powinnaś wiedzieć, czego od ciebie oczekuję.

Catherine pomału odzyskała rezon. Nie uśmiechała się. Kamiennym wzrokiem popatrzyła na stojącego przed nią młodzieńca.

- Czego ode mnie oczekujesz? Wcale nie musisz tego mówić, panie.

Marcus niedbale wzruszył ramionami.

- Szczerze rozumiem twoją niechęć do małżeństwa.

Catherine była do tego stopnia zdumiona jego odpowiedzią, że zapomniała nawet o postępku ojca. Marcus zachowywał się tak, jakby zupełnie nie dbał o to, co się stało.

- Wybacz, panie, lecz mimo wszystko nie czuję się twoją żoną. Nigdy do tego by nie doszło, gdyby pozostawiono mi wybór.

- A jednak jesteś moją żoną - odparł cicho i uśmiechnął się prowokująco.

Catherine z trudem panowała nad wściekłością.

- Boleję nad tym - odpowiedziała przez zaciśnięte zęby. - To małżeństwo zostało zawarte pod przymusem i postaram się, żeby trwało jak najkrócej.

- Och, nie... - łagodnie zaprotestował Marcus i obrzucił ją taksującym wzrokiem. - Catherine - w jego głosie pobrzmiwała lekka drwina - jesteś piękną młodą kobietą,

godną najwyższego pożądanego. Dlaczego miałbym się z tobą rozwieść?

- W takim razie, Bóg mi świadkiem, zamienię nasz związek w koszmar. Stanę się zimna i nieczuła. Poznasz mnie z jak najgorszej strony. W oczach Boga i ludzi być może jestem twoja, lecz nie ukrywam, że kocham kogoś innego i nigdy nie przestanę kochać. Moje serce należy do mnie i mam prawo rozporządzać nim wedle własnej woli.

Marcus nie przestawał kpiąco się uśmiechać. Nieznacznie skinął głową, jakby w pełni uznawał jej racje.

- W takim razie, moja pani żono, zostawiam cię w spokoju do czasu, aż twój ojciec stanie przed obliczem stwórcy.

Odwrocił się, żeby ukryć przed nią uczucie, które go ogarnęło wtedy, gdy pastor połączył ich dłonie. Nie było w tym niewczesnej żądzy ani zdumienia, że jej skóra jest tak jedwabście miękka, lecz raczej odruch opiekuńczy, całkiem nieznanymu mu do tej pory.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że jego żona jest zupełnie inna niż kobiety, z którymi do tej pory miewał do czynienia. Była uparta i niezależna, z silnym poczuciem własnej godności. Nie udawała płochej kokietki jak większość jej rówieśnic. Otwarcie dała wyraz swej niechęci. Znienawidziła go, bo stanął jej na drodze do szczęśliwej przyszłości u boku Harry'ego Stapletona - czy jak tam się nazywał ów wybranek.

Marcus uchodził za przystojnego. Bóg nie poskąpił mu męskiej urody i niemal od najmłodszych lat budził zachwyty kobiet. Niejedna przekonywała go, że ma w sobie coś takiego, czym potrafi podbić serce każdej niewiasty. Nawet nie wątpił,

że ta sama sztuka udałaby się z Catherine. Potrzeba było tylko nieco czasu.

Catherine na miękkich nogach dotarła do wyjścia. W progu zatrzymała się i spozrzała za siebie, słysząc głos ojca. Była jednak już za daleko, żeby rozróżnić poszczególne słowa.

- Jak tam, Reresby? Wydaje mi się, że dobiliśmy targu ku obopólnemu zadowoleniu... chociaż doprawdy szkoda, że nie dowiesz się, kto zabił twojego ojca. Może następnym razem będziesz mniej pochopnie stawiał tak wiele spraw na jedną kartę. Zbytnią pewność siebie czasami nie popłaca.

- Nie zasługujesz nawet na pogardę, Barrington. Potraktowałem cię stanowczo za łagodnie. Trzeba mi było z tobą skończyć, póki jeszcze miałem szansę.

Henry roześmiał się ponurym, nieprzyjemnym śmiechem.

- Święte słowa, Reresby. Biorąc pod uwagę wszystkie za i przeciw, okazałeś się dla mnie niesłuchanie hojny. Gdyby było na odwrót, nie uszedłbyś z życiem. Co myślisz o mojej córce? Sam przyznasz, że to miła dziewczka. - Znowu zaśmiał się urągliwie. - Pomyśl, ile z nią zaznasz szczęścia tuż po mojej śmierci! Zapomniałem cię ostrzec, że moja Catherine to niepokorna młódka, która zalezie ci za skórę. Nawet na polu bitwy nie spotkasz gorszego przeciwnika.

- Miła i piękna. Przyznaję - spokojnie odparł Marcus. - Aż dziw bierze, że potrafiłeś spłodzić tak urocze dziewczę. Dzisiaj przy kartach napomknąłem o niej, bo nie przypuszczałem, że zechcesz się z nią rozstać. Każdy na twoim miejscu oddałby majątek, byle tylko zachować tak wdzięczną istotę. Myliłem się. Niestety... To naprawdę rzadkość, aby ktoś grał o honor

własnej córki. Większość ojców wolałaby się smażyć w piekle, niż zrobić to co ty. A jednak tak się stało. Niech ci Bóg przebaczy, Barrington, bo w oczach Catherine nie znajdziesz usprawiedliwienia.

Henry wzruszył ramionami.

- Nigdy nie miałem do niej cierpliwości. Wieczne wydatki i tak dalej... A ty myślałeś, że to córeczka tatusia!

- Mój błąd, moja strata - sentencjonalnie zauważył Marcus.  
- Mimo to nadal będę szukał mordercy ojca. Dobrze wiem, że działaliście w zмовie. Na pewno go znajdę. To tylko kwestia czasu.

Henry uśmiechnął się z wyraźną kpina.

- Tak? Powinieneś wiedzieć, że porywasz się na niemożliwe. Ostrzegam cię, Reresby. Lepiej uważaj na siebie. Człowiek, którego poszukujesz, jest bardzo niebezpieczny. Jeśli będziesz deptał mu po piętach, łatwo sam możesz stracić życie.

- Nie boję się zbrodniarzy. - Marcus odwrócił głowę, jakby sam nie do końca wierzył własnym słowom. Naciągnął rękawice. - Dotrzymam naszej umowy. Będę tylko z daleka patrzył, jak bardzo cierpisz, wiedząc, że dosłownie wszystko, co kiedyś posiadałeś, od tej chwili należy do mnie. Jesteś bankrutem, Barrington. Więcej mnie nie zobaczysz. - Z daleka skłonił się stojącej na boku Catherine i energicznym krokiem opuścił kaplicę.

Catherine z ciężkim sercem poszła do swojej sypialni. Jej dotychczasowe życie legło w gruzach. Wiedziała, że od dzisiaj będzie czekać na nieuchronny powrót niechcianego męża.

Czuła się niczym skazaniec stojący pod drzewem wisielców w Tyburn. Nagle znalazła się w obcym dla siebie świecie. W miejscu, którego nie mogła rozpoznać. Opuszczona przez wszystkich, stanęła przy oknie i wbiła wzrok w ciemność. Jeszcze tego wieczoru przed pójściem do łóżka miała głowę pełną różnych planów i marzeń. Teraz straciła na zawsze kochanego Harry'ego i została żoną obcego człowieka. To było nie do zniesienia.

Uniosła dłoń. Prawie nie pamiętała chwili, w której lord Reresby wsunął jej obrączkę na palec. Miała wrażenie, że to nie jej ręka. Po pewnym czasie przypomniała sobie przebieg tamtych zdarzeń. Z początku miała zaciśniętą pięść... Pan młody musiał jej rozginać palce, żeby dopełnić ceremonii. Był bardzo silny, męski i zdecydowany. I umiał patrzeć ludziom prosto w oczy.

Król Karol II zmarł na niewydolność nerek po czterech dniach spędzonych w łóżku. Jego następcą został Jakub II, znienawidzony przez partię wigów. Jakub otwarcie podtrzymywał związki z Kościołem katolickim, choć na spotkaniu z Radą Stanu w zaimprovizowanej mowie zapewniał dostojników, że będzie rządził zgodnie z prawem. Mówił, że w pełni zdaje sobie sprawę, ile monarchia ma do zawdzięczenia wszystkim anglikanom. Przyrzekł im spokój i ochronę.

Wkrótce jednak wyszło na jaw, że chociaż chronił anglikanów, nie zamierzał się sprzeciwiać praktykowaniu innych wyznań - ma się rozumieć, chrześcijańskich. Tym całkiem różnił się w poglądach od nietolerancyjnego brata. Faworyzował

katolików, rozdając im funkcje na dworze, różne urzędy i posady. Drażnił tym potężnych wrogów. Nic więc dziwnego, że opozycja zaczęła się rozglądać za kimś innym.

Zastanawiano się, kogo wybrać na następnego króla. Jedni z nadzieją spoglądali na Wilhelma Orańskiego, wnuka Karola I. Żoną Wilhelma była córka obecnego króla, Maria. Innym bardziej podobał się przystojny i szarmancki książę Monmouth, James Scott, najstarszy z nieślubnych synów Karola II. Kłopot w tym, że obecnie przebywał na wygnaniu w Niderlandach.

Catherine, przebywająca w posiadłości Riverside House, miała całkiem inne kłopoty na głowie i nie przejmowała się walką o władzę. Harry wciąż nic nie wiedział o jej małżeństwie. Nie mówiła mu o tym, jakby w ten sposób chciała na zawsze zatrzeć pamięć o tamtej nieszczęsnej nocy. Nie wspominała o Marcusie. To było zbyt bolesne. Nie chciała stracić Harry'ego. Dobrze wiedziała, że na wieść o jej ślubie biedny chłopiec wpadłby w czarną rozpacz.

Henry Barrington uciekł z kraju, zanim drzwi na dobre zamknęły się za Marcusem. Osiadł w Holandii i tam przez czternaście długich miesięcy walczył z chorobą i bólem. Co raz bardziej zapadał na zdrowiu. Catherine wiedziała o tym z listów przysyłanych jej przez sekretarza. Nie wzruszały jej cierpienia ojca. Nie pojechałaby do niego, gdyby ją błagał o przybycie. Na szczęście tego nie uczynił. Być może, pojednał się z Bogiem, ale nie z córką. Na to było już za późno.

Tymczasem Harry też zamierzał wybrać się za morze. Chciał jechać do Brukseli i tam dołączyć do stronników księcia

Monmoutha. Catherine westchnęła ciężko, słysząc tę nowinę. Jak miała nadal znosić cierpienia, pozbawiona jedynej prawdziwej miłości?

Catherine z niepokojem popatrzyła na siedzącego przed nią mężczyznę. Siwowłosa Alexander Soames ciężko wsparł dłoń o biurko i zatroskanym wzrokiem spojrzął na testament Henry'ego Barringtona. Był wyraźnie czymś poruszony. Zachowywał się inaczej niż zazwyczaj. W tym momencie Catherine już wiedziała, że stało się coś niedobrego. Pan Soames od lat był jej przyjacielem i doradcą prawnym Barringtonów.

Ciągle patrzył w papiery. Zdawał sobie sprawę, że Henry nigdy nie pałał miłością do córki. Nie podejrzewał jednak, że wspomniana niechęć sięga aż tak głęboko. Oczywiście już wcześniej znał treść testamentu. Czternaście miesięcy temu na żądanie Henry'ego sporządził całkiem nową wersję dokumentu. Nie mógł w to uwierzyć... Barrington przegrał wszystko, łącznie z wianem córki.

Soames uniósł głowę znad testamentu i zerknął na Catherine, siedzącą sztywno w fotelu. Dziewczyna ma charakter, pomyślał mimo woli. Wie, jak się zachować.

- Chciałbym ci tego oszczędzić, moja droga - zaczął. - Niestety, nie mogę. No cóż, twój ojciec był zupełnym bankrutem. Cały jego majątek, do ostatniego pensa, jest teraz własnością twojego męża, Marcusa Resesby'ego.

Catherine w wielkim napięciu słuchała słów Soamesa. Przez czternaście miesięcy starała się zapomnieć o nieszczęsnym Marcusie, a on tymczasem wracał zupełnie nieproszony.



Niczym widmo unosił się nad jej skołataną głową. Bezskutecznie usiłowała go wyrzucić z pamięci.

- Rozumiem - powiedziała wolno. Mimo zdenerwowania udało jej się zapanować nad drżeniem głosu. - Wszystko zagarnął lord Reresby, nawet należną mi część spadku. - Uśmiechnęła się ironicznie. - Nieźle się obłowił. Nie dość, że zabrał mi wolność, to jeszcze obdarł mnie z dziedzictwa. Poślubiłam potwora, panie Soames. Kto mnie potępi za to, jeśli poszukam miłości gdzie indziej?

- Uważaj, Catherine. Gdybyś to zrobiła, nie ręczę za skutki. Pozwól, że ci opowiem wszystko, co wiem na temat lorda Reresby'ego.

- Skoro pan musi - odpowiedziała sucho. Wcale nie kryła niechęci do człowieka, który formalnie był jej mężem.

- Chyba oceniasz go zbyt surowo. To dzielny żołnierz, który zasłużył się wielokrotnie w walkach toczonych w Szkocji i w Tangerze. Bardzo lubiany. Człowiek honoru...

- Honoru? Wolne żarty - z niesmakiem wtrąciła Catherine.

- Nie ma pojęcia o honorze. Zwłaszcza po wszystkim, co mi zrobił.

- Wiem, co to dla ciebie znaczy, moja droga. Lord Reresby jest bardzo bogatym człowiekiem, chociaż był czas, że jego rodzinny majątek ucierpiał, a zwłaszcza podczas wojny domowej. Ród Reresby zawsze wiernie stał po stronie króla. Ojciec Marcusa należał do ścisłego kręgu zaufanych doradców najpierw Karola Pierwszego, a potem jego syna. Król przywrócił mu dobra i poprzednie znaczenie. Po śmierci ojca twój mąż odziedziczył posiadłość Saxton Court w Somerset.

Catherine słuchała tego z całkowitą obojętnością. Pochwały Soamesa nie wywarły na niej żadnego wrażenia. Wstała z fotela, przeszła na drugą stronę pokoju i niewidzącym wzrokiem spojrzała przez okno.

- Jak to się stało? - zapytała. - Jak do tego doszło, że musiałam wyjść za lorda Reresby'ego? - Odwróciła się i popatrzyła na starego prawnika. - Przecież pan wie o tym. Prawda, panie Soames? Proszę niczego przede mną nie ukrywać. Chcę wiedzieć, co mnie jeszcze czeka. Wszak doskonale znał pan uczucia mego ojca, więc nie musimy być oszczędni w słowach. Wiem, że mnie winił za śmierć mojej matki. Pan też na pewno nieraz o tym słyszał.

Soames skinął głową. Catherine miała rację. Żona Henry'ego wydała ostatnie tchnienie tuż po narodzinach córki. Ale co dalej? Obrzucił wzrokiem stojącą przed nim młodziutką kobietę. Domagała się prawdy. Owszem, to całkiem zrozumiałe. Jednak on wiedział tylko tyle, ile usłyszał od Barringtona. Zapewne nawet nie połowę.

- Twój ojciec przegrał majątek w karty. Dosłownie wszystko, co miał.

- Wszystko?

- Tak! - potwierdził z mocą pan Soames. - Był zagorzałym hazardzistą. Nie umiał się powstrzymać. Stuk kości lub szelest kart wprawiał go w stan podniecenia. Zawsze grał wysoko. Zresztą, w ten właśnie sposób zgromadził znaczną część swojej fortuny. Rzadko przegrywał. Ostatnio doszło do tego podczas rozgrywki z Reresbym.

Catherine zebrała wszystkie siły, żeby zadać pytanie,

które nieuchronnie cisnęło jej się na usta. Obawiała się odpowiedzi.

- A co ze mną? O co w tym chodzi?

- Co prawda, nie znam wszystkich faktów, ale spróbuję ci to jakoś wyjaśnić. Z tego, co mówił mi twój ojciec, lord Reresby miał już pewne plany, zanim zasiedli do stolika. Zamierzał zniszczyć Barringtonów. Z jakich powodów? Tego nie wiem. Podobno Henry zrobił mu coś złego. Widzisz, twój ojciec nie był zbyt lubiany. Poprzez poglądy zamknął sobie drogę do świata wielkiej polityki. Wierzył więc w siłę pieniądza. Krótko mówiąc, kupował władzę. To przysporzyło mu dodatkowych wrogów.

- O tym akurat zawsze wiedziałam - zauważyła Catherine.

- Niech mi pan jednak powie coś więcej o tamtym spotkaniu - dodała niecierpliwie. Chciała to już mieć za sobą. - Co wtedy zaszło?

- Twój ojciec zgrał się do cna. Stracił majątek. Końcowa partia miała ostatecznie zdecydować o jego losie. O twoim także, moja droga. Gdyby ją przegrał, miał podpisać pewne zeznanie, którego żądał lord Reresby.

Catherine zmarszczyła czoło.

- Zeznanie? Nic nie rozumiem. Do czego miał się przyznać?

- Do zdrady stanu - cicho odparł pan Soames.

Catherine popatrzyła na niego z przerażeniem. Oskarżenie o zdradę stanu mogło oznaczać tylko jedno: spisek przeciwko władcy. Zbrodnię karaną śmiercią, pohańbieniem i utratą mienia.

- Henry jednak odmówił - ciągnął pan Soames - i postawił własne warunki. W razie wygranej chciał do chwili śmierci zachować majątek. Domagał się też, aby lord Reresby pojął cię za żonę. W pierwszej wersji miałaś być jego kochanką.

Catherine słuchała tego z rosnącym osłupieniem. Stała jak sparaliżowana.

- Oczywiście - powiedziała sucho. - A gdyby to Reresby wygrał? Co wtedy?

- Niestety, tego mi nie wyjawiono.

- Twierdzi pan, że cała moja przyszłość zależała od jednej karty?

Pan Soames pokiwał głową.

- I kto wygrał?

- Twój ojciec.

Zimna dłoń spoczęła na sercu Catherine. Opowieść pana Soamesa rozzłościła ją do tego stopnia, że była niemal chora z wściekłości.

- Był tam ktoś jeszcze? - zapytała drżącym z gniewu głosem. - Są jacyś świadkowie mojego poniżenia? Są tacy, którzy wiedzą, w jaki sposób zostałam żoną lorda Reresby'ego? Którzy wiedzą, że ojciec zerwał mnie w środku nocy, zaciągnął do kaplicy i zmusił do małżeństwa, chociaż błagałam go, by odstąpił od swoich zamiarów?

- Z tego, co wiem, byli zupełnie sami. Nie masz się czego wstydzić, moja droga.

Catherine nie posiadała się ze złości. Stanęła tyłem do Soamesa i po cichu miotała najgorsze przekleństwa pod

adresem Marcusa Reresby'ego. Wreszcie uspokoiła się na tyle, żeby podjąć rozmowę.

- Lord Reresby to skończony drań! Nienawidzę go. Nienawidzę! - zawołała z taką mocą, że pan Soames spojrział na nią z zaskoczeniem. - Doprawdy szkoda, że nie wiedział, jak naprawdę wyglądały moje stosunki z ojcem. Może nie byłby taki chętny, aby mnie wciągać w swoje machinacje. Ale... - zastanowiła się przez chwilę - po co to całe zamieszanie? Jeśli mój ojciec rzeczywiście popełnił jakąś straszną zbrodnię, to Reresby mógł go po prostu oddać władzom.

- To dużo bardziej skomplikowana sprawa, niż by się wydawało na pierwszy rzut oka - odpowiedział Soames. - Niestety, nie znam wszystkich szczegółów. Jedno co wiem, to że Reresby na pewno zdawał sobie sprawę ze swych czynów.

- O co oskarża się mojego ojca?

- Moim zdaniem, był zamieszany w spisek na życie króla Karola i jego brata, ówczesnego księcia Yorku. Zapewne nawet ty słyszałaś o tej sprawie, bo swego czasu było o niej bardzo głośno. Zabójcy mieli czekać na drodze z Newmarket do Londynu, w pobliżu domu zwanego „The Rye”, którego właścicielem był stary zwolennik Cromwella.

- Tak, wiem o tym. Słyszałam też, że pożar, który wybuchł w stajniach hrabiego Sunderlanda i strawił pół Newmarket, zmusił króla do wcześniejszego powrotu do Londynu. Wyjazd przyspieszono aż o cały tydzień. Spiskowcy nie byli przygotowani na taki obrót sprawy i wszystko się wydało. Niektórych z nich stracono potem na szafocie. Mam rację?

- Owszem, ale innym udało się uciec.

- Jednego nadal nie rozumiem. Jeżeli ojciec naprawdę był uwikłany w spisek, to dlaczego Reresby tego nie ujawnił?

- Ha! W tym właśnie tkwi cała tajemnica. Coś mi się zdaje, że twój mąż działał z innych, bardziej osobistych przyczyn. Zapewne kierowała nim chęć zemsty. Wierzę, że kiedyś dowiesz się całej prawdy. Może wtedy, gdy poznasz go odrobinę lepiej?

- Przeklęty lord Reresby! Nie chcę go poznawać - z tępym uporem powiedziała Catherine. Nie zamierzała bliżej wiązać się z człowiekiem, który w jej oczach uosabiał całe zło tego świata. To on przyczynił się do jej nieszczęścia. - Nic mu nie mogę ofiarować i nie zostanę z nim do końca życia. Lepiej mi będzie w czyścicu. - Ogarnęła ją rozpacz. - Nie zniosę tego. Chcę być wolna. Chcę unieważnić to małżeństwo.

Pan Soames przez dłuższą chwilę przypatrywał się jej bez słowa. Cóż miał powiedzieć? Nie mógł jej pocieszyć.

- Wedle Kościoła jesteś jego żoną - przypomniał cicho. - Nie ma najmniejszej mowy o rozwodzie, bo do tego jest potrzebna oddzielna uchwała parlamentu. Akt unieważnienia jest nie mniej trudny do zdobycia. Ale... powiedzmy, że dostaniesz zgodę duchowieństwa. Jak potem zamierzasz żyć, Catherine? Nie masz niczego, oprócz klejnotów, które kiedyś należały do twojej matki i niewielkiej sumy, za małej na twoje potrzeby.

To była ostatnia kropla, która przepełniła czarę goryczy. Catherine przez kilka sekund stała z zapiętym tchem, przyciskając rękę do piersi. Jak to? - myślała. Nie ma przede mną żadnej drogi ucieczki? Nie mogę porzucić Reresby'ego? Nagle,

niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, przed jej oczami pojawiła się uśmiechnięta twarz Harry'ego.

Harry. Ten jedyny, którego kochała całym sercem. Syn bogatej i szanowanej protestanckiej rodziny z Richmond. Catherine naraz przypomniała sobie, że to właśnie na dziś zaplanował podróż do Hagi. Właśnie, to było rozwiązanie. Postanowiła z nim jechać. Powinni być razem. Na dobrą sprawę już nie miała nic więcej do stracenia. Zrobiło jej się lżej na sercu. Westchnęła cicho i leciutko uśmiechnęła się do własnych myśli.

- Alice - powiedziała Catherine, kiedy wróciła do sypialni po pożegnaniu pana Soamesa. - Szybko spakuj mi kilka sukien i parę niezbędnych drobiazgów, które mogą przydać się w podróży.

Alice gwałtownie uniosła głowę.

- Gdzie? W podróży? A dokąd to, jeśli wolno spytać?

- Do Holandii.

Piastunka przerwała swoje zajęcie i spojrzała na nią z osłupieniem.

- Co takiego? Twój mąż może się tu zjawić w każdej chwili. Będzie się gniewał.

Catherine się skrzywiła.

- I co z tego?

- Uciekasz przed nim?

- Tak. To prawda. Nie zamierzam tutaj biernie czekać na lorda Reresby'ego. Nigdy nie będę jego żoną. Nigdy - powtórzyła z buńczucznym uporem. - Kocham Harry'ego i z nim zostanę.

Podeszła do szafy i zaczęła przetrząsać suknie. Kilka z nich od razu rzuciła na łóżko.

- Ojciec leży w grobie, Alice. Sama chcę pokierować moim dalszym życiem. Chcę i muszę. A w tym życiu nie ma miejsca dla lorda Reresby'ego. Harry wyjeżdża dziś do Hagi, żeby wesprzeć sprawę księcia Monmoutha. Pojadę z nim.

Alice przypatrywała jej się z zatroskaniem i dezaprobatą. Należała do upartych, ale prawdomównych kobiet i od lat już nie cackała się ze swoją panią.

- Nie, Catherine. Nie wolno ci tak postępować. Nic dobrego z tego nie wyniknie. Zobaczysz, kiedyś wspomnisz moje słowa. Jesteś mężatką. Masz obowiązki wobec męża.

Catherine położyła na łóżku następną suknię i spojrzała na starą piastunkę. Poczuła wzruszenie. Alice była dla niej bardzo dobra. W pewnym sensie zastępowała nieobecną matkę. Gdyby nie ona, życie Catherine wyglądałoby całkiem inaczej.

- Obowiązki? Nie. - Podeszła do Alice i uściśnęła ją serdecznie. - Muszę jechać. Bóg z tobą, Alice. Wiele ci zawdzięczam. Mam wobec ciebie dług, którego zapewne nigdy nie zdołam spłacić.

- Dobrze wiesz, że kocham cię jak własne dziecko, Catherine. Nic mi nie jesteś winna. - Alice uśmiechnęła się do niej przez łzy i odsunęła się na długość ręki.

- Jestem. Nie zaprzeczaj. Obiecuję ci, że napiszę, jak tylko dotrę do Holandii. Ojciec przed śmiercią mieszkał u sir Percivala Tippetta i jego żony. Sir Percival zawsze był dla mnie bardzo miły. Na pewno nie odmówi mi krótkiej gościny. A potem przyjedziesz do mnie.



Alice cofnęła się o parę kroków i rąbkiem fartucha otarła oczy.

- Moja maleńka piękna Catherine. Zawsze chciałaś postawić na swoim. Powiedz, jak będziesz podróżować?

- Pojadę konno.

- A co mam powiedzieć twojemu mężowi?

Catherine wzruszyła ramionami.

- Najlepiej prawdę. Pewnie i tak zmusiłby cię do tego. Po co więc z nim się szarpać?

Alice przypomniała sobie wysokiego młodzieńca, którego widziała w kaplicy. W blasku świateł miał w sobie coś z diabła, chociaż na pewno każda chrześcijanka z chęcią oddałaby mu duszę. Każda z wyjątkiem Catherine...

- Będzie cię szukał.

Zimny dreszcz przebiegł po plecach Catherine. Wyobraziła sobie gniew Marcusa. Ale spotkanie z nim byłoby jeszcze gorsze. W oczach Catherine zamigotały gniewne błyski.

- Niech szuka - wycodziła przez zaciśnięte zęby. - Na pewno jest zdolny do tego. Mogę jedynie mieć nadzieję, że zanim w końcu mnie dogoni, przed tym trafi na dno piekła.

## Rozdział drugi

- Gdzie moja żona? - huknął Marcus tuż po przybyciu do Riverside House.

Był w Londynie, kiedy nadeszła wieść o zgonie Henry'ego Barringtona. Przyjął to bez emocji. Nie miał żadnych wyrzutów sumienia i nie obawiał się złośliwych duchów. Zbyt często myślał o wydarzeniach sprzed półtora roku i o śmierci ojca. Chęć zemsty przytłumiła w nim inne, cieplejsze uczucia. Szukał mordercy - a ów morderca spiskował z Barringtonem.

Przy pierwszej okazji wyjechał z Londynu. Catherine miała dość czasu, by przywyknąć do myśli o tym, że jest zamężna. Teraz czekały ją zwykłe, małżeńskie obowiązki.

Marcus wyprostował całą swą potężną postać. W pierwszej chwili nie wierzył własnym uszom, gdy panna Parks poinformowała go o nieobecności Catherine. Jego śniada twarz pociemniała jeszcze bardziej.

- Co to za bzdury? - spytał. - Jak to jej nie ma?

Alice odruchowo cofnęła się o pół kroku, przestraszona.

- Pani Catherine wyjechała - powtórzyła stłumionym głosem.

- Kiedy?

- Wczoraj w południe.

- W takim razie zapytam: gdzie mogę ją znaleźć? Tylko mi nie kłam...

Stara piastunka rozgniewała się na takie podejrzenie i dumnie uniosła głowę.

- Nie zwykłam kłamać, panie. Nie mam ku temu żadnych powodów. Pani Catherine wybrała się w podróż do Holandii, do Hagi.

- Do Hagi? - Marcus groźnie zmarszczył brwi. - A czemuż to, na Boga, akurat do Hagi? - zadudnił donośnym głosem. - Tuszę, że nie podróżuje sama. Kto więc jej towarzyszy?

Alice w milczeniu pochyliła głowę. Marcus pokiwał głową.

- Chodzi o niego, prawda? - zapytał niskim, nieprzyjemnym głosem. - O Harry'ego Stapletona?

- Tak - potwierdziła Alice.

Marcus z najwyższym trudem zapanował nad zdenerwowaniem.

- Na Boga! Przepraszam za moje zachowanie - dodał najspokojniej, jak potrafił. - Przecież doskonale wiedziała, że przyjadę do niej, kiedy tylko dowiem się o śmierci Henry'ego Barringtona.

- Tak. Próbowalam ją odwieść od tego zamiaru. Tłumaczyłam, że Harry jest dla niej stracony. Nie chciała mnie słuchać. - Alice nerwowo zatarła dłonie i popatrzyła na stojącego przed nią młodzieńca. W jej oczach widać było niekłamana troskę. - Lordzie Resesby, znam Catherine od dziecka. Przedtem usługiwałam jej matce. Zawsze było z niej czupurne dziewczę, lecz

tym razem naprawdę się o nią boję. Widzi pan, Harry pojechał tam, by poprzeć sprawę Jamesa, księcia Monmoutha.

Marcus drgnął, zdumiony tym nagłym wyznaniem. Bez słowa zaczął przechadzać się po pokoju. Od dawna wiedział, że Catherine nie będzie potulną żoną, bez słowa skargi spełniającą wszelkie polecenia męża. Na to miała w sobie zbyt wiele niepokornego ducha. Była piękna i z charakterem - uparta, dzielna i zbuntowana. Jednak, bez względu na nietypowe okoliczności ślubu, należała do niego. Do nikogo więcej. Harry Stapleton musiał się pilnować, żeby przypadkiem nie popełnić czegoś głupiego.

Marcus z trudem pohamował wybuch gniewu. Pierwszy raz w życiu był tak wściekły. Zawsze starał się dobrze traktować przyjaciół, znajomych i służbę, lecz jego temperament nigdy nie został wystawiony na tak ciężką próbę. Młodzian nie mógł znieść myśli, że został odrzucony przez piękną kobietę, w dodatku przez własną żonę!

Zatrzymał się i spojrzał na struchlałą Alice. Policzek zadrgał mu nerwowo.

- Twoja pani zachowała się wyjątkowo złośliwie i nieodpowiedzialnie. Natychmiast wyruszam do Hagi, żeby sprowadzić ją z powrotem. Szczerze mówiąc, nie grzeszę nadmiarem cierpliwości. Miejsce żony powinno być zawsze przy mężu. Mam nadzieję, że pierwszy i ostatni raz będę musiał uganiać się za nią gdzieś po Europie.

- Jeszcze chwilę, milordzie - z wahaniem powiedziała Alice. Widząc złość w zachowaniu lorda Reresby'ego, obawiała się, że Catherine może nieświadomie sprowokować go do jeszcze

gwałtowniejszych czynów. Nie chciała, aby jej wychowanicę spotkała krzywda.

Marcus był już w połowie drogi do drzwi, ale zatrzymał się i z wyczekiwaniem popatrzył na piastunkę.

- Catherine dorastała praktycznie bez opieki ojca - zaczęła Alice. - Szybko stała się niezależna i potrafiła postawić na swoim. Pierwszą przeszkodą w jej życiu stało się małżeństwo. Nigdy przedtem nikt jej się tak bardzo nie sprzeciwił. Na dodatek przegrała. Poczowała się bezradna. To było dla niej zupełnie nieznane doświadczenie. Przez ostatnie miesiące z uporem udawała, że nic się nie zmieniło. Błagam cię, milordzie, miej to na uwadze i nie traktuj jej zbyt surowo, kiedy się spotkacie.

Ta prośba, wygłoszona cichym i smutnym głosem, głęboko poruszyła lorda Reresby'ego. Z uwagą przyjrzał się starej piastunce. Alice odwzajemniła spojrzenie. Całkiem przystojny chłopak, pomyślała, chociaż ubłocony i nieco potargany. Widać galopem przebył całą drogę z Londynu. Ale w gniewie był groźny... W głębi serca Alice bała się o Catherine, chociaż jej wychowanicę też niczego nie brakowało. Charakterek miała podobny do Reresby'ego. Niestety, w bezpośrednim starciu była skazana na przegraną. Wszelki opór mógł tylko rozdrażnić jej męża, i to chyba najbardziej martwiło Alice.

Marcus Reresby zdawał się w pełni wyczuwać jej obawy, bo uśmiechnął się i lekko skinął głową.

- Zapamiętam te słowa, panno Parks. W rzeczy samej, nie zamierzam być sędzią i katem własnej żony - obiecał poważnym tonem. - Chcę jedynie sprowadzić ją na właściwą drogę.

Mam nadzieję, że później nie będzie między nami żadnych nieporozumień. Doceniam pani troskę, panno Parks, i domyślałam się, jak silne więzy łączą panią z Catherine. Woli pani pozostać przy niej? W takim razie, za moją zgodą, zamieszka pani w Saxton Court. Na razie nie wiem, co się dalej stanie z Riverside House. Dom będzie zamknięty, póki nie porozmawiam z żoną.

Alice odetchnęła z ulgą. W oczach młodzieńca dostrzegła coś, co do pewnego stopnia rozproszyło jej wątpliwości.

- Dziękuję. Z chęcią się przeprowadzę. Póki co, nie chciałybym zostawiać Catherine.

Marcus wracał do Londynu w ponurym nastroju. Złość, która w nim przygasła po rozmowie z Alice, jakiś czas później odezwała się ze wzmożoną siłą. Po wielu latach spędzonych w służbie ojczyzny i króla chciał odejść z wojska i resztę życia spędzić spokojnie w Saxton Court, wraz z żoną i gromadką dzieci. Czyż nie miał prawa do odrobiny spokoju i wytchnienia? Niestety, Catherine chciała mu to odebrać. Zanim dojechał do Londynu, wymyślił chyba z pięć sposobów, jak też poskromić krnąbrną żonę i dać jej dobrą lekcję na przyszłość. Powoli odzyskiwał humor. Szczerze mówiąc, był coraz bardziej przekonany, że Catherine zacznie go słuchać.

Poszukiwania w Hadze zakończyły się wizytą Marcusa w dużym stylowym domu, w którym trwał bal wydany przez bogatych wygnańców politycznych na cześć księcia Monmoutha, Jamesa Scotta. Większość gości nie kryła przekona-

nia, że księżę powinien siłą obalić króla Jakuba i sam zasiąść na tronie Anglii.

Na parkiecie w takt skocznej muzyki wirowały dziesiątki roztańczonych par. Marcus spod oka zerknął na niewątpliwie przystojnego księcia, tańczącego ze swoją kochanką, lady Henriettą Wentworth. Z bliska rzeczywiście wyglądał na potomka Stuartów. Miał lekko zaokrągloną brodę i zmysłowe usta charakterystyczne dla wielu członków rodziny. Marcus szedł skrajem parkietu, z nieuchwytną pogardą spoglądając na rozbawionych gości. Chwilę później zobaczył tę, której szukał.

Stanął jak wryty, wręcz zachwycony widokiem swojej żony. Miał wrażenie, że patrzy na cenne dzieło sztuki. Jeszcze nigdy nie widział tak pięknej i powabnej twarzy.

Nagle poczuł ukłucie zazdrości. Nie był przygotowany na taką reakcję. Do Catherine podszedł jakiś młody człowiek, skłonił się i powiodł ją do tańca. Prawdopodobnie był to Harry Stapleton. Catherine wdzięcznie skinęła głową i podała mu ramię. Stapleton uśmiechnął się do niej i przez cały taniec nie odrywał oczu od swojej partnerki. Catherine poruszała się lekko jak skowronek. Jej wybranek był młody, krzepki i przystojny. Wpatrywał się w nią jak zaczarowany, ona zaś promieniała niekłamanym szczęściem. Naprawdę była zakochana. Lekko muskała rękę Stapletona, jakby gładziła najcenniejszy klejnot. Cóż, przecież to dla niego porzuciła wszystko i niemal w jednej sukni uciekła do Holandii...

Marcus powoli ruszył w dalszy obchód, ale wciąż patrzył na żonę. Zdążył już poznać wiele kobiet, lecz Catherine była całkiem inna. Nigdy nie widział piękniejszej od niej. Długie

czarne włosy miała upięte z tyłu i przewiązane złotą wstążką. Do tego suknia ze złotej satyny, zdobiona sutą złotą koronką. Głęboko wcięty dekolt odsłaniał kształtne piersi. Gładka skóra połyskiwała w blasku świec niczym najprzedniejszy jedwab. Tak, Catherine Barrington, a ściślej Reresby już nie była dziewczynką. Stała się piękną młodą kobietą, zgrabną, zmysłową i chyba w pełni świadomą swojej urody. I należała do Marcusa.

W kaplicy pachniała niczym świeża róża. Kiedy jej dłoń spoczęła w jego ręku, wydawała mu się zimna i krucha. Teraz na tej samej dłoni widniał pierścionek z zielonym kamieniem. Chyba zielonym jak jej oczy. Marcus nie mógł tego sprawdzić, bo była trochę za daleko. Ślubna obrączka zniknęła.

Lord Reresby przyglądał się tańczącej żonie. Nagle ktoś energicznym krokiem zbliżył się do niego.

- Marcus! - zawołał sir Roger Danby, widząc szwagra wśród rozbawionych gości. Uśmiechnął się z wielką radością.  
- Skąd się tu wzięłeś? Dawno jesteś w Hadze?

Reresby dostrzegł go dopiero teraz. Sir Roger był bogatym bławatnikiem z Somerset i mężem jego siostry.

- Niecałą dobę - odparł i serdecznie uścisnął dłoń szwagra.  
- Cieszę się, że cię widzę, Roger. Co cię tu sprowadza? Nie przypuszczałem, że też trafisz do tego gniazda malkontentów.

- Po prostu byłem w Rotterdamie. Sam wiesz, jak to jest w interesach. Na szczęście jutro wracam do Anglii i wcale tego nie żałuję - dodał już nieco poważniejszym tonem. - Tu źle się czuję. To miejsce kojarzy mi się z wielkim mrowiskiem. Będą kłopoty, ja ci to mówię.



Marcus obojętnie wzruszył ramionami.

- Takie kłopoty są zawsze i wszędzie. Wprawdzie mój pobyt w Holandii nie ma nic wspólnego z polityką, ale muszę przyznać, że zachowanie większości obecnych tu osób niedwuznacznie wskazuje na to, że mamy do czynienia z wrogami króla Jakuba.

- To prawda. Pamiętasz może, że król Karol aż do dnia nagłej zapaści cieszył się wyśmienitym zdrowiem? Oczywiście zaraz gruchnęła plotka, że został otruty przez Jakuba, W Holandii panuje nastrój zdecydowanie antykatolicki. Wszyscy chcą hurmem wrócić do Anglii, wiodąc z sobą protestanckiego króla. Któż się nadaje lepiej do tej roli niżli nieślubny syn Karola? O ile naprawdę jest nieślubny. Sam w to nie wierzę, ale chodzą słuchy, że Karol jednak w tajemnicy pojął za żonę jego matkę, Lucy Walter. Monmouth ma zatem prawo do tronu.

- Zwykłe oszustwo - z nieskrywaną niechęcią zauważył Marcus. - Monmouth jest rozpieszczony i zepsuty. Nawet jeśli zostanie królem, to na dobrą sprawę niczego nie poprawi. Wręcz przeciwnie, jest gorszy od obecnego władcy. Brak mu zdecydowania i wiary w siebie. Wyróżnia go tylko to, że jest protestantem. Dlatego zyskał taki poklask wśród wrogów katolicyzmu.

- Ale jego aspiracje stają się coraz większe. Dużo zasługi w tym hrabiego Argyle, który od dawna nosi się z zamiarem powrotu do zachodniej Szkocji, aby tam wznieść bunt przeciwko Jakubowi. W tym samym czasie Monmouth miałby najechać Anglię. Argyle aż pali się do rebelii. James odwrotnie,

nie ma na to zbyt wielkiej ochoty. Dobrze mu w Holandii. Obrasta w tłuszcz, nie ma żadnych zmartwień i cieszy się wdziękami swojej kochanki, lady Henrietty Wentworth. Chociaż Henrietta szczerze go namawia do objęcia tronu. Wprawdzie Monmouth ma żonę, z którą nie jest szczęśliwy, ale to Henrietta chce zostać królową. Nawet sprzedała klejnoty, żeby wesprzeć sprawę kochanka. Z Anglii też napływają niemałe fundusze. Chodzą więc słuchy, że tu już powstają wielkie oddziały inwazyjne.

Marcus ze zmarszczonymi brwiami przyglądał się tańczącym. Roger zapewne wyczuł, że szwagier go nie słucha, bo umilkł. Po chwili zagadnął:

- Elizabeth mówiła, że wkrótce zamierzasz na dobre odejść z armii. I co potem? Osiądziesz w Saxton Court czy też dołączysz do grona dworzan skupionych wokół Jakuba?

Marcus skrzywił się z niesmakiem na tę drugą sugestię.

- Nie lubię dworskiego życia, intryg i plotek. To nie dla mnie. Ciągłe pogłoski o powstaniu nadal trzymają mnie w Londynie, lecz prawdę mówiąc, jestem zmęczony wojaczką. Zamierzam wrócić do Saxton Court i zająć się majątkiem, który, jak wiesz, przez ostatnie lata praktycznie pozostawał w rękach pana Fentona. Za długo bujałem po świecie, mój Rogerze. Stanowczo za długo. Chcę odpocząć i nareszcie pomyśleć o dużo przyjemniejszych rzeczach. O rodzinie... Ot, choćby o tym, że powinniśmy częściej się widywać. A przy okazji, jak tam Elizabeth? O ile pamięć mnie nie myli, to ostatni raz spotkałem ją przed miesiącem. Razem z dziećmi była w Londynie, z wizytą u twojej matki.

- Dziękuję, u nas wszystko w najlepszym porządku. Dzieciaki rosną jak na drożdżach. Cieszę się, że na stałe zamieszkał w Saxton Court. Wspomniałeś o rodzinie... Sprowadzisz ją tam? W jakich jesteś stosunkach z Fentonem?

Marcus ponownie wzruszył ramionami.

- W zasadzie w żadnych. Nie budzi we mnie ani sympatii, ani niechęci. To ojciec kiedyś go zatrudnił. Ponoć miał świetne referencje. Rzeczywiście, od tamtej pory nikt z nas nie musiał martwić się o Saxton Court. Fenton regularnie przysyłał mi sprawozdania. Nie mam żadnych zastrzeżeń.

Zauważył cyniczny uśmiech na twarzy szwagra, więc spytał:

- Jesteś innego zdania?

Roger spoważniał i spod oka popatrzył na Marcusa. Zastanawiało go, jak człowiek z takim doświadczeniem i znajomością ludzi, jak lord Reresby, dogada się z zarządcą majątku Saxton Court. Jego zdaniem, pan Jacob Fenton należał do najbardziej nieprzyjemnych i podejrzanych postaci, jakie kiedykolwiek chodziły po tym świecie.

- Szczerze mówiąc, Marcusie, w ogóle go nie lubię. Uwierź mi, wiele lat znałem twojego ojca i zawsze zgadzałem się z jego decyzjami. Uważam, że w tym przypadku popełnił pomyłkę. Pan Fenton to człowiek zachłanny i ambitny. Wątpię, aby to było korzystne dla Saxton Court. Służba go nienawidzi. Twój ojciec mu ufał, więc część tej niechęci przeniosła się na niego. Uważaj, Marcusie, na Fentona.

Roger przerwał, bo nie chciał powiedzieć za wiele, a poza tym Marcus wciąż patrzył na tańczących. Bez przerwy wpatrywał się w jakąś młodą damę. Zaciekawio-

ny Roger spojrział w tę samą stronę i bez trudu rozpoznał roześmianą dziewczynę.

- Widzę, że gubisz oczy za córką Barringtona - rzekł z rozbawieniem. - Nie sądzisz, że to dziwne? Do niedawna podejrzewałeś, że to właśnie Barrington stał za zamachem na życie twojego ojca.

- To coś więcej niż podejrzenia, Rogerze. Jestem tego zupełnie pewny.

Roger popatrzył na dłoń Marcusa, na której połyskiwał duży złoty pierścień. Już nie pamiętał o dziewczynie tańczącej ze Stapletonem.

- Widzę, że nosisz sygnet ojca - powiedział. - Znalazłeś mordercę?

- Jeszcze nie, ale na pewno go dopadnę.

Roger z powagą pokiwał głową. Dobrze wiedział, że Marcus poruszy niebo i ziemię, byle tylko odnaleźć wroga. Roger dobrze znał starszego lorda Reresby'ego. Od wielu lat byli dobrymi przyjaciółmi. Brutalny mord wstrząsnął nim do głębi. Wyobrażał więc sobie, jak śmierć ojca zmieniła życie Marcusa i Elizabeth. Zwłaszcza Marcus borykał się z poczuciem winy. Roger początkowo poważnie obawiał się, że jego szwagier już nigdy nie podźwignie się po tym ciosie. Marcus nie mógł sobie darować, że feralnego dnia nie było go w domu. Uważał, że w ten sposób dopomógł mordercy.

- Barrington zmarł niedawno. Zawzięty protestant, ale w sumie nie gorszy niż wszyscy tu obecni. Nigdy nie ukrywał swojej głębokiej pogardy dla papistów. Jego córka to piękna młodziutka dziewczyna, pełna wigoru i radości życia. Niedaw-

no przyjechała do Hagi w towarzystwie Harry'ego Stapletona. Niektórzy byli tym nawet zdumieni, młoda panna podróżująca bez żadnej opieki z niewiele od niej starszym kawalerem. Doprawdy, nie do pomyślenia. Z tego co wiem, zamieszkała u jakichś znajomych w Rotterdamie.

Marcus skinął głową.

- U sir Percivala Tippetta i jego żony. Dzisiaj złożyłem im wizytę. Powiedzieli mi, że tu ją znajdę. Widzisz, Rogerze, panna Barrington od dawna już nie jest panną. To lady Reresby, czyli moja żona - dokończył spokojnym tonem.

Roger popatrzył na niego z osłupieniem.

- Twoja żona?! Na wszystkich świętych... Naprawdę? Pozwól, że spytam: jak długo?

- Rok minął w lutym.

- Co takiego?! Masz dziwne pomysły, Marcusie. To mogłoby nawet być zabawne, gdyby nie było tragiczne. Na Boga! Nie wiem, co powie Elizabeth. Wie już o tym?

- Nie. Sam jej powiedz. Zobaczysz ją wcześniej ode mnie.

- Mogę zapytać, w jaki sposób doszło do tego małżeństwa?

- To trochę skomplikowane.

- Pamiętam, że Barrington brał udział w spisku. Wszyscy oczekiwali, że zostanie oskarżony o zdradę stanu i położy głowę pod topór.

- To prawda, Rogerze. Dowiedziałem się, że miał wiele wspólnego ze śmiercią mojego ojca. Prawdopodobnie sam ukartował to morderstwo. W ten sposób chciał usunąć świadka, który wiedział o jego udziale w przygotowaniach do za-

machu na życie króla Karola. Postanowiłem więc, że sam się z nim rozprawię.

- Jak? Poprzez małżeństwo z jego córką?

- Najpierw zabrałem mu majątek, a potem postawiłem ostatni warunek. Gdybym wygrał, Barrington miał na piśmie przyznać się do zdrady. Gdyby to on wyciągnął wyższą kartę, mógłby do końca życia korzystać ze swoich bogactw. W zamian ja wziąłbym jego córkę za kochankę.

Roger był szczerze zaskoczony. Takie postępowanie nie pasowało do Marcusa.

- Nie spodziewałem się, że jesteś zdolny do takiego czynu - odezwał się karcącym tonem. - To niezgodne z honorem.

- Masz zupełną rację. Barrington i tak zaczął się targować. Obiecał mi, że jeśli przegra, zdradzi mi imię swego współnika. Powie, kto zabił mojego ojca. Gdybym ja przegrał, miałem ożenić się z Catherine.

- Nie potrafiłeś mu odmówić. Przyjąłeś stawkę i przegrałeś.

- To oczywiste. Nie znam mordercy, a ta młoda dama jest moją żoną.

Roger powoli pokręcił głową. Nie mógł zrozumieć, co opętało jego szwagra.

- Źle postąpiłeś. Zemsta nigdy niczego nie ułatwia. To prawo powinno wymierzyć sprawiedliwość.

- Nie przeczę, ale już się stało - odrzekł Marcus i spojrzął na żonę, wciąż tańczącą w objęciach Harry'ego Stapletona.

- Bez względu na nasze prawdziwe uczucia, przed Bogiem i ludźmi jesteśmy małżeństwem. Odszedłem od niej prosto

sprzed ołtarza. To także była część umowy. Nie widzieliśmy się do dzisiaj...

- W takim razie masz chyba sporo do nadrobienia. Ciekawe, co na to wszystko powiedzą ludzie, widząc jej zażyłość z młodym Stapletonem.

- Dzięki Bogu, jedynie ty i Elizabeth wiecie, że to Barington kazał zabić ojca.

- O inne plotki wcale się nie martwisz - stwierdził Roger.

- Ani trochę - ponuro odparł Marcus, choć niezbyt zgodnie z prawdą. Nie chciał być pośmiewiskiem jako mąż, który nie potrafi utrzymać w ryzach pięknej żony.

- Stapleton najwyraźniej przypadł jej do gustu.

Marcus odruchowo postąpił krok naprzód. Wyraz zatroskania zniknął z jego twarzy, niespodziewanie zastąpiony przez posępny uśmiech.

- Catherine jest jeszcze bardzo młoda, naiwna i niedoświadczona. Popełniła błąd, jadąc do Hagi. Postaram się jej to wypomnieć i sprowadzić ją na dobrą drogę. Najpierw musimy wrócić do Saxton Court i na pewien czas zniknąć ludziom z oczu. Potem będzie już całkiem inaczej - powiedział z niezachwianą pewnością siebie Marcus.

- Może wydaje jej się, że jest zakochana w panu Stapletonie? Nie pomyślałeś o tym? - zagadnął Roger. - Jak zamierzasz stoczyć tę bitwę? Jak sobie poradzisz z tym młodym człowiekiem?

- Powiem mu prawdę. Zobaczę, czy będzie się bronił.

- Wiesz co? Zapraszam cię na kolację. Będę piekielnie rad z twojego towarzystwa. Co ty na to?

Marcus uśmiechnął się przepaszająco.

- Wybacz, Rogerze, ale muszę porozmawiać z żoną. Mam już na to parę pomysłów... W zasadzie wszystkie są odpowiednie.

- No cóż... Spotkamy się innym razem. Jutro na pewno wracam do Anglii. Najwyższa pora. Powiem ci szczerze, sam jestem protestantem i chętnie powitałbym protestanckiego króla, lecz źle się czuję pośród tych ludzi, których tu widziałem. Dzisiejszy bal tylko mi popsuł humor.

- Jutro, powiadasz?

Roger skinął głową.

- Z samego rana jadę do Antwerpii. Stamtąd odchodzi statek do Lyme. Będę na jego pokładzie.

- W takim razie znów się spotkamy. Nie zamierzam tu siedzieć zbyt długo. Skoro nadarza się okazja, chętnie z niej skorzystam. Ja też jutro wracam do Anglii.

Catherine wciąż tańczyła ze swoim ukochanym. Ani przez chwilę nie zdawała sobie sprawy z obecności męża. Od przybycia do Hagi oboje ze Stapletonem bywali na różnych balach i przyjęciach - nawet w pałacu w Honselaarsdijk, gdzie holenderski książę i księżna podejmowali grono znamienitych gości.

Popatrzyła na Harry'ego, który właśnie roześmiał się, słysząc słowa tańczącego obok przyjaciela. Potem z wyraźnym uczuciem spojrział na Catherine. Nie powiedziała mu, że jest mężatką. Nie chciała, aby coś się między nimi zmieniło. Nawet nie przeczuwała, że ich wieloletnia przyjaźń zbliża się do nagłego i definitywnego końca.



Odwróciła się i niespodziewanie napotkała ironiczne spojrzenie lorda Marcusa Resesby'ego. Oto człowiek, który miał nad nią władzę i postanowił odrzec ją z resztek szczęścia.

Z przerażeniem patrzyła na jego wysoką i barczystą postać. Miała wrażenie, że ziemia rozstąpiła się pod jej stopami. W przeciwieństwie do ponurej czerni, którą pamiętała z dnia nieszczęsnego ślubu, Marcus tym razem był ubrany w luźny granatowy kaftan i szarą kamizelkę, ozdobioną francuskim koronkowym żabotem. Przystojny i elegancki, w tym stroju bez wątpienia mógłby się pokazać nawet na królewskim dworze.

Poza tym wyglądał tak, jak go zapamiętała - śniady, pełen energii i utajonej siły. Stał na skraju parkietu niczym przyczajony do skoku groźny drapieżnik. Mroczny i arogancki, roztaczał wokół siebie władczą aurę. Patrzył prosto na Catherine - świdrował ją spojrzeniem, jakby czekał na moment, kiedy zejdzie z parkietu, a ona nie słyszała już dźwięków muzyki. Z trudem utrzymywała się na nogach.

Zemdliło ją ze strachu. Czuła się niczym ptaszek zamknięty w szponach orła. Co miała teraz zrobić? Jak stąd uciec? - zapytywała się w duchu. Poczuła żal zmieszany z gniewem i rozpaczą. Stapleton porwał ją w tańcu na drugą stronę sali, a mimo to wciąż czuła palący wzrok Marcusa na swoich plecach. Zgubiła krok. Nie mogła już dłużej udawać, że nic się nie stało.

Harry musiał wyczuć jej niepokój, bo zapytał:

- Dobrze się czujesz, Catherine?

Pospiesznie pokiwała głową.

-Tak, tak...

Odruchowo złapała go za rękę i pociągnęła w stronę wyjścia. Ze zdenerwowania nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi.

Harry popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Zachowujesz się dziwnie - bąknął.

- To nic - zapewniła go niemal bez tchu. - Trochę zgrzałam się w tańcu. Chodźmy na zewnątrz. Przyda mi się nieco świeżego powietrza.

Zeszli z parkietu, ale Catherine mimo wszystko nie zdołała uciec przed mężem. Niczym senna zmora, Marcus Reresby znów stanął na jej drodze. Odgradzał ją od drzwi.

Catherine była zła, że śmiał pokazać się aż tutaj, w dalekiej Hadze. Dumnie uniosła głowę, jakby stawiała czoło *tropikalnej burzy*- i zdecydowanie postąpiła *krok* naprzód. Była gotowa do bitwy. Czekwała na to, co Marcus, jej mąż, ma do powiedzenia.

Całą swoją postawą wyrażała głęboką pogardę dla wszystkiego, co mogło za chwilę nastąpić. Jej piękną twarz wykrzywił grymas.

Co prawda, Marcus spoglądał na nią bez uśmiechu, ale z przekorną miną, jakby wyczuwał jej intencje. Opór żony budził w nim instynkt łowcy. Catherine patrzyła mu prosto w oczy, bez cienia strachu na pięknej twarzy. Widać szczerze kocha Stapletona, uznał Marcus, ale zupełnie tym się nie przejął. Wiedział, że wkrótce Harry na zawsze zniknie z jej życia. Jeszcze będziesz mi jadła z ręki, pomyślał.

- Rad jestem, że w końcu cię znalazłem, Catherine - powiedział cicho beznamiętnym tonem. - Mam pretensję o to,

że postanowiłaś mnie unikać. Co chciałaś przez to osiągnąć? Myślałaś, że mnie sprowokujesz? A może w ten sposób usiłowałaś owinąć mnie wokół małego palca?

Catherine słuchała go w napięciu. Mówił spokojnym, wyważonym tonem, lecz jednocześnie władczy. Od Marcusa biła siła, która w każdej chwili mogła wybuchnąć z niszycielską mocą.

- Czego chcesz? - cierpko spytała Catherine. - Chyba nie myślałaś, że cała we łzach padnę ci w ramiona? Czekasz, że powiem, iż tęskniłam? Nie znam cię, nie chcę i nigdy nie chciałam!

W oczach Marcusa zamigotały niebezpieczne błyski, ale powstrzymał się od ciętej odpowiedzi.

- Poznasz i zechcesz - odparł nadal spokojnym głosem.

Spojrzał na stojącego obok niej kawalera. Harry Stapleton najwyraźniej czuł się niezręcznie. Marcus nie lubił tego młodzińca. Za bardzo zbliżył się do Catherine. Ingerował w jego małżeńskie prawa.

- Och, Catherine, gdzie twoje maniery? Nie przedstawisz mnie swojemu tancerzowi?

Catherine odwróciła się do Harry'ego. Pragnęła złapać go za rękę, ale nie mogła zdobyć się na tak intymny gest w obecności męża. Spodziewała się, że Marcus będzie zły lub oziębły. Nie oczekiwała z jego strony spokoju, niemal nonszalancji, i to denerwowało ją coraz bardziej.

Z ociąganiem wskazała na Stapletona.

- To... to jest... - wyjąkała - pan Harry Stapleton. Znamy się od dzieciństwa.

Marcus obrzucił go kamiennym spojrzeniem.

- A ja jestem lord Reresby.

Co prawda, Harry mienił się na twarzy, ale lekko pochylił głowę w uprzejmym ukłonie.

- Miło mi pana poznać.

- Mąż Catherine - dodał beznamiętnie Marcus. - Dziękuję, że zaopiekował się pan moją żoną.

Stapleton z przerażenia zbladł jak ściana.

- Słucham...

- To moja żona. Nie wiedział pan o tym? - Marcus z dezaprobatą popatrzył na Catherine. - Jako dżentelmen, nie zwykłem źle mówić o kobietach ani karać ich w obecności świadków. Uważam jednak, że postąpiłaś, pani, nagannie. Jako twój mąż, domagam się więcej szacunku.

Catherine spojrzała na niego z jawną nienawiścią. Oczy błyszczały jej jak u rozzłoszczonej kotki.

- Śmiesz mówić do mnie o szacunku! - odrzekła ostro, ale na tyle cicho, żeby nie zwracać na siebie uwagi najbliższej stojących gości. - Trzeba było o tym pomyśleć przed ślubem.

- Twoja opinia, droga Catherine, zupełnie mnie nie interesuje. Nie chcę jednak, żebyś zrobiła z siebie pośmiewisko.

Harry zamruczał coś pod nosem, jakby nie mógł wykrzusić słowa. Szeroko rozwartymi oczami wpatrywał się w ukochaną.

- Jesteś... jego żoną? - wybąkał wreszcie. - Ale... jak to możliwe? Na Boga, Catherine, powiedz, że to nieprawda, że nie jesteś mężatką!

Lady Reresby milczała. W głowie miała zamęt; nie potrafiła

opanować gonitwy myśli. Odruchowo ścisnęła fałdy spódnicy i w milczeniu patrzyła na Harry'ego. Nie musiała nic mówić, jej wzrok wyrażał wszystko.

Błada twarz Stapletona nagle stała się purpurowa z wściekłości.

- Czemu milczałaś?! Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Dlaczego, na miłość boską?! Przecież wiesz, że cię kocham. Zawsze byłaś moja. Należysz do mnie.

- Nie - chłodno wtrącił Marcus. - Należy do mnie. Poślubiłem ją rok i dwa miesiące temu.

Harry oniemiał ze zdumienia.

- Kiedy?! Rok... i dwa miesiące?! Jak byłem... w Hadze?

Catherine pokiwała głową. Niewiele brakowało, żeby rozpłakała się ze wstydu i przygnębienia.

- Tak - szepnęła. - Przez ten cały czas udawałam, że nic się nie stało. Że nie było ślubu. Nigdy nie pragnęłam nikogo prócz ciebie, Harry.

- Sądziłem, że za mną tęsknisz.

- Tęskniłam, Harry. Przysięgam, że tak było, ale... nie dano mi wyboru. Zmusili mnie do tego.

- Zawsze jest wybór, Catherine. Mogłaś się nie zgodzić.

- Próbowałam! Uwierz mi, naprawdę próbowałam. Myślisz, że z własnej woli wyszłabym za zupełnie obcego człowieka?

Harry doskonale zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. Wiedział już, że na zawsze stracił Catherine. Pomału odzyskiwał spokój.

Marcus domyślił się, co dzieje się w duszy młodzieńca. Na jego oczach Stapleton zmieniał się ze szczęśliwego i ufego

chłopca w zgorzkniałego mężczyznę, zawiedzionego w miłosnych nadziejach. Desperacja wypisana na twarzy Harry'ego była tak wyraźna, że nawet Marcus poczuł coś na kształt współczucia.

Stapleton z bólem i niedowierzaniem wpatrywał się w Catherine.

- Nie przypuszczałem, że zrobisz mi coś takiego - powiedział wolno. Smutek wziął w nim górę nad złością i zdenerwowaniem.
- Nie powinnaś mnie tak długo zwodzić. Kocham cię. Wierzyłem w każde twoje słowo. W rezultacie wyszedłem na głupca.

Catherine słuchała tego z rozdartym sercem.

- To prawda, że cię oszukałam. Teraz tego żałuję. Nie potrafiłam jednak znieść myśli, że cię stracę. Tylko tyle mogę powiedzieć na swoją obronę. Proszę, Harry...

Stapleton cofnął się o pół kroku. Dla własnego dobra chciał jak najszybciej zakończyć tę dramatyczną rozmowę. Catherine była dla niego stracona. Bez względu na to, jak bardzo ją kochał, nie zamierzał smolić cholewek do mężatki. Zwłaszcza że mężem Catherine był człowiek tak potężny i władczy, jak lord Marcus Reresby. Tylko głupiec podjąłby z nim walkę.

- Nie, Catherine. To już koniec. - Harry spokojnie popatrzył na Marcusa. Dobre wychowanie wzięło górę. Grzecznie i z godnością pochylił głowę w ukłonie.

- Proszę wybaczyć, milordzie. Catherine powinna była mi powiedzieć, że jest pańską żoną.

Marcus po raz pierwszy spojrzął na przystojnego młodzieńca z niekłamany szacunkiem. Mimo to nie potrafił powstrzymać się od uszczypliwości.

- Zgadzam się z panem, chociaż na przyszłość radzę pomyśleć ze dwa razy, zanim uwikła się pan w podobną intrygę. Bez obaw, z mojej strony nic panu nie grozi pod warunkiem, że zrezygnuje pan z kontaktów z moją żoną.

- Oczywiście, milordzie. Nie znałem prawdy. Proszę mi wierzyć, że gdybym to wszystko wiedział, nie byłoby nas teraz tutaj. Przepraszam państwa. - Ugodzony do żywego Harry odwrócił się i jak otepiały odszedł, nie mówiąc już nic więcej. Śmiechy i muzyka wydawały mu się okrutnym akompaniamentem do jego tragedii. W drzwiach sali jeszcze raz spojrzął na Catherine, a potem odsunął kotarę i wyszedł. Na zawsze zniknął z jej życia.

Catherine nie mogła znieść rozdzierającego bólu serca, który towarzyszył temu rozstaniu. Stała niczym skamieniała. Nie potrafiła myśleć o niczym więcej, jak tylko o tym, że Harry już nie wróci. Nigdy nie wróci. Po chwili z tego zapamiętania wyrwała ją wściekłość. Odwróciła się w stronę męża; piękne oczy ciskały błyskawice.

- Proszę wybaczyć, lecz wychodzę - oznajmiła. Orkiestra właśnie zaczęła grać do następnego tańca.

Marcus ani na chwilę nie stracił spokoju.

- Nie ruszysz się stąd beze mnie. Skoro miałaś odwagę przyjść, to klnę się na Boga, że zostaniesz dopóty, dopóki nie wyjdziemy razem.

Catherine przyglądała mu się bardzo długo. Miała ochotę obrzucić go najgorszymi wyzwiskami, ale w głębi duszy wiedziała, że to i tak nic nie da. Postanowiła zatem zachować spokój.

- W ogóle nie lubisz kobiet czy tylko uwziąłeś się na mnie, milordzie? Może z natury jesteś okrutnikiem? - spytała.

- Nie ma we mnie nic z okrutnika ani nie gardzę kobietami. Pragnę jedynie ci przypomnieć, że nadal jesteś moją żoną. Nikt i nic tego nie zmieni. I jeszcze jedno... - dodał i wziął ją za rękę - widzę, że od dawna nie nosisz obrączki. Włóż ją z powrotem albo...

Niezbyt delikatnie ujął ją pod ramię.

- Pójdziemy?

Catherine pozwoliła mu się poprowadzić przez tłum rozgadanych gości. Zauważyła, że niektórzy szybko odwracali głowy. Zrozumiała wówczas, że część osób już od dłuższej chwili z ciekawością obserwowała ich tete-a-tete.

Znaleźli się w ciemnym powozie, jadącym przez kręte uliczki Rotterdamu. Marcus siedział naprzeciwko żony i w przyćmionym świetle bocznej lampy obserwował grę uczuć, malujących się na jej twarzy.

Po kilku minutach Catherine zauważyła, że coraz bardziej oddalają się od domu Tippetów. Z przestrachem spojrzała na męża.

- Dokąd jedziemy? - spytała lekko zdławionym głosem. - Przecież na pewno wiesz, że mieszkam u sir Percivala i lady Sarah Tippet. To całkiem w drugą stronę.

- Wiem. Zawiadomiłem ich już jakiś czas temu, żeby wysłali twoje rzeczy do gospody, w której staniemy dzisiaj na noc. Jutro wypływamy do Anglii.



Catherine nawet nie chciała myśleć, co powiedział zacny sir Percival albo jego żona na wieść, że lord Marcus Reresby jest mężem ich ulubienicy. Oni także dotychczas nic o tym nie wiedzieli, bo Henry Barrington z sobie tylko znanych powodów nawet w rozmowach z przyjaciółmi utrzymywał w sekrecie wiadomość o ślubie córki.

- Nic z tego. Nigdzie z tobą nie pojedę - zaprotestowała.

- Ależ pojedziesz, Catherine, możesz mi wierzyć - odparł Marcus tym samym zrównoważonym tonem, którym przemawiał do niej cały wieczór. Beznamiętnie spojrzął na jej zagniewaną minę. - Wkrótce zamieszkaż w Saxton Court, gdzie nauczysz się wszystkiego, co powinna wiedzieć dobra i oddana żona.

- Chcesz mnie trzymać wbrew mojej woli, jak dzikie zwierzę w klatce?

- Wbrew woli albo za twoją zgodą. Coś mi się zdaje, że do tej pory zażywałaś niemało wolności. Przesadziłaś z ostatnią szaloną eskapadą. W Somerset wszyscy mnie znają, Catherine. Moja rodzina jest powszechnie szanowana, a ty, poza urodą - co już samo w sobie stanowi niemały powód do plotek - przyjedziesz tam jako moja żona. Wiem już, do czego jesteś zdolna. Więcej ci na to nie pozwolę. Musisz wystrzegać się dalszych błędów. Z wolna nauczysz się mnie szanować i wejdiesz w swoją nową rolę. Zajmiesz się domem i majątkiem, mnie zaś poświęcisz większość swojej uwagi.

Catherine siedziała sztywno i przyglądała się mężowi lodowatym wzrokiem. Oczy jej pociemniały jak niebo przed burzą.

- Idź do diabła, Reresby. Nie znoszę cię i nigdy nie zrobisz ze mnie potulnej służącej. Wolałabym cię wcale nie oglądać. Jesteś ohydny i grubiański. Moja ucieczka do Harry'ego nadwerżyła twoją dumę.

- Trafna uwaga - przyznał Marcus.

Catherine nie zwróciła najmniejszej uwagi na tę drwinę.

- W takim razie może ci wyjaśnię, że nie poczuwam się do winy. Nie zaciągnęłam cię przed ołtarz. Wcale nie chciałam tego ślubu. W ogóle się ciebie nie boję.

- A powinnaś - powiedział zwodniczo łagodnym tonem.

- Posłuchaj mnie uważnie, moja droga Catherine. Potraktowałam cię delikatnie, chociaż naraziłaś na szwank moje dobre imię, uciekając z młodym Stapletonem. Niestety, ta przygoda rzuca wyraźny cień na twoją reputację. Tak dłużej *być* nie może. Nie potrafię odwrócić tego, co już się stało, ale na pewno nie pozwolę ci na nowe szaleństwa.

- Jak chcesz to zrobić?

- Zapewniam cię, że mam swoje skuteczne metody - odparł, starannie akcentując każde słowo. - Kiedy trzeba, umiem być cierpliwy, ale nie będę ci pobłażał w nieskończoność. Nie próbuj ze mną walczyć.

- Zatem nie bierzesz pod uwagę możliwości rozwodu lub anulowania naszego małżeństwa? Z twojego punktu widzenia to byłby zapewne skandal.

Marcus natychmiast zmarszczył brwi.

- Tak, to prawda. Teraznosisz moje nazwisko i sama powinnaś zadbać o to, by pozostało czyste. Nigdy więcej o tym ze mną nie rozmawiaj.

Catherine wzruszyła ramionami i ostentacyjnie wlepiła wzrok w okno.

- Szkoda - rzuciła od niechcienia - bo akurat nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Przez resztę podróży Marcus unikał wdawania się w dłuższą konwersację z żoną. Nie było wątpliwości, że Catherine będzie potrzebowała dużo czasu, by pogodzić się ze swoim losem. Jeszcze nie wiedział, kiedy zdoła pochwycić ją w ramiona i zanieść do małżeńskiego łóża. Wszystkie kobiety, które znał dotychczas, tylko czekały na jego skinienie. Catherine była zupełnie inna. Wciąż patrzyła na niego z pogardą, a on chciał, aby jak najszybciej stała się jego prawdziwą żoną. Pragnął jej i nie zamierzał tracić czasu na próżne umizgi.

## Rozdział trzeci

W gospodzie panował harmider, ponieważ była pełna ludzi. Wszystkie zadymione izby zajmowali goście, którzy jedli, pili, omawiali najświeższe wydarzenia lub dobijali targu. Na całe szczęście zażywny oberżysta zaprowadził Marcusa i Catherine do przytulnego pokoiku z kominkiem i szerokim łóżem pod czerwono-złotym baldachimem.

- Widzę, że państwo Tippet nie tracili czasu. Masz tu już swoje rzeczy - powiedział Marcus na widok bagaży, starannie ustawionych pośrodku pokoju.

Catherine z wyraźnym zdenerwowaniem wodziła wzrokiem po izbie.

- Chyba coś cię martwi - zauważył Marcus.

- Można tak powiedzieć. - Spojrzała na niego z pogardą. Nawet w najmniejszym stopniu nie próbowała maskować uczuć. - Gdzie będziesz spał? Nie widzę tu drugiego łóżka.

Marcus zamknął za sobą cicho drzwi i zwodniczo niedbłym krokiem podszedł do żony. W jego ciemnych oczach po-

łyskiwały iskierki humoru, ale twarz nie zdradzała tego, co naprawdę myślał.

- Z tobą. W tym łóżku. To chyba oczywiste. - Dopiero teraz się uśmiechnął, jakby dla podkreślenia wagi wypowiedzi.

Catherine wzdrygnęła się, lecz strach dodał jej odwagi.

- Niech cię diabli - mruknęła. Jej urocza twarz zastygła w wyrazie oburzenia. - Nie masz nawet krztyny przyzwoitości. Nie dajesz mi nawet trochę czasu, abym przyzwyczaiła się do tego, że jestem mężatką? Chcesz mnie wziąć siłą?

Marcus był pod wrażeniem jej śmiałości. Na pewno bardzo przeżywała nagłe rozstanie ze Stapletonem, a mimo to nie poddawała się rozpacz. Potrafiła o siebie walczyć. Nie traciła wrodzonej werwy. A taka podobała mu się jeszcze bardziej. Poczul szybsze bicie serca. Miał szczerą ochotę wyleczyć ją z niewczesnej miłości do Stapletona. Zanim noc zblednie, będziesz naprawdę moja, pomyślał z narastającym pożądaniem.

- Czasu? A ile czasu potrzebujesz, Catherine? - zapytał łagodnym głosem, który nie zdradzał domagającego się rozładowania napięcia. - Przecież miałaś aż rok i dwa miesiące, aby w pełni przywyknąć do myśli o naszym małżeństwie.

Stał tak blisko, że nagle poczuła się bezbronna. Wystraszył ją sposobem, w jaki na nią patrzył. Skuliła ramiona, coraz bardziej zdenerwowana zachowaniem Marcusa. Do tej pory gniew trzymał ją w ryzach. Teraz jednak wyraźnie walczyła ze strachem, a także z zupełnie nowym, nieznanym wcześniej uczuciem. Bez wiednie dała krok w tył, żeby oddalić się od zagrożenia.

- To nazywasz małżeństwem? - zapytała zdławionym głosem. - Wolne żarty.

Marcus przesunął się i stanął za żoną, gładząc jej lśniące czarne włosy.

- Ale tak jest. Potwierdzi to każdy sędzia i trybunał.

- Zawarłeś tę umowę wyłącznie z moim ojcem.

- To prawda - przyznał ze spokojem. - Co więcej, zrobiłem to tylko dlatego, żeby zniszczyć człowieka winnego najgorszych zbrodni, z morderstwem i zdradą łącznie. Teraz to nie jest ważne. W pełni akceptuję nasze małżeństwo, a ty bardzo mi się podobasz.

Catherine zawahała się, lecz zaraz, jakby zawstydzona przełotną słabością, hardo popatrzyła mu prosto w oczy.

- Nawet jeżeli kocham innego? - spytała z drwiną. - Odebrałeś mi Harry'ego. Jego chłopięcą twarz, ciepły dotyk dłoni, miękki głos i uroczy uśmiech. Nie przeszkadza ci, że ograbiłeś nas ze wspólnych marzeń?

- Nie. Nasze małżeństwo stało się niezaprzeczalnym faktem. - Spojrzał wprost na nią, żeby nie miała żadnych wątpliwości co do jego prawdziwych intencji. - Możesz mnie kochać lub nienawidzić, Catherine. Jestem twoim mężem i nic tego nie zmieni. Czy z obowiązku, czy z rozkoszy, dziś w nocy będziesz należeć do mnie.

Uniół rękę i koniuszkami palców delikatnie dotknął jej pobladłej twarzy.

- Twój ojciec umarł, ale nie widzę smutku ani zmartwienia w twoich oczach. Ani śladu łez.

Catherine odruchowo skuliła się pod jego ręką. Marcus zacisnął zęby i gniewnie błysnął oczami.

- Domyślałam się, że nie darzyłaś go zbyt wielką miłością.

- Nie przepadałam za nim, a on za mną - odparła z taką mocą, że zaskoczony Marcus zerknął na nią z niekłamanyim zdziwieniem.

- Przynajmniej coś nas łączy.

- Ale nic więcej - odparła szybko. - Możesz być tego pewny.

- Zobaczymy.

- Nienawidziłeś go, a jednak zagrałeś z nim w karty. Miałeś w tym niezłą korzyść - dodała znaczącym tonem.

Marcus pokiwał głową.

- Mówił ci o tym.

- Mój ojciec nigdy ze mną o niczym nie rozmawiał.

- Zatem skąd wiesz?

- Od jego prawnika. Najważniejsze szczegóły waszej wstępnej umowy poznałam dopiero po odczytaniu testamentu. Usłyszałam o tym, że chciałeś uczynić mnie swoją kochanką, i o tym, że ojciec domagał się małżeństwa. Podejrzewam, że nie wiedziałeś, co było między nami, bo inaczej nie wciągnąłbyś mnie do swoich niecznych planów.

- Może masz rację, ale co się stało, to się nie odstanie. Obiecałem twojemu ojcu, że po ślubie zaraz odejdę i nie będę się z tobą widywał aż do jego śmierci. Dotrzymałem słowa. Możesz mną pogardzać i próbować ze mną walczyć, ale to niczego nie zmieni. Jesteś moją żoną, Catherine. Chcesz powiedzieć, że nie wiedziałaś, co cię w przyszłości czeka? Tamtej

nocy, chociaż się sprzeciwiałaś, stanęłaś przed ołtarzem. A może tego nie pamiętasz?

- Doskonale pamiętam! - warknęła ze złością. - Pamiętam, jak mnie sprzedano niczym niewolnicę. Własny ojciec grał o mnie w karty! Przyznaj się, milordzie, czy tam, przy stoliku, chociaż raz pomyślałeś o moich uczuciach? Czy przyszło ci do głowy, co powiem człowiekowi, którego kochałam, i któremu byłam przeznaczona na żonę? Co miałam mu powiedzieć?! „Przepraszam, mój miły, ale z nami skończone, wysłałam za innego”? Jakim prawem na siłę wdarłeś się w moje życie i zniszczyłeś nadzieje na szczęśliwą przyszłość?

Marcus nie odpowiadał. Zły sam na siebie, nie potrafił obronić się przed tymi zarzutami. Jako człowiek uczciwy, musiał przyznać, że postąpił niegodnie i niehonorowo. Pod tym względem żona miała rację.

- Dziwi cię moja niechęć i nieskrywana wzdarda? - ciągnęła Catherine. - Jak śmiesz z tego powodu czynić mi wymówki? Postaw się na moim miejscu, szlachetny milordzie. Pomyśl, jakbyś się poczuł w takiej sytuacji. Mam być twoją żoną? Mam cię uszanować po wszystkim, co zrobiłeś? Proszę posłuchać... - Przerwała, by zaczerpnąć tchu.

- Bez względu na to, czego ode mnie oczekujesz, wiedz, że już zawsze będę tobą gardzić, i to zaledwie trochę mniej, niż gardziłam ojcem. Dodam, że do mojej śmierci nic tego nie zmieni.

Marcus popatrzył na nią bacznie i z wolna pokiwał głową.

- Zobaczmy - powiedział półgłosem, widząc jej wykrzywioną twarz i załzawione oczy. W głosie słyszał rozziewającą



nutę smutku i osamotnienia. Zdawał sobie sprawę, że ją skrzywdził, lecz choćby chciał, już nie mógł naprawić tamtego postępku. Wiedział, że miną wieki, zanim Catherine zacznie mu ufać, a on zapomni, że ma do czynienia z córką Henry'ego Barringtona. Mimo to był gotów podjąć się roli męża i pozostać przy niej aż do końca życia.

Czas, żebym to ja poprowadził dalszą część rozmowy, pomyślał. Zdjął kubrak, rzucił go na łóżko i usiadł przed kominem. Wygodnie rozparł się w fotelu i wyciągnął nogi w stronę ognia.

- Mam nadzieję, że wytłumaczysz się z eskapady do Hagi - rzekł.

Coś w jego głosie sprawiło, że Catherine na jedną krótką chwilę zamarła ze zgrozy. Na twarzy Reresby'ego nie malował się nawet cień litości, a przy tym nie złościł się, i to chyba było jeszcze gorsze. Prawdę mówiąc, niewiele wiedziała o swoim mężu. Jaki jest naprawdę? Czy brutalny, czy gwałtowny? A może chciał biciem zmusić ją do posłuszeństwa? Z trudem usiłowała zachować pozory spokoju. Postanowiła sobie w duchu, że mu nie pokaże, jak bardzo się boi.

- Słucham? - powiedział niecierpliwym tonem. - Chcę dokładnie wiedzieć, co między wami zaszło. Towarzyszył ci całkiem przystojny, zdrowy młody człowiek, pełen rewerencji. Jako twój mąż, mam prawo spytać, jak daleko posunął się w zalotach. Tylko mnie nie oszukuj, Catherine. Niech nasz związek już na początku nie będzie skażony kłamstwem.

Catherine bez trudu zrozumiała, o co ją pytał. Przycisnęła rękę do piersi i poczerwieniała po same uszy. Była po prostu

wściekła. Dała dwa kroki naprzód i stanęła nad mężem niczym uosobienie furii.

- Ach, ty bezecny i nieokrzesany... - Po pierwszym wybuchu, zaczęła mówić wolniej. - Harry i ja znamy się od dzieciństwa. Zawsze zachowywał się wobec mnie bez zarzutu.

- Wielce ci jestem wdzięczny za tę informację - chłodno odparł Marcus. - Czy mam w nią wierzyć?

- Możesz wierzyć lub nie. Nic mnie to nie obchodzi. Powiedziałam prawdę.

Marcus uśmiechnął się wyzywająco. Przez cały czas otwarcie na nią patrzył. Jego mina mówiła: „Teraz ci pokażę, kto tutaj jest panem”. W Saxton Court mogła sobie rządzić służbą i całym domem, ale nie w łóżnicy.

- Sam się o tym przekonam. Rozbierz się i połóż do łóżka.

Policzki Catherine stały się tak czerwone, jakby ją ktoś uderzył.

- A co z moimi uczuciami? - spytała. - Zupełnie się nie liczą?

- Zachowujesz się tak, jakbym próbował uwieść młodą niewinną dziewczynę - odparł Marcus, wyraźnie poirytowany. - Jesteś moją żoną i klnę się na Boga, że będziesz nią naprawdę, zanim stąd wyjdziemy!

- Chcesz ze mnie zrobić potulną niewolnicę? Czy to ci wystarczy? Nigdy cię nie pokocham. Możesz się nie łudzić. Jeżeli mnie tkniesz, będzie to już definitywny koniec.

Marcus zerwał się z fotela i skoczył w jej stronę. Zanim Catherine zdążyła coś powiedzieć lub zrobić, szybko rozwiązał wstążki jej wierzchniego okrycia i pozwolił, aby upadło na

podłogę. Potem popatrzył na żonę. Stała prosta i dumna, jakby się nie bała. Przyćmione światło słabym blaskiem padało na jej uroczą twarz i ramiona. W porównaniu z czarną gęstwiną włosów jej cera wydawała się wyjątkowo blada. Wyglądała tak pięknie, że Marcus miał ochotę natychmiast chwycić ją w objęcia. Wiedział jednak, że nie spotka się z ciepłym przyjęciem; co najwyżej z dreszczem obrzydzenia.

- Jeszcze raz powiesz „nie”, a zedrę z ciebie całe odzienie. Nie chcę, żebyś miała złe wspomnienia z tej nocy, Catherine. Może ci powiem, jak to będzie. Mamy niejedną rzecz do omówienia, lecz na to przyjdzie czas dopiero później. Dziś odłożymy na bok dzielące nas różnice i spędzimy wieczór jak para nowożeńców.

- Nie dotkniesz mnie nawet palcem, Reresby - ostrzegła Catherine. - Zacznę krzyczeć.

- Nie strasz mnie! Nigdy tego nie rób, bo gorzko pożałujesz. Będę cię dotykał, kiedy tylko zechcę w każdym miejscu i o każdej porze. Nie mówmy już o tym. A teraz się rozbieraj.

Catherine z uporem zacisnęła usta i wbiła nienawistne spojrzenie w Marcusa. Lekko drżącymi rękami zaczęła rozwiązywać wstążki i tasiemki. Na koniec dramatycznym gestem rzuciła na podłogę ostatnią część garderoby. Stała tak, żeby Marcus widział niemal każdy załomek jej zgrabnego ciała i połyskliwej skóry.

- Proszę. Tego właśnie chciałeś?

Początkowo Reresby przyglądał jej się z urągliwym uśmiechem, ale teraz spoważniał i wpatrywał się w żonę z zachwytem. Catherine była cudowna - zgrabna i delikatna, niczym

filigranowa rzeźba stworzona ręką mistrza. Nieco drżała, zawstydzona tą sytuacją. Marcus poczuł się trochę głupio. A uparta Catherine, mimo poniżenia, wcale nie zamierzała padać mu do nóg. Nie załamała się, nie straciła nieugiętego ducha, i jej mąż mógł za to podziękować Bogu.

Catherine bez słowa podeszła do łóżka, położyła się i podciągnęła kołdrę pod brodę. Leżała na plecach, wpatrując się w baldachim. Nie mogła znieść myśli, że jest całkiem naga. Usłyszała, że Marcus także się rozebrał, ale nie chciała patrzeć w tamtą stronę. Nawet nie drgnęła, kiedy przyszedł do niej i wziął ją w ramiona. Czekała, żeby skończyło się to jak najszybciej.

Marcus także się spieszył. Wolał to mieć za sobą, lecz w jego zachowaniu nie było brutalności. Starał się postępować rozważnie i czule. W pewnym momencie Catherine poczuła bolesny skurcz, ale zanim zdążyła krzyknąć, Marcus zakrył jej usta pocałunkiem. A potem było już po wszystkim. Marcus przekreślił się na bok i przymknął oczy. Catherine leżała wciąż na plecach, dygocąc ze wstydu i zdenerwowania.

Kochała Harry'ego i wiedziała, że będzie go kochać aż do śmierci. Ubolewała nad tym, że to nie on, tylko jakiś inny mężczyzna - mężczyzna, nie chłopiec - pozbawił ją dziewictwa. To było chyba dla niej najgorsze. Grube łzy płynęły jej spod zamkniętych powiek i srebrzystą strużką spływały po policzkach. Co prawda, kochała się z mężem, ale czuła, że zdradziła Harry'ego.

Ogień wygaś. Marcus leżał wsparty na jednym łokciu i w ciemnościach patrzył na Catherine. Nie widział jej oczu,

więc wyciągnął rękę i delikatnie dotknął jej policzka. Pod palcami wyczuł wilgotne ślady łez. Żona odwróciła się do niego tyłem i skuliła jak małe dziecko. Chwilę później wtuliła głowę w ramiona i cicho zaszlochała. Marcus położył dłoń na jej ręce i próbował przyciągnąć do siebie. Odtrąciła go.

- Nie dotykaj mnie, proszę - powiedziała zdławionym głosem. - Proszę.

Marcus starannie okrył ją kołdrą i położył się na wznak. Coś w nim pękło, gdy słuchał jej stłumionego płaczu. Dopiero teraz wyraźnie zdał sobie sprawę z tego, co zrobił. Popełnił kolosalny błąd. Powinien dać jej dużo więcej czasu, żeby przywykła do nowej sytuacji. Winien okazać jej cierpliwość, może nawet zabawić się w zalotnika. Pośpiech jest złym doradcą, myślał. Teraz już nie mógł uczynić niczego, żeby choć trochę złagodzić jej cierpienie.

Dziwne, że przyszło mu to do głowy. Mam już trzydzieści jeden lat i do tej pory zawsze postępowałem wedle własnej woli. Nawet w najgorszych sytuacjach nie traciłem głowy i potrafiłem zachować niewzruszony spokój. Nie dopuszczałem do siebie złych emocji i żadnych głębszych uczuć. Rozwaga i opanowanie - to moja dewiza. Cóż więc się stało? Catherine obudziła w nim coś całkiem nowego; nagle zapragnął być jej opiekunem, nie tylko kochankiem. Nic z tego nie rozumiał.

Kiedy wreszcie przestała płakać i głęboko zasnęła - zapewne z wyczerpania - pochylił się nad nią i czułym ruchem odgarnął jej z policzka kosmyk. Postanowił, że będzie czuwać przy niej do rana. Co więcej, przysiągł sobie, że więcej jej nie tknie, dopóki sama nie zaprosi go do swego łóża.

Deszcz zmienił się w nieprzyjemną mżawkę, a potem w wilgotną mgłę. Powóz skręcił w rozmiękłą drogę, prowadzącą do wiejskiego majątku rodziny Reresby. Catherine z napięciem spojrzała w okno. Niechętnie myślała o tym, że za chwilę znajdzie się w domu męża. Podróż minęła im bez przygód, chociaż Marcus wydawał się odległy, zatopiony w myślach. Catherine ze swojej strony starała się go nie rozdrażnić. Odzywała się rzadko i tylko wtedy, gdy było to niezbędne. Bała się, że w dłuższej rozmowie straci nad sobą panowanie i da upust prawdziwym uczuciom.

Już nie była dziewczyną, lecz kobietą, żoną lorda Marcusa Reresby'ego. Mimo to jej serce nadal należało do Harry'ego Stapletona. Wstyd, który odczuwała po pamiętnej nocy, spędzonej w ramionach męża w gospodzie na przedmieściach Hagi, zniknął z nadejściem świtu. Tylko do następnego razu, pomyślała z bólem. Ciągłe pamiętała to dziwne uczucie, kiedy Marcus legł na niej całym ciałem i nakrył jej wargi swoimi ustami. Trzy dni minęły, ale na szczęście nie próbował się do niej zbliżyć.

Z Lyme Regis pojechali na północ w stronę Taunton, ale potem skręcili na zachód, zanim dotarli do miasta. Na koźle, obok woźnicy, siedział służący Marcusa, który jeździł z nim niemal wszędzie. Był to młody i grzeczny chłopak imieniem Dickon, o wielkich, szarych i wiecznie roześmianych oczach i ciemnej czuprynie. Wesoły i rozgadany, swoim zachowaniem sprawiał, że Catherine czuła się nieco lepiej. Na statku wciąż ją zabawiał.

Powóz toczył się po wybojach szeroką polną drogą, pro-

wadzącą do Saxton Court. W pobliskim zagajniku, pomiędzy drzewami, pasło się stadko saren. Zaniepokojone, szybko uniosły łby, a potem zniknęły w lesie. Wehikuł z wolna przetoczył się pod okazałą bramą i wjechał na kamienny podjazd, ciągnący się do ganku. Dickon zeskoczył z kozła, żeby otworzyć drzwiczki powozu. Marcus wysiadł pierwszy i wyciągnął rękę do żony, ale Catherine nadal siedziała w środku, z dłońmi na podołku i naburmuszoną miną.

- Proszę cię, wysiadź - powiedział Marcus z nutą zniecierpliwienia w głosie. - Służba czeka, żeby powitać cię w Saxton Court. W twoim domu.

- W moim domu! - Catherine rzuciła mu złe spojrzenie. - Saxton Court nigdy nie będzie dla mnie prawdziwym domem.

- Tego nie zmienisz, moja droga. Spójrz, wszyscy domownicy wylegli na zewnątrz. Chyba nie sprawisz im zawodu.

Catherine wciąż była na niego zła, że nie pozwolił jej chociaż na chwilę zajrzeć do Riverside House. Miała ochotę mu odmówić, jednak nie chciała trzymać służby na deszczu i wietrze. Z ociąganiem uległa perswazji męża, ujęła go za rękę i wysiadła z powozu. Wyglądała prześlicznie. Ubrana była w szafirowy płaszcz, suto lamowany futrem. Rozpięty kołnierz ukazywał jej łabędzią szyję i połyskujący z lekka perłowy naszyjnik.

Marcus poprowadził ją pod ramię w stronę domu. Szli wzdłuż szpaleru służby - małej armii odźwiernych, pokojówek, stajennych, ogrodników, kucharzy młodych i starych. Wszyscy podziwiali urodę swojej pani i byli pod wrażeniem jej siły i energii, bijących z każdego gestu. Zdumiona Catheri-

ne wdzięcznym skinieniem głowy odpowiadała na ich uśmiechy i ciche pozdrowienia. Zdawała sobie sprawę, że już od pierwszej chwili, jako lady Reresby, zdobyła sobie sympatię wszystkich mieszkańców dworu.

Na samym końcu szpaleru Marcus przedstawił jej gospodynię, panią Garfield, która stanęła nieco z boku.

Starsza kobieta miała miłą twarz pokrytą siecią drobnych zmarszczek. Z niekłamany zachwytem patrzyła na Catherine. Dygnęła nisko, jakby domieszka królewskiej krwi płynęła w żyłach nowej lady Reresby.

- Witamy w Saxton Court, milady. Mam nadzieję, że będzie tu pani szczęśliwa.

Catherine uniosła wzrok na okazały budynek dworu.

- Ja także mam taką nadzieję.

Wszyscy patrzyli na nią, gdy wchodziła po szerokich kamiennych schodach.

W końcu znalazła się w domu. Potoczyła spojrzeniem po okazałej sali. Zobaczyła wiszące na ścianach sztandary, tarcze, miecze oraz inne pamiątki rycerskiej przeszłości. W ogromnym kominku płonął ogień, przydając pomieszczeniu blasku i niezbędnego ciepła.

Marcus zatrzymał się, rozejrzał i z satysfakcją stwierdził, że dwór został wysprzątny. Dzielne światło padało przez wysokie okna na niedawno wymytą, błyszczącą podłogę, ciemną boazerię i wiodące na piętro schody. Czuł zapach wosku i słodką woń kwiatów rozstawionych wokoło w kolorowych wazonach. Popadł w zadumę. Opadły go wspomnienia. Przecież to właśnie tutaj przed wieloma laty oznajmił ojcu, że idzie



na wojnę, że chce być żołnierzem. Starszy lord Reresby przyjął decyzję syna z dużym rozczarowaniem. Był pewien, że jego pierworodny przejmie zarząd nad Saxton Court. Było, minęło. .. Marcus pokręcił głową, aby odpędzić wspomnienia. Teraz musiał sam stawić czoło wszelkim przeciwnościom losu i żyć na własny rachunek.

Catherine usłyszała ciche echo kroków i odwróciła głowę w kierunku przybysza. Zobaczyła jakąś czarną postać, rzucającą długi cień na posadzkę.

- Ach... Fenton - powiedział Marcus. - Poznaj moją żonę, lady Reresby. Catherine, pozwól, że ci przedstawię zarządcę, pana Jacoba Fentona. Pan Fenton zjawił się w Saxton Court tuż przed śmiercią mojego ojca.

Wspomniany Fenton zwrócił się w stronę Catherine. Na pewno był już po pięćdziesiątkę i względem swego pana zachowywał się całkiem poprawnie, ale bardziej wyglądał na właściciela niż plenipotentą. Był wysoki, o ciemnych, zaczesanych do tyłu włosach, wąskiej twarzy i bladozielonych zimnych oczach. Dodatkowo miał ostro zarysowaną brodę, która nie przydawała mu urody.

Na jego widok Catherine poczuła się nieswojo. Fenton wydał jej się znajomy; nie potrafiła jednak powiedzieć dlaczego. Na pewno go wcześniej nie widziała, podejrzewała więc, że jest bardzo podobny do... No właśnie, nie wiedziała do kogo.

Fenton lekko pochylił głowę, nie odrywając oczu od twarzy Catherine.

- Do usług, lady Reresby. Witamy w Saxton Court.

- Dziękuję. Miło mi pana poznać, panie Fenton. Nie spotkaliśmy się już kiedyś? - dodała mniej pewnym tonem. - Mam wrażenie, jakbym pana gdzieś widziała.

- Raczej nie, lady Reresby. Na pewno bym pamiętał. - Fenton przeniósł spojrzenie na Marcusa. - Spodziewaliśmy się, że wasza lordowska mość przyjedzie wcześniej. Wszystko było już gotowe przed kilkoma dniami.

- Ach tak - od niechcienia odpowiedział Marcus. - Zatrzymały mnie pewne sprawy. Wyjazd do Hagi i tak dalej... - Znacząco zerknął na żonę. - Jak dawaliście sobie radę pod moją nieobecność? Z tego, co wiem, w Saxton Court nie zaszło nic niezwykłego.

Przez dwie minuty rozmawiał z rządcą wyłącznie o sprawach majątku.

Catherine odniosła wrażenie, że trwa to bardzo długo. Nieruchomo stała przy mężu i czekała, że ktoś w końcu przypomni sobie o jej obecności. Tymczasem Marcus zdawał się dostrzegać wyłącznie Fentona. Mało tego, sprawił, że rządcą nie wydawał się już taki groźny jak na początku rozmowy. Po chwili przeszli do innych kwestii. Catherine z rosnącym rozdrażnieniem słuchała tego jednym uchem, ale nie dała się ponieść nerwom.

- Zauważyłem wzrost napięcia niemal w całej Anglii - mówił Marcus. - Byłem w Hadze, między innymi także na dworze wygnanego księcia Monmoutha. Z tego, co mi wiadomo, za kanałem zbiera się wielka armia przygotowana na to, aby odebrać koronę Jakubowi. Słyszałeś jakieś plotki na ten temat, Fenton?

Pan Fenton lekko się uśmiechnął.

- Trzeba być ślepyim albo głuchym, żeby niczego nie dostrzegać, milordzie - odparł.

- Wciąż nie wiadomo, gdzie Monmouth chce rzucić swoich ludzi. Może do Szkocji, do Argylla? Albo do Irlandii? Do Lancashire? Chyba tam może liczyć na duże poparcie. Albo tutaj, w West Country, gdzie najwięcej frakcji...

- Tu nie widziałem nawet najmniejszych oznak buntu.

- Tak? Nie ma konwentów? Aresztowań? Ludzie króla nie przetrząsają domów w poszukiwaniu broni?

- To wszystko prawda, lecz działania podejmowane przez rojalistów służą raczej uspokojeniu. Niezadowoleni zazwyczaj wynoszą się gdzie indziej.

-I pewnie tam czekają na boską interwencję? - oschle zapytał Marcus.

- Być może.

Marcus z ukosa popatrzył na rządcę. Zauważył pewien szczególny błysk w jego oczach, który zadawał kłam rozbawnym odpowiedziom. Podziałało to na Marcusa jak kubeł zimnej wody. Ten człowiek jest niebezpieczny, pomyślał z niepokojem. Tylko dlaczego do tej pory tego nie zauważyłem?

- Dużo takich „niezadowolonych” jest jeszcze pod moim dachem? - spytał Marcus.

- Kilku się znajdzie.

- A pan, panie Fenton?

Rządca się zawahał.

- Może pan mówić całkiem szczerze - dorzucił Marcus.

- Jestem poddanym króla, milordzie. Protestantem, ale poddanym króla.

Marcus uniósł brwi.

- Rozumiem - powiedział z nieprzeniknioną miną. - Prosiłem, by pan mówił szczerze. Każdy ma prawo do swoich przekonań, jednak wykluczam wszelką agitację. Niech pan pamięta: żadnej opozycji, dopóki jest pan zatrudniony u mnie.

- Co według pana znaczy „opozycja”, milordzie? Chodzi o ludzi, którzy są przeciwko katolikom i nietolerancji? O tych, którzy żądają wolnego parlamentu? Proszę się nie obawiać. Co prawda, nie pałam miłością do papieża i mam swoje własne przekonania, lecz nie należę do żadnej frakcji. Niełatwo mnie podejść.

- Mam nadzieję, że tak jest w istocie, panie Fenton. Skończyłem z wojaczką. Mam szczerze dość wszelkich bitew i krwawych potyczek. Nawet gdyby Monmouth zjawił się na zachodzie - a wszystko wskazuje na to, że jednak tak będzie - to tutaj, w Saxton Court, będzie panował spokój. Żadnych rebelii. Możemy najwyżej bronić tego, co nasze.

Fenton błysnął oczami, a Marcus przypomniał sobie niedawną rozmowę z Rogerem, którą odbyli w Hadze. Czyżby ojciec rzeczywiście popełnił poważny błąd, zatrudniając Fentona? Jakie wpływy miał rządca wśród ludzi w Saxton Court? Na odpowiedź było stanowczo za wcześnie. Marcus potrzebował więcej czasu.

Catherine przysłuchiwała się z rosnącym zniecierpliwieniem. Była zmęczona długą podróżą i ciągłym napięciem.

Tymczasem Marcus wyraźnie zapomniał o młodej żonie i wdał się w polityczną dysputę z rządcą.

- Wybacz, Marcusie - wtrąciła. - Mam wrażenie, że nie jestem wam w niczym przydatna. Chciałabym trochę odpocząć i będę ci bardzo wdzięczna, jeśli pokażesz mi drogę do mojego pokoju. To była ekscytująca, ale męcząca podróż. Muszę się odświeżyć.

- Oczywiście.

Catherine przeniosła wzrok na rządcę.

- Przepraszam, panie Fenton.

Ten do tej pory zdawał się nie zwracać na nią najmniejszej uwagi. Teraz jednak obrzucił ją baczny spojrzeniem. Przyglądał jej się z widocznym napięciem, jakby szukając odpowiedzi na nieme pytanie. Catherine bez zmruczenia oka wytrzymała tę próbę. Popatrzyła mu prosto w twarz. Fenton cofnął się i pochylił głowę w zdawkowym ukłonie.

- Bardzo proszę, lady Reresby.

Marcus zerknął na panią Garfield.

- Apartamenty pani gotowe? - spytał.

- Jak najbardziej, milordzie. - Gospodyni uśmiechnęła się szeroko do Catherine. - Mam przygotować kąpiel przed kolacją?

- Och tak. Długo byliśmy w drodze.

- Zaraz wszystkiego dopilnuję, lady Reresby. Pokazać pani drogę do apartamentów?

- Nie trzeba - wtrącił Marcus. - Pójdziemy we dwoje.

Przeprosił Fentona i ujął żonę pod ramię.

Catherine wciąż czuła na sobie baczne spojrzenie rządcy.

Kiedy znalazła się na schodach, na tyle daleko, żeby nikt z domowników nie mógł jej usłyszeć, powiedziała półgłosem do Marcusa:

- Nie podoba mi się ten twój Fenton. Jest zbyt dumny i arogancki jak na służącego.

Marcus zmarszczył brwi. Podzielał zdanie żony. Instynktownie wyczuwał, że po śmierci ojca rządca zdobył niemałe znaczenie we dworze. Należało to zmienić. Przecież Saxton Court od niepamiętnych czasów należało wyłącznie do Reresbych. Od tej pory Marcus miał być tutaj panem.

- Fenton przez prawie dwa lata zajmował się całym dworem - odparł być może nieco ostrzej, niż zamierzał, lecz nie chciał dodatkowo martwić Catherine. - Doskonale wywiązywał się ze swojej funkcji. Chyba oceniasz go zbyt surowo, moja droga.

Catherine nie dała się oszukać. Odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy.

- Naprawdę? Jakoś nie wyczułam, żebyś pałał do niego zbyt wielką sympatią.

- Może dlatego, że od dawna tu nie zaglądałem. Nie znam go za dobrze... A chyba powinienem.

- Jak długo cię nie było?

- Prawie półtora roku. Chciałem wrócić, ale wiesz, jaki jest los żołnierza. Wojsko potrzebowało mnie gdzie indziej.

- Naprawdę już nie palisz się do wojaczki?

- Tak. Odłożę szpadę, kiedy tylko zakończy się ta awantura z udziałem Monmoutha.

- Dawno to postanowiłeś?

- Zawsze wiedziałem, że to zrobię, gdy twój ojciec odejdzie z tego świata. - Marcus umilkł na chwilę i zapatrzył się przed siebie. Potem jego twarz nabrała nieco łagodniejszego wyrazu.
- Chciałem osiąść tutaj na stałe, lepiej poznać żonę, cieszyć się rodziną, dobrze jeść i spać w wygodnym łóżku. Mój ojciec zawsze chciał, żebym stał się panem Saxton Court.
- Z czasem pozbędziesz się Fentona?
- Do tej pory pracował bez zarzutu. Był bardzo pomocny. Nie mogę tak po prostu go wyrzucić.

Z wolna wspinali się po długich i szerokich schodach. Na zewnątrz zapadał wieczór. Blask świec kładł się miękką poświatą na ciemnej boazerii. Catherine z szeroko rozwartymi oczami podziwiała kolejne fragmenty ogromnego domu. Dwór prezentował się okazale. Nigdy przedtem nie oglądała takiego bogactwa.

Długa galeria, wykładana dębową posadzką i zdobiona na ścianach i suficie masywną sztukaterią, ciągnęła się do końca budynku. Wszędzie wisiły obrazy, przede wszystkim portrety przodków Marcusa. Na Catherine spoglądały oczy dumnych pań i panów, strojnych w dawne szaty. Każdy portret oprawiony był w ciężką złotoną ramę.

- Co myślisz o Saxton Court? - zapytał Marcus. - Na dobrą sprawę dorastałaś wśród zbytku i bogactwa. Podejrzewam, że w Riverside House na niczym ci nie zbywało. Nie jesteś zatem zawiedziona?

Catherine błyszczącym z podniecenia wzrokiem wpatrywała się w malowidła i drogocenne meble. Wszystko tu było takie piękne, tak harmonijnie i gustownie dobrane. Odwróci-

ła się w stronę męża. Wciąż czekał na jej odpowiedź. Nie mogła go okłamać.

- Wręcz przeciwnie. Twój dom wywarł na mnie ogromne wrażenie - odparła zupełnie szczerze. - Nie każda żona dostaje po ślubie aż tak wiele. Zwykle to raczej mąż korzysta z jej wiana. Chociaż, gdy teraz o tym myślę, sama też sporo wniosłam do naszego związku. Chyba nie narzekasz? - Nie mogła się powstrzymać od złośliwości.

Marcus łypnął na nią spod oka. Drażniły go te ustawiczne drwiny.

- Powiedziałem ci, że możesz spokojnie zatrzymać wszystko, co uważasz za swoją osobistą własność, Catherine - przypomniał jej ponurym tonem. - Nie jestem szczodry?

- Łącznie z Riverside House?

- Nie. Dom idzie na sprzedaż.

- Pewnie już czekasz na pieniądze.

Żachnął się.

- Muszę dbać o swoje interesy.

- Ile masz lat, Marcusie? Pewnie ze trzydzieści. Dlaczego do tej pory się nie ożeniłeś?

- Ściśle mówiąc, trzydzieści jeden. Nie miałem czasu. Moją żoną i kochanką było wojsko. Poza tym... chyba nie znalazłem właściwej kandydatki.

- A mimo to wzięłeś mnie za żonę. To dziwny związek. W zasadzie od początku skazany na niepowodzenie.

Marcus spojrzał jej prosto w oczy. Zauważył, że jakby trochę złagodniała. Każdy mężczyzna byłby poruszony jej niezwykłą urodą. Marcus jednak wciąż nie mógł uwierzyć, że za



tą piękną powierzchownością kryje się odważne serce, niezłomna wola i duma.

- Powiedziałaś to takim tonem, jakbyś potrzebowała upewnić się, że tak jest w istocie - odparł. - Nie podzielałam twojego zdania. Pozwól, że spytam: boisz się mnie, Catherine?

Już otwierała usta do ciętej odpowiedzi, ale jego chłopięcy uśmiech ją rozbroił.

- Nie. Tego jestem zupełnie pewna. Chociaż. . . czasami mógłbyś trochę poskromić swój temperament. Więcej pogody ducha! Wciąż wyglądasz jak chmura gradowa.

Marcus roześmiał się głębokim, szczerym śmiechem i popatrzył na żonę z aprobatą. Catherine trochę się speszyła.

- Nic na to nie poradzę - odparł. - Taka moja uroda. Ale i tak wyglądam dużo lepiej od Harry'ego Stapletona - dodał łagodniejszym tonem. - Sama to przyznasz.

Catherine obrzuciła go szybkim, taksującym spojrzeniem. Pierwszy raz wspomniał o Stapletonie. Ona jednak wolała o nim nie myśleć. To było zbyt bolesne.

- Owszem, wyglądem nadrabiasz inne braki - przyznała, nie patrząc na męża. - Nikt tego ci nie odmówi. Dużo zła-małeś niewieścich serc, Marcusie? Niestety, ze mną ci się to nie uda.

Marcus nie przestawał się uśmiechać.

- Doprawdy, smutna perspektywa. Mimo to spróbuję - odrzekł.

- Zrujnowałeś mojego ojca i wzięłeś mnie za żonę w przekonaniu, że robisz to dla mojego dobra?

- Dobrze wiesz, jak to się odbyło. Nie muszę się bronić.

- Postąpiłeś niegodnie, więc lepiej teraz nie udawaj przede mną niewiniątka.

Oczy Marcusa błyszczały w ciepłym blasku świec.

- Nigdy ci nie mówiłem, że jestem niewinny - odparł bez-troskim tonem - ale też nie jestem zbrodniarzem.

- Nawet gdybyś był i tak byś się nie przyznał.

Marcus uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Przyznaję, że nie mam w sobie nic ze świętego. Wolałbym jednak, żebyś była dla mnie nieco miłsza. Po co te ciągłe kłótnie? Pogódźmy się.

- Niby dlaczego? Żebyś mógł ciągle mi rozkazywać? Tylko czekasz, że ci ulegnę, a potem zgnieciesz mnie obcasem, tak jak zgmiotłeś mojego ojca.

- Nie. Chcę jedynie, żebyś pozbyła się uporu. Czy ktoś ci mówił, że masz piękne oczy i kuszące usta?

Catherine szybko umknęła spojrzeniem w bok.

- Nie odzywaj się do mnie w ten sposób. Nic mnie to nie obchodzi. - Z wolna ruszyli w dalszą drogę i skręcili z galerii w głąb węższego korytarza. - Mam nadzieję, że dożyjesz chwili, w której pożałujesz, że kiedyś grałeś w karty.

- Z tym nie mogę się zgodzić. Spodziewam się raczej, że wraz z upływem czasu stosunki między nami staną się cieplejsze.

- Chyba mi nie powiesz, że w tamtym momencie zachowałeś się, jak przystało na szlachcica i dżentelmena. Gdybyś trochę popytał, to może byś wiedział, że miałam narzeczonego, którego z własnej woli nie chciałam porzucić.

- Nie myśl, że nie pytałem. Nikt nie słyszał o zaręczynach.

Nie były ogłoszone. Doszedłem więc do wniosku, że będę dla ciebie odpowiednią partią. - Marcus zauważył, że Catherine ukradkiem zerknęła na niego spod oka. - Gdybyś kiedyś spojrzała odrobinę dalej niż czubek własnego noska, ślicznego, przyznaję, to może byś odkryła, że w istocie rzeczy zrobiłem ci przysługę.

Catherine znowu wbiła wzrok w przestrzeń.

- Miałam rację. Jesteś zarozumiała.

Marcus roześmiał się na całe gardło.

- Przyznaję. Zapomnij zatem o swoim młodym absztyfikancie, Catherine, i ciesz się przyszłością.

Pokoje przeznaczone dla nowej pani Reresby znajdowały się w zachodnim skrzydle budynku.

- Tu są twoje apartamenty. - Marcus pchnął ciężkie dębowe drzwi i wpuścił żonę do środka. - Pokojówka już czeka.

Catherine z zakłopotaniem rozejrzała się po komnacie. Zastanawiała się, kto będzie jej nową służącą. Prawdę mówiąc, okropnie tęskniła za Alice. W głębi serca pragnęła powitać starą piastunkę w Saxton Court. Przecież Marcus i tak zamierzał sprzedać Riverside House. Alice nie miała żadnej rodziny poza swoją panią, nie miała też innego domu. A bez niej życie wydawało się o wiele uboższe...

Służba wniosła bagaże. Catherine jeszcze raz powiodła wzrokiem po pokoju.

- Pięknie tutaj - szepnęła z niekłamanym zachwytem, patrząc na wykładane drewnem ściany i bogato rzeźbiony sufit. Pośrodku stało ogromne łoże, okryte bogatą, wyszywaną srebrem i złotem kapą, z ciężkim baldachimem wspartym na

kolumnienkach. W kominku trzaskał ogień, skutecznie odpędzając chłód wieczoru i dając nieco więcej światła.

Nagle z przyległej alkowy wyłoniła się znajoma postać. Catherine nie wierzyła własnym oczom. Alice! Ze łzami w oczach rzuciła się w objęcia wiekowej piastunki.

- Alice! Och... Alice! - zawołała z uczuciem. Nie posiadała się ze szczęścia.

Stara niania przycisnęła ją mocno do serca.

- Nie wiedziałam, że cię tu zastanę - paplała podniecona Catherine. - Och, to cudowne! Teraz już wszystko będzie dużo lepiej... Nie czuję się taka samotna...

Przypomniała sobie, komu zawdzięcza obecność starej piastunki. Odwróciła się do Marcusa i spojrzała na niego z przejęciem.

- Dziękuję - powiedziała niemal bez tchu. - Z całego serca ci dziękuję. Nie masz pojęcia, co to dla mnie znaczy.

- Rad jestem, że mogłem zrobić coś, co sprawiło ci przyjemność.

Alice ujęła w obie dłonie twarz swojej wychowanki.

- Lord Reresby przybył do Riverside House w tym samym dniu, w którym wyjechałaś do Hagi. Zapytał mnie, czy nadal chcę zostać przy tobie. Zapewniłam, że z najwyższą chęcią, i wtedy sprowadził mnie tutaj. Od tej pory znów będziemy razem. Jeżeli Bóg pozwoli, czekają nas jeszcze długie i szczęśliwe lata.

Marcus obserwował tę scenę w milczeniu. W głębi duszy cieszył się ze spotkania żony z dawną opiekunką. Ani przez chwilę nie żałował, że przywiózł ją do Saxton Court. Odwrócił się, żeby wyjść, ale Catherine jeszcze go zatrzymała.

- Marcusie...

- Słucham.

Podeszła do niego.

- A gdzie są twoje pokoje? - zapytała cicho. Zabrzmiało to zupełnie naturalnie, ale w oczach Marcusa zamigotały dziwne błyski.

- Tuż obok twoich, Catherine. Chyba nie może być inaczej. Widzisz więc, że przez cały czas będziemy blisko siebie. Niemal tak jak w Hadze.

Ta nieoczekiwana wzmianka wywołała gwałtowny rumieniec na twarzy Catherine.

- Myślałam, że zupełnie o tym zapomniałeś.

Marcus uśmiechnął się lekko na widok jej zakłopotania.

- Dlaczego? Może dlatego, że do tej pory nic na ten temat nie mówiłem? Tamta noc zajmuje szczególne miejsce w moim sercu. Wcale nie jestem tak nieczuły, za jakiego mnie uważasz. Nie oczekuję od ciebie poświęcenia. Od tej pory o nic więcej cię nie poproszę.

Catherine odruchowo westchnęła z ulgą. Ciężar smutku przemknął po twarzy jej męża. Marcus szorstkim ruchem ujął żonę pod brodę.

- Nie oczekuję nic od ciebie, dopóki lepiej się nie poznamy. Musisz jednak coś zrozumieć, droga Catherine. Nie będę popularnym mężem. Na pewien czas dam ci spokój. Kiedy jednak przywykniesz do mnie, nasze małżeńskie stosunki wrócą do normalnego stanu. Powiadają, że wspólnie spędzona noc pozwala zapomnieć o wszelkiej niezgodzie.

Następnego ranka blask słońca wypełnił komnatę. Alice odciągnęła grube zasłony.

- Wstawaj, Catherine, najwyższa pora. Lord Reresby oczekuje twojego towarzystwa przy śniadaniu - powiedziała łagodnym, ale nieznoszącym sprzeciwu tonem. - Musisz wyglądać jak najlepiej. Tylko w ten sposób zyskasz uznanie w oczach męża.

Mocno zaspana Catherine z trudem usiadła na łóżku. Odzuciła kołdrę na bok i krzywo spojrzała na Alice. Wcale nie zależało jej na „uznaniu” ze strony męża ani nikogo w Saxton Court.

- Z tego, co mówisz, można by przypuszczać, że całkiem ci się tu podoba.

- Dziwisz się? Wszyscy są dla mnie bardzo mili.

Alice przerwała swoje zajęcie i z lekką dezaprobatą popatrzyła w szeroko rozwarte oczy Catherine.

- Dobrze wiem, że ciągle tęsknisz za panem Stapletonem, ale o wiele lepiej będzie, jeżeli szybko przyzwyczaisz się do myśli, że masz męża. To dobry człowiek. Szlachetny, bogaty...

- Niepotrzebne mi jego bogactwa. Pragnę tylko... - Catherine zamilkła, lecz Alice, która od dawna znała wszystkie jej nastroje, domyśliła się całej reszty.

- Wkrótce zapomnisz o panu Stapletonie - powiedziała tonem pocieszenia. - A tymczasem musisz mieć świadomość, że wszyscy cię tu obserwują. Nie możesz zawieść zaufania męża, bo kiedyś przyjdzie taki dzień, że gorzko tego pożałujesz.



## Rozdział czwarty

Dni w Saxton Court upływały powoli. Młoda i zdrowa Catherine szybko odzyskała siły nadwątlone długą i męczącą podróżą z Hagi. Gorzej było z jej uczuciami. Potrzebowała dużo więcej czasu, żeby wróciła jej dawna pogoda ducha. Na razie próbowała pogodzić się z nową sytuacją. W jej świecie już nie było miejsca dla dawnego życia, domu i Harry'ego. Powoli zwyciężał rozsądek. Na lepsze lub gorsze miała przecież męża, Marcusa Reresby'ego. Od tej pory Saxton Court stał się jej domem, a ona panią rozległego majątku. Łączyło się z tym wiele nowych obowiązków. Niezauważalnie dla siebie, Catherine dostosowała się do rytmu codziennego życia dworu rodziny Reresby. Wcale nie trzeba było długo czekać, żeby służba zaczęła ją traktować z tym samym szacunkiem i oddaniem, z jakim odnoszono się do Marcusa.

Saxton Court stał w odległym zakątku hrabstwa Somerset, gdzieś między Quantock i Blackdown Hills. Wokoło rozciągała się połać żyznej ziemi, niewielkie pola uprawiane przez

dzierżawców i rozległe łąki, na których pasły się owce i krowy. Nie brakowało także sadów.

Rozkwitał maj i ciepłe promienie słońca kładły się złotą poświatą na kamiennych murach starego dworzyszczca. Wspaniały taras prowadził do wielkiego ogrodu, w którym wąskie, żwirowe alejki wiły się wśród zielonych krzewów i wspaniałych, różnobarwnych kwiatów. Sam dom, zbudowany jeszcze w czasach Tudorów, cechowała symetria. Wysoki na trzy piętra, z obu stron miał dwa dodatkowe skrzydła, przydające mu majestatu. Całość mówiła o bogactwie i potędze rodu.

Catherine przekonała się stosunkowo szybko, że pani Garfield jest świetną gospodynią. Już od ponad dwudziestu lat sprawowała rządy w Saxton Court. Żelazną ręką kierowała służbą i dbała o każdy drobiazg. Mimo to była uwielbiana przez swoich podwładnych. Catherine z wdzięcznością przyjęła jej pomoc w pierwszych dniach pobytu we dworze.

Początkowo rzadko widywała Marcusa. Tylko czasami, wyglądając przez okno swej komnaty, mogła dostrzec jego barczystą sylwetkę. Najczęściej zabierał ze sobą Fentona i we dwóch wyjeżdżali konno na obchód posiadłości. Jacob Fenton wciąż budził niechęć Catherine. W jego obecności czuła się niezręcznie. Ciągle miała wrażenie, że ją obserwuje. Zamierała w bezruchu, kiedy czasem przechodził długim korytarzem.

Mieszkańcy dworu, łącznie z panią Garfield, zdawali się po trochu podzielać te uczucia. W obecności Fentona zapadała cisza. W powietrzu narastało wyraźne napięcie. Po wyjściu



rządcy wszystkim się zdawało, że nawet stary dom oddycha z dużą ulgą.

Catherine z wolna poznawała resztę otoczenia, zazwyczaj w towarzystwie Alice i gadatliwego Archiego Rumbolda - staruszka, który wiedział chyba wszystko, co należało wiedzieć o Taunton. We trójkę jeździli powozem po okolicy. Catherine wszędzie budziła niemałą ciekawość, bo wieść o małżeństwie lorda Reresby'ego zdążyła już dotrzeć do wsi i miasteczek.

Z długą listą zakupów pojechali do Taunton. Była to tętniąca życiem osada na brzegu rzeki Tone. Miała wąskie uliczki i zamek, górujący nad niewielkim rynkiem. Zamieszkiwali ją głównie kupcy bławatnicy. Z daleka widać było celującą w niebo, strzelistą dzwonnice kościoła Świętej Marii Magdaleny.

To właśnie podczas tej wizyty Catherine niespodziewanie spotkała Jacoba Fentona. Na szczęście on jej nie zauważył. Pograżony w rozmowie z jakimś obcym człowiekiem, szedł w stronę gospody „Pod Czerwonym Lwem”.

- To chyba Fenton... - powiedziała Catherine do Archiego, który właśnie zsunął się z kozła, aby pomóc jej wyjść z powozu. Alice stała do nich tyłem, przyglądając się pobliskim sklepom i kramom. - Poznajesz jego towarzysza, Archie?

Starzec zmrużył oczy, by lepiej widzieć, i powoli pokiwał głową.

- Przecież to szanowny Trenchard. Bardzo ważny dżentelmen z partii wigów. Kiedyś był nawet członkiem parlamentu.

- Dysydent?

- No pewnie, milady. To żadna tajemnica. Ale wstydzić też

się nie musi. Podobno był w coś zamieszany za czasów króla Karola. Powiadają, że dowodzi co najmniej szwadronem jeźdźców, czekającym pod bronią na wybuch rebelii przeciwko królowi Jakubowi. Kłopot w tym, że nic mu nie udowodniono. Natomiast właścicielem oberży „Pod Czerwonym Lwem” jest niejaki William Savage. To zagorzały antyrojalista. Piwo za darmo dla każdego, kto zgłosi się do buntowników.

- Myślisz, że w tych pogłoskach o szwadronie jeźdźców może być coś z prawdy?

Archie wzruszył ramionami.

- Sam nie wiem. Rebelianci umieją trzymać język za zębami.

- A ty, Archie? Popierałbyś Monmoutha, gdyby nagle zjawił się w Anglii?

Starzec ponownie pokiwał głową i z powrotem wspiał się na kozioł.

- Chyba tak, ale jestem za stary na wojowanie. Za młodych nie mogę ręczyć. Za ludzi w moim wieku zresztą także. Niektórzy z nich walczyli jeszcze w latach pięćdziesiątych. Ciagle im w głowie antyklerykalizm. Od młodości wpajali wnukom niechęć do papieża i katolików.

- Czyli to dla nich chleb codzienny.

- Można tak powiedzieć, lady Reresby. Kiedyś Taunton było niczym samotna wyspa... Ostoja parlamentu, ze wszystkich stron otoczona przez hordy rojalistów. Tutejsi ludzie przeżyli ciężkie chwile w okresie restauracji. Po wstąpieniu na tron król Karol odebrał im wcześniejsze prawa i główne przywileje. Nic dziwnego, że zawzięli się w swym uporze.

- Wszyscy więc żyją w cieniu tego, co się wydarzyło przed

czterdziestu laty. Myślisz, że to wystarczy, by chwycili za broń i przyłączyli się do rebeliantów?

- Bez wątpienia. Wciąż przechowują pamięć o dawnych zwycięstwach. Przy lada okazji poszliby pod sztandary młodego Monmoutha. Byle tylko ich wezwał.

Catherine z namysłem spojrzała na drzwi gospody, za którymi zniknęli Jacob Fenton i pan Trenchard. Zastanawiała się, o czym mogą mówić nad darmowym kuflem pienistego piwa, oferowanego przez pana Savage'a.

Kiedy Catherine wróciła z targu w Taunton, Marcus czekał na nią w wielkiej sali. Powiedział, że muszą porozmawiać. Alice natychmiast zabrała zakupy i pospiesznie odeszła.

W obecności żony Marcus zachowywał się zawsze bez zarzutu, spokojnie i z rezerwą, nie dając po sobie poznać, co naprawdę czuje. Skąd więc miała wiedzieć, że jej widok sprawiał mu radość i budził w jego sercu niezwykłą tęsknotę?

Od przyjazdu do Saxton Court Marcus trzymał się nieco na uboczu i jedynie z dala obserwował rosnącą zażyłość Catherine z panią Garfield. Dał jej czas, żeby przywykła do nowej rzeczywistości. Z satysfakcją widział, że jego młoda żona z dnia na dzień stawała się mniej nerwowa i potrafiła podjąć obowiązki pani domu.

Zdawał sobie sprawę, że jej obecność stała się niemal żelaznym tematem rozmów wśród jego kuzynów, sąsiadów i przyjaciół. Najwyższa pora, żebym ją przedstawił Elizabeth, pomyślał. A poza tym i tak musiał jechać do Londynu, zwłaszcza teraz, gdy przeczuwał, że nadciąga wojna.

Było zupełnie jasne, że na zachodzie kraju dzieje się coś złego. Marcus potrafił obserwować ludzi. Słyszał ściszone głosy i widział napięte twarze. Przechwytywane listy mówiły o wzroście niepokoju i buntowniczych nastrojach wśród ludności. Zwoływano wiece z udziałem dziesiątek słuchaczy. Protestanci duchowni głośno zachęcali do powrotu do „dobrych starych zasad” z czasów rządów Cromwella. Podsycaли nadzieje, że dzielny książę Monmouth usunie z tronu nędznego papistę Jakuba, zanim ten odda cały kraj w ręce katolików.

Dobry przyjaciel Marcusa, lord Stanhope, pełniący funkcję zastępcy dowódcy miejscowej milicji\*, pokrótce mu opisał przebieg najnowszych wypadków. Nawoływania do rebelii dało się ponoć słyszeć nawet w najwyższych kręgach establishmentu. Tu nie chodziło już o wpływy ani o majątki, ale o obronę wiary protestanckiej. Z tym Marcus musiał się zgodzić, bo taki był praktycznie obowiązek każdego Anglika. Jednak istniała jeszcze przecież tradycja monarchii. Karol II uważał, że jego następcą powinien być Jakub. Tak też się stało. Jak by nie patrzeć, Anglia miała w pełni prawowitego króla.

- Nie wiem, Marcusie - powiedziała Elizabeth, gdy dowiedziała się od brata, że ten zamierza ją odwiedzić wraz z żoną.  
- Sporo ode mnie wymagasz. Dobrze wiesz, że zawsze bardzo cię kochałam i niemal niczego nie potrafię ci odmówić, ale nasz ojciec zginął z ręki mordercy nasłanego przez Henry'ego Barringtona. Teraz prosisz mnie, abym bez zmrużenia oka za-

\* milicja (ang. militia) - cywile przeszkoleni jak żołnierze, lecz nie będący częścią regularnej armii (przyj. red)

akceptowała fakt, że ożeniłeś się z jego córką. Mało tego, namawiasz mnie nawet do zgody! To chyba trochę za wiele.

Marcus doskonale zdawał sobie sprawę, że siostra głęboko przeżywała jego postępowanie.

- Wybacz mi, Elizabeth - powiedział ściszym głosem. - Wiem, że zrobiłem źle, ale już tego nie zmienię. Chciałbym, byś znalazła w swoim sercu choć odrobinę zrozumienia. Nie potępiaj Catherine tylko za to, że jest córką Barringtona.

- Jak możesz tak w ogóle mówić?! - z niechęcią zawołała Elizabeth. - Ona jest jego córką, bez względu na okoliczności. Przez to nie może oczekiwać względów należnych innym członkom naszej rodziny.

- Nieprawda, Elizabeth. Przecież jej nawet nie znasz. Catherine nie ponosi nawet najmniejszej winy za to, co się stało. Nigdy nie chciała wyjść za mnie. Opierała się z całej siły. Jest dumna i uparta, ale także młoda i pełna temperamentu. - Marcus uśmiechnął się pod wąsem na wspomnienie niektórych postępów jego pięknej żony. - Jak większość dziewcząt w jej wieku, potrafi być impulsywna. Nie można mieć jej tego za złe. To wspaniała młoda dama, do tego zupełnie niewinna. Na pewno nieraz płakała z powodu Barringtona.

- Jak to? - spytała Elizabeth, jeszcze nie w pełni przekonana.

- Jej matka zmarła w połogu. Barrington od samego początku obwinał swoją córkę o śmierć żony. Ciągłe odpychał ją od siebie. Należy też dodać, że Catherine nic nie wie o zabójstwie naszego ojca. Na pewno byłaby zdruzgotana, gdyby знаła prawdę.

- Masz zamiar jej to powiedzieć?

- Muszę.

- A jednak mimo to oczekujesz, że okażę jej trochę serca.

- Proszę cię o to, bo jestem przekonany, że Catherine okaże się w pełni godna naszego nazwiska. Wiem, że masz prawo jej nie lubić. Mam nadzieję, że z czasem to się zmieni.

- Wątpię. Co najwyżej mogę cię zapewnić, że postaram się ją tolerować. Mówię o córce Barringtona... twojej żonie, a mojej bratowej. Nie chcę kłótni, która tak naprawdę niczego nie rozwiąże.

Marcus w milczeniu wysłuchał tej odpowiedzi. Wiedział, że z pomocą Rogera w końcu uda mu się przekonać siostrę do Catherine. W głębi duszy chciał, aby stało się to jak najszybciej.

- Wyjeżdżałaś gdzieś? - zapytał, powoli podchodząc do żony. Przypatrywał jej się troskliwym wzrokiem, jakby pragnął ją zawczasu uspokoić. Catherine była zaczerwieniona po podróży w otwartym powozie. Spod czepka wymykały się niesforne kosmyki. Marcus miał ochotę pocałować ją w sam czubek ślicznie zaróżowionego noska. Nie zrobił tego jednak w obawie, żeby jej nie spłoszyć.

Catherine zdjęła rękawiczki, lekko uniosła głowę i przechwyciła jego spojrzenie. Marcus stał niecały metr od niej, jak zawsze wysoki, dobrze zbudowany, przystojny i elegancki. Jego sylwetka przesłaniała światło padające z okna. Na butach miał ślady błota; wyglądał tak, jakby cały dzień spędził poza domem. Zdjął kapelusz i rozpiął koszulę pod szyją. Jego widok znów wzbudził w Catherine przedziwne uczucie, którego nie umiała sobie wytłumaczyć. Przy nim stawała się bezbronna i to chyba denerwowało ją najbardziej.

- Pojechałam z Alice do Taunton - odpowiedziała nieco ostrzej, niż chciała. - Musiałam kupić sobie kilka rzeczy. O czym chciałeś ze mną porozmawiać?

- Uznałem, że najwyższa pora przedstawić cię moim krewnym i przyjaciółom. W sąsiedztwie już się dopytują, kiedy cię zobaczą.

Catherine obrzuciła go szybkim spojrzeniem.

- A to dlaczego? Ze względu na mojego ojca? Może już wiedzą, w jaki sposób doszło do naszego ślubu? Stąd ta sensacja?

- dopytywała się. - Nie jestem na pokaz.

- Moja rodzina zawsze wzbudzała duże zainteresowanie. Jeśli zaś chodzi o szczegóły naszego małżeństwa, to zapewniam cię, że nie zwykłem rozprawiać publicznie na takie tematy - podkreślił dobitnym tonem. - Chciałbym, żebyś poznała moich przyjaciół, Georgea i Margaret Stanhope'ów. Mieszkają całkiem niedaleko, w Burton Grange. Przekonasz się, że to niezwykli ludzie. Przyjaźnimy się od bardzo dawna. George jest zastępcą dowódcy miejscowego regimentu. Na pewno go polubisz.

- A jego żona?

- Ciepła, dowcipna, szczerą i uczciwą. Całkowicie oddana George'owi. Ogromnie ceni sobie naszą przyjaźń. Poza tym jest jeszcze ktoś, kogo powinnaś poznać...

Zawahał się. Catherine spojrzała mu prosto w oczy.

- Kto to taki?

- Moja siostra, Elizabeth, i jej mąż Roger.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem. Do tej pory zupełnie nie wiedziała, że Marcus ma rodzeństwo. Nigdy jej o tym nie wspominał.

- Twoja siostra?

Pokiwał głową.

- Jest żoną sir Rogera Danby'ego - odparł. - Dochowali się trójki dzieci: dwóch synów i córki. Dumna i inteligentna... Trochę starsza ode mnie.

- Dlaczego nigdy mi nie powiedziałaś, że masz siostrę? Uważałaś, że to nieważne?

- Wybacz mi. Chciałem to zrobić, ale pomyślałem sobie, że najpierw powinnaś się trochę przyzwyczać do nowego otoczenia. Wolałem uniknąć dodatkowych kłopotów.

Catherine zeszywniała lekko i uważniej zerknęła na męża. Na jej twarzy odbił się wyraz niepokoju, jakby nagle miała do czynienia z nieokreśloną groźbą.

- Twoja siostra może mi przysporzyć kłopotów? Nie rozumiem. Jest czarownicą?

Marcus z trudem powstrzymał się od śmiechu, słysząc pytanie wygłoszone całkiem poważnym tonem.

- Ależ skądże! - zawołał. - To wspinała matka oraz żona. Ma jednak swoje zasady. Zawsze byłem jej oczkiem w głowie...

- Nie musisz kończyć, już rozumiem. Nie spotkałyśmy się do tychczas, bo ma ci za złe, że to właśnie ja jestem twoją żoną.

- Elizabeth doskonale wie o wrogości, jaka panowała między mną a twoim ojcem. Prawdę mówiąc, nadal nie umie zrozumieć, dlaczego cię poślubiłem. Jest trochę nieufna, ale mam nadzieję, że cię polubi, kiedy poznacie się nieco bliżej.

Catherine już zdołała zapomnieć o zdziwieniu. Zwyciężyła w niej duma. W jej spojrzeniu mignął cień urazy.



- Tak? A może zapytasz, Marcusie, czy to raczej ja zdołam ją polubić? Wcale nie dziwię się jej niechęci. Nie chcę jednak, by udawała przychylność wyłącznie przez wzgląd na ciebie. Nienawidzę fałszu.

- Elizabeth nie jest hipokrytką. - Marcus szybko stanął w obronie siostry. - Nie potrafi udawać.

- To bardzo dobrze. Przynajmniej będę od razu wiedziała, na czym stoję. Wspomniałeś jej, że nigdy nie chciałam być twoją żoną? Przyznałeś się, do czego jesteś zdolny? Że wygrałeś mnie w karty? Zeskanowała Anula, przerobiła poną.

- To nie ma nic do rzeczy! - rzucił gniewnie Marcus. - Owszem, Elizabeth zna całą prawdę o tym, jak w rzeczywistości doszło do naszego związku. Może ucieszysz się, jak dodam, że moje postępowanie względem ciebie wywołało jej oburzenie. Zbeształa mnie, na czym świat stoi.

- Ty zaś uznałeś to za niesprawiedliwe - zimno odparowała Catherine. Była czerwona ze złości, a jej zielone oczy pociemniały jak niebo przed burzą. Wąłła nić, która w Saxton Court połączyła ją z Marcusem, nagle zaczęła pękać.

- Daj spokój, Catherine. Każdy, kto by pomyślał, że żyjesz jak...

- Jak co, Marcusie? Dokończ! Jak zwierzę trzymane w klatce? Jestem zwierzęciem.

Marcus podszedł do niej z tak groźną miną, że Catherine odruchowo cofnęła się o kilka kroków. Potem jednak bez strachu spojrzała mu prosto w oczy.

- Powtarzam, przestań! - syknął Marcus. - Jesteś tutaj jako moja żona.

- Jestem, bo nie miałam innego wyboru!

- Nawet jeżeli nie chcesz uznać naszego małżeństwa, to przynajmniej zachowaj pozory. - Obrzucił ją ciężkim wzrokiem. - Z tym nie powinnaś mieć kłopotów, moja droga.

Catherine powstrzymała się od ciętej odpowiedzi. Nie chciała zdradzać przed nim prawdziwych uczuć, uznała więc, że najlepiej będzie milczeć.

- Kiedy zapoznasz mnie ze swoją siostrą? - zapytała po dłuższej chwili.

- Jutro wieczorem.

Catherine uśmiechnęła się ironicznie.

- Tak szybko?

- To będzie małe rodzinne spotkanie z dodatkowym udziałem pary najbliższych przyjaciół.

- W takim razie już dzisiaj zacznę przygotowania. Nie obawiaj się, nie zawiodę twoich nadziei. Będę dumna i czuła, wdzięczna i czarująca. Jeżeli nawet wtedy mnie nie zaakceptują, to niech idą do diabła. Zupełnie mnie to nie obchodzi.

Energicznym krokiem ruszyła w stronę schodów. Marcus popatrzył na nią z niekłamany zachwytem i oznajmił:

- Moim życzeniem jest, abyś na tę okazję włożyła odpowiednią suknię. Jak by nie patrzeć, to będzie niewielka uroczystość.

Catherine się odwróciła. Zielone oczy spojrzały na niego jadownicie.

- Uroczystość? - spytała.

- Pierwszy raz od dnia ślubu robimy przyjęcie - odparł nonszalanckim tonem. - Chyba warto to jakoś uczcić?

- Jak chcesz. Nikt tego ci nie zabrania. Dla mnie to taki sam dzień jak każdy inny.

Marcus nie był przygotowany na to, co zobaczył następnego wieczoru, tuż przed uroczystą kolacją. Kiedy Catherine zjawiła się w wielkiej sali dworu w Saxton Court, jej mąż stanął jak wryty i spoglądał na nią z niemym zachwytem. Był pod ogromnym wrażeniem jej urody. Catherine miała na sobie zieloną aksamitną suknię, elegancką, lecz skromną, z odkrytymi ramionami i niewielkim dekoltem. Czarne włosy spięła nad czołem złocistą opaską, wysadzaną drogimi klejnotami. Długie pukle swobodnie opadały jej na ramiona i plecy. Na szyi nosiła małą kolię z brylantów, które zdawały się jarzyć ogniem i wibrować wewnętrznym życiem.

- Mam nadzieję, że to wystarczy - powiedziała Catherine lekko drwiącym tonem.

Marcus skrzyżował ramiona na piersiach i przechylił głowę. Przypatrywał się żonie, mrużąc oczy.

- Jesteś prześliczna - odparł zupełnie szczerze.

Zresztą sam też wyglądał nie najgorzej. Ubrany był w czarne spodnie, sięgające kolan, ciemny surdut i szarą jedwabną kamizelkę. Delikatna koronka zdobiła mu kołnierzyk i rękawy koszuli. Pończochy miał z najlepszego białego jedwabiu. Jego ciemne włosy połyskiwały w blasku świec. Aż trudno było uwierzyć, że to ten sam człowiek, który wczoraj stał w holu w zabłoconym stroju do konnej jazdy.

- Zdenerwowana? - spytał.

- Przerażona - wyznała Catherine.

- Zupełnie niepotrzebnie.

Sir Roger i Elizabeth przyjechali zaledwie kilka minut przed małżeństwem Stanhope'ów. Catherine dała znak Marcusowi, żeby wyszedł powitać siostrę. Sama stanęła przy kominku. Miała nadzieję, że te kilka minut pomoże im przełamać pierwsze lody. W duchu modliła się, aby ten wieczór skończył się jak najszybciej i bez niespodzianek.

Marcus z uczuciem pocałował siostrę w policzek. Westchnął z ulgą, gdy Elizabeth odwzajemniła mu się tym samym. Domyślał się, że Roger dużo z nią rozmawiał. Mimo to wyczuwał w niej pewną rezerwę. Nie zamierzała tak łatwo ustąpić w sprawie Catherine.

Elizabeth spojrzała na drugą stronę sali, na bratową, która wciąż stała w pobliżu kominka. Marcus wyciągnął rękę do żony. Catherine powoli podeszła do gości. Sute fałdy sukni kołysały się elegancko przy każdym jej kroku.

Elizabeth obrzuciła przeciągłym spojrzeniem córkę znieawidzonego Henry'ego Barringtona. Była zdumiona jej urodą i tajemniczym magnetyzmem. Nic dziwnego, że Marcus jest pod jej urokiem, pomyślała. To niebezpieczna piękność, w której oczach odzwierciedlała się siła charakteru i niewątpliwe poczucie własnej godności. Z pewnością niełatwo było nią kierować.

Catherine z równym zainteresowaniem przypatrywała się siostrze Marcusa. Zauważyła jej spojrzenie - czujne, przenikliwe. Spodziewała się, że szwagierka będzie bardzo wysoka - może dlatego, że Marcus jest wysoki. Tymczasem zobaczyła kobietę nie wyższą od niej samej. Elizabeth skończyła trzydzieści cztery lata, ale nic nie straciła ze swojej urody. Miała

rudawe włosy i duże piwne oczy. Jej cera wydawała się odrobinę bledsza, niż była w istocie.

- Elizabeth... - zaczął Marcus - chciałbym ci przedstawić moją żonę, Catherine.

Mimo woli zmarszczył brwi i w napięciu czekał na odpowiedź siostry. Elizabeth zwlekała przez chwilę.

- Witaj w rodzinie - powiedziała wreszcie uprzejmie, choć z dystansem. Usta jej drgnęły, jakby na siłę chciała się uśmiechnąć. Potem, jakby dopiero teraz o tym sobie przypomniała, wyciągnęła ręce do Catherine. - Cieszę się, że nareszcie cię poznałam.

Jej wymuszona postawa nieco zmieszala Catherine. Poczula, że drżą jej dłonie, lecz ucisnęła ręce Elizabeth.

- Bardzo dziękuję - odparła. - Szkoda, że nie mogę powiedzieć tego samego. - Z naganą zerknęła na Marcusa. - Zauważyłam, że mój mąż uwielbia niespodzianki. Jeszcze do wczoraj w ogóle nie wiedziałam, że ma siostrę.

- To do niego całkiem podobne - z kwaśną miną zauważyła Elizabeth. - Nigdy nie dbał o czyjeś uczucia. Byłam zła, kiedy Roger po powrocie z Hagi opowiedział mi o swoim niespodziewanym spotkaniu z Marcusem. O waszym ślubie też nic nie wiedziałam przez wszystkie te miesiące. Zgroza. Po prostu zgroza. Dostał ode mnie solidną burę.

Catherine widziała pionową zmarszczkę na czole Marcusa. Wyraźnie wyczuwała jego zdenerwowanie. W zachowaniu Elizabeth było coś, czego nie umiała do końca określić. Odniosła wrażenie, że za jej słowami kryła się groźba zrozumiała jedynie dla Marcusa. Catherine wzdrygnęła się mimo woli.

Nagle zapragnęła uciec z tego domu, jak najdalej od jego rodzinnych sekretów.

- Przyznaję, że to bardzo nieładnie z jego strony, lady Danby - odpowiedziała na ostatnią uwagę Elizabeth. - Na pani miejscu zachowałabym się zapewne tak samo.

- Jesteśmy szwagierkami, droga Catherine. Mów mi po prostu Elizabeth. - Odwróciła się do stojącego obok niej mężczyzny. - To mój mąż, Roger.

Sir Roger Danby uklonił się z kurtuazją.

- Witaj w Saxton Court, Catherine - powiedział z ciepłym uśmiechem. - Mam nadzieję, że spodoba ci się w hrabstwie Somerset.

Catherine polubiła go od pierwszego wejrzenia. Sir Roger mówił głębokim, przyjemnym głosem i zachowywał się o wiele swobodniej od swojej żony.

- Już mi się spodobało - odparła całkiem szczerze. - Przy najmniej to, co zdążyłam dotychczas zobaczyć.

W tej samej chwili lokaj oznajmił, że przybyli lord i lady Stanhope.

- Bardzo mi miło panią poznać, lady Reresby - powiedziała Margaret Stanhope na widok Catherine. Podeszła do niej, uśmiechając się szeroko.

Jej obecność sprawiła, że Catherine chociaż trochę odzyskała pogodę ducha. Margaret wyglądała niczym dobra wróżka z bajki. Była drobna, wciąż zgrabna, o ciemnych włosach lekko przetykanych siwizną. Jej łagodne niebieskie oczy spoglądały na świat z jakąś dziecinną ufnością.

- Proszę mi mówić Catherine.

- A ty mi Margaret - natychmiast odparła lady Stanhope.  
- Przedstawiam ci Georgea.

Pociągnęła męża za rękaw. George Stanhope był od niej o wiele starszy i całkiem siwy. Jego sylwetka była już naznaczona brzemieniem wieku, ale zaróżowiona twarz, szare oczy i rude krzaczaste brwi zdawały się należeć do kogoś młodszego.

Uśmiechnął się szeroko.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Doprawdy, brak mi odpowiednich słów, aby dać wyraz swej radości z tak uroczego towarzystwa. To dla mnie zaszczyt poznać panią, lady Catherine. Marcus wciąż opowiadał mi o pani, nie szczędząc najwyższych pochwał.

Catherine była urzeczona galanterią lorda Stanhope'a, ale ze zdumieniem słuchała jego komplementów. Ukradkiem zerknęła na męża i lekko uniosła brwi, jakby chciała zapytać, czym sobie zasłużyła na tyle uznania... Marcus spoglądał na nią nieprzeniknionym wzrokiem. Catherine wzięła lorda Stanhope'a pod rękę, odruchowo przejmując rolę troskliwej gospodyni.

- Przejdziemy razem do jadalni, milordzie? - zapytała. - Kolacja już czeka.

- Z prawdziwą przyjemnością, moja droga... i mów mi zwyczajnie George.

Catherine zajęła miejsce po drugiej stronie długiego stołu, naprzeciwko Marcusa. Goście zasiedli między nimi.

- Jesteś cudowna, Catherine - oznajmił George, odsuwając krzesło, żeby mogła usiąść. - Niemal tak cudowna jak moja Margaret.

- Ależ nie, George. - Lady Stanhope właśnie nadeszła pod rękę z Rogerem. - Pamięć cię zawodzi. Nigdy nie wyglądałam tak pięknie jak Catherine.

- W moich oczach zawsze byłaś najpiękniejsza. - Lord Stanhope z uczuciem spojrzął na żonę. - Zresztą, nie tylko w moich. Do końca życia nie zapomnę, jak musiałem odganiać od ciebie licznych zalotników.

Z błyskiem w oku popatrzył na Catherine.

- Twoja twarz przypomina lilie w pełnym rozkwicie - zauważył.

- Znasz się na kwiatach? - spytała mimo woli i wybuchnęła śmiechem.

Jej czarujący głos dźwięczał w uszach Marcusa niczym brzęk srebrnych dzwoneczków. Nie potrafił oderwać oczu od żony. Z zadowoleniem stwierdził, że w obecności Georgea zachowywała się dużo swobodniej.

- Mam piękny ogród w Burton Grange - odparł lord Stanhope, sadowiąc się na swoim miejscu. - Najbardziej jestem dumny z lilii. Dopilnuję, aby pod koniec roku, kiedy najpiękniej kwitną, kilka z nich przysłało tu, do Saxton Court.

- Och, dziękuję. To bardzo miło z twojej strony. - Catherine przeniosła wzrok na Margaret. - Twój mąż zawsze jest tak bardzo uprzejmy?

- Zawsze - z głębokim przekonaniem potwierdziła lady Stanhope i z miłością spojrzała na Georgea. - Musisz mu to wybaczyć, moja droga. Z czasem się przyzwyczaisz. George wciąż prawi piękne słówka uroczym kobietom, ale kocha wyłącznie mnie i jest mi szalenie wierny.



- Chyba nie umiałbym inaczej - z humorem zauważył George.

W tym momencie wyglądał jak chłopiec przyłapany na jakimś psocie. Aż trudno było sobie wyobrazić, że na co dzień dowodzi królewskim regimentem, pilnującym porządku w całym hrabstwie i rozbrajającego dysydentów.

- Skąd u ciebie taka marsowa mina, kochana Elizabeth? - lekkim tonem zagadnął Marcus, pomagając siostrze zająć miejsce przy stole. Zerknął na nią z uśmiechem. - Czyżbyś się dąsała? Może szukasz Fentona? Stęskniłaś się za nim? - Doskonale wiedział, co Elizabeth sądzi o rządcy.

Siostra posłała mu ostre spojrzenie.

- Staram się o nim nie myśleć bez wyraźnej potrzeby. Ciekawa jestem, gdzie się teraz skrada.

- Fenton się nie skrada.

- Nieprawda. To bardzo groźny człowiek. Odpowiedz mi na pytanie?

- Pojechał na kilka dni do brata, mieszkającego w Bath. Obiecał mi, że wróci dzisiaj w nocy.

Catherine zmarszczyła brwi. Jak Fenton mógł być teraz w Bath, skoro zaledwie wczoraj widziała go w Taunton?

Elizabeth popatrzyła na nią z ukosa.

- Co o nim sądzisz, Catherine? - zapytała. - Mam na myśli Fentona. Na pewno zdążyłaś go już trochę poznać.

- Raczej nie... To znaczy... Rzadko go widywałam.

- Powinnaś się zatem cieszyć. On nie da się lubić.

- Nie chciałbym być niegrzeczny, mój drogi Marcusie, ale pod tym względem całkowicie zgadzam się z Elizabeth

- niespodziewanie wtrącił Roger. - Zresztą znasz moje zdanie o Fentonie. Wciąż nie mam pojęcia, dlaczego twój ojciec go zatrudnił.

- Fenton przez wiele lat był rządcą u sir Johna Mortimera w Surrey. Przedstawił świetne referencje. Sir John wyrażał się o nim bardzo dobrze.

- Dlaczego się rozstali? - spytała Elizabeth.

- Fenton chciał być bliżej rodziny w Devon.

- Nigdy się nie ożenił? - włączyła się Catherine.

- Z tego co mi wiadomo, nie - odparł Marcus. - Chyba zapomniałaś, droga Elizabeth, że nasz ojciec nie był już tym samym człowiekiem, co dawniej. Przez całe życie szczyił się przed wszystkimi, że sam załatwia wszystkie sprawy. Także sam rządził w Saxton Court. Ale z upływem lat szło mu coraz gorzej. Był zmęczony natłokiem spraw i rozmaitych obowiązków. Jacob Fenton, niezależnie od swoich przekonań politycznych, zrobił naprawdę dużo dla naszego dworu. Mogę dodać, że stał się wybitną postacią w okolicy. Sąsiedzi go szanują.

- Tylko niektórzy - zauważyła Elizabeth. - Nie daj się zwieść pozorom. Jeszcze raz ci powtarzam: pilnuj tego Fentona. To wilk w owczej skórze.

Ta uwaga zainteresowała Catherine.

- Wiesz o nim coś więcej? - spytała od niechcienia, sięgając po kieliszek z winem.

Elizabeth spojrzała na nią.

- Pytasz, co robił, zanim stał się faktycznym władcą Saxton Court?

- Powiedzmy.

- W czasie długiej nieobecności Marcusa, po śmierci naszego ojca, zdobył tutaj niemałe wpływy i znaczenie. Zaczął żyć w naprawdę wielkim stylu. Jego ojciec był nieco zubożałym dżentelmenem, mieszkającym gdzieś w okolicach Devon. Fenton urodził się jako najmłodszy z czwórki braci, więc nie miał żadnych widoków na porządny spadek. Sam zarabiał na swoje utrzymanie. Ojciec poznał go podczas pobytu w Londynie. Nie wiem, jak doszło do pierwszego spotkania. Dość na tym, że po pewnym czasie ojciec zaproponował mu posadę rządcy. Przyznaję, że początkowo byłam zadowolona z tego, że wreszcie znalazł sobie kogoś do pomocy. Fenton okazał się zręcznym pracownikiem i dobrze zadbał o Saxton Court.

- Kiedy nasz ojciec został zabity, Fenton natychmiast przejął na siebie wszystkie obowiązki - dorzucił Marcus. - Zrobił to za moją zgodą. Myślę, że pozostanie na swoim stanowisku, dopóki na dobre nie odejdę z wojska. Nikt we dworze na niego nigdy nie narzekał.

- Jeżeli będziesz zwlekał, dasz mu jeszcze więcej władzy - spokojnie odparowała Elizabeth. - To człowiek okrutny, bezwzględny i ambitny. Od samego początku wydawał mi się podejrzany. Nie zdziwiłabym się, gdyby po kryjomu namawiał do buntu.

- Naprawdę? - Na twarzy Marcusa pojawił się wyraz dezaprobaty. - Zastanów się, co mówisz. W jakim świetle stawia to naszego ojca? Myślisz, że nie potrafiliby rozpoznać zdrajcy?

- Źle mnie zrozumiałaś. Nie potępiam ojca. Myślę tylko, że Fenton umie się maskować. Dostrzegłam w nim coś, czego nasz ojciec zapewne po prostu nie zauważył.

- Na przykład?

- Pan Fenton nie jest zwykłym pracownikiem. Otacza go aura władzy. Umie być groźny. Na pewno budzi strach wśród służby i parobków. Lubi polować i trzyma u siebie sforę psów wyszkolonych do łowów nie tylko na lisy.

Marcus zmrużył oczy.

- Chcesz powiedzieć, że ktoś pod moim dachem zaznał krzywdy?

- Nie znalazłam na to żadnych dowodów. Myślę jednak, że po Fentonie można się spodziewać najgorszego.

- Zawsze miałaś zbyt bujną wyobraźnię, Elizabeth. Robisz z igły widły. Moim zdaniem, pan Fenton niczym sobie nie zasłużył, żeby mu poświęcać aż tyle uwagi. Nie oskarżaj go - dodał, usiłując ukryć niepokój, który wkradł się w jego serce, kiedy usłyszał słowa siostry. - Nie mówmy już o tym.

- Wcale nie chciałam cię rozgniewać. Martwi mnie jedynie sposób, w jaki twój rządcą panoszy się w Saxton Court. Myślę, że doskonale dałbyś sobie radę bez niego.

- Póki co, zostanie - stanowczo oświadczył Marcus i nagle się uśmiechnął. - Daj spokój, Elizabeth. - Upił łyk wina i z namysłem spojrzął na żonę. - Już za parę tygodni na dobre odejdę z wojska. Wtedy zobaczymy.

Przy kolacji rozmawiano o rozmaitych sprawach, poczynając od najnowszej mody i wydarzeń na królewskim dworze, skończywszy na pogodzie. Marcus wydawał się nieco zamyślony. Nieustannie spoglądał na Catherine lub na swoją siostrę. Chyba wciąż czekał na to, że Elizabeth ciepłej przemówi

do szwagierki. A tymczasem mniej więcej w połowie wieczery, po kolejnym kieliszku wina, Margaret uznała, że nadeszła pora, aby zadać pytanie, które ją dręczyło niemal od początku.

- Marcusie - zaczęła - powiedz nam coś więcej o swojej pięknej żonie. Jak ją poznałeś? Jak doszło do ślubu? To bardzo ciekawe.

Catherine kątem oka zerknęła na męża. Marcus zeszywniał lekko. Jego ruchy stały się powolniejsze i bardziej wystudiowane. Elizabeth umilkła i ze skrywanym napięciem patrzyła na bratową. Catherine doszła do wniosku, że nie ma takiej potrzeby, aby ktoś poza najbliższą rodziną Marcusa znał całą prawdę. Jednak nie mogła gniewać się na Margaret, bo pytanie było zadane ze szczerego serca.

- Poznaliśmy się przez mojego ojca - powiedziała. - Niestety, Marcus miał swoje obowiązki, które przez pewien czas trzymały nas z dala od siebie. Potem mój ojciec umarł, lecz odzyskałam męża. - Uśmiechnęła się smutno.

- Słyszałam, że byłeś w Hadze? - zauważyła Margaret.

- Tak, to prawda. Ojciec opuścił Anglię z powodów politycznych. Nikt z nas nie robi z tego tajemnicy.

- Pojechałeś do niego?

- Ojciec Catherine miał poważne kłopoty ze zdrowiem. - Niespodziewanie Marcus włączył się do rozmowy i w ten sposób ocalił żonę przed kłamstwem. Wprawdzie uważał Stanhope'ów za przyjaciół, ale wiedział, że Margaret lubi plotkować. Nie chciał, by w całym hrabstwie uważano go za rogowca. - Bardzo tęsknił za córką.

- To chyba oczywiste - zgodziła się lady Stanhope. - Choć, moim zdaniem, zbyt wielu dysydentów poszukuje schronienia właśnie w Niderlandach. To może być niebezpieczne. A przy okazji... Może widziałas księcia Monmoutha, moja droga? Naprawdę jest taki przystojny, jak o nim mówią?

- Hm... Owszem, widziałam. Jest postawny, wysoki... Trzyma wojskowy szyk, ale w życiu codziennym umie być czarujący. I rzeczywiście jest bardzo przystojny.

- Nie wątpię, że ci się spodobał - powiedziała Elizabeth. - Mówisz o nim z zaangażowaniem. Co byś zrobiła, gdyby przyszedł tutaj na czele swojej armii? Pomodliłabyś się o szybki pokój czy raczej za zwycięstwo?

Catherine popatrzyła jej prosto w oczy.

- Jedno i drugie. Możesz być pewna, że znam swoje miejsce. Jednak nie zwykłam kłamać. Gdybym była mężczyzną, uczyniłabym wszystko, żeby wesprzeć sprawę Monmoutha. Prawo stoi po jego stronie.

Marcus zrobił wściekłą minę, ale wpojone mu zasady dobrego wychowania nie pozwoliły na głośne napomnienia. Spojrzał na żonę karcącym wzrokiem i zmusił się do spokoju.

- Monmouth to człowiek niestały w zamiarach, słaby i podatny na wszelkie sugestie - powiedział chłodnym tonem. - Nie rozumiem, jak ktoś królewskiego rodu może nagle wystąpić przeciwko własnym krewnym. Co gorsza, zrobił sobie wroga z samego króla Jakuba. Może lepiej niech nadal siedzi w Niderlandach i na dobre zapomni o angielskim tronie. Nowa wojna nikomu nie przyniesie szczęścia.

Catherine popatrzyła na niego z wyrzutem.

- Anglia cierpi pod rządami katolickiego króla. Ludzie chcą protestanta. Wierzą w lepszą przyszłość. Naród kocha Monmoutha. Jakub próbuje z nas wszystkich uczynić papistów. Parlament powoli traci rację bytu. Wszędzie słyhać pogłoski o nowej tyranii.

- Jakub jest prawowitym następcą Karola. Naszym władcą. Twoim zdaniem, należy siłą zrzucić go z tronu? - zapytała Elizabeth.

- Nie musimy rozmawiać o tym przy stole - wtrącił Marcus ostrzejszym tonem.

Catherine szybko spojrzała w jego stronę. Marcus patrzył na nią beznamiętnym wzrokiem, który niczego nie wyrażał, lecz widział bardzo wiele. Niestety, uniesiona zapałem Catherine nie dała się uciszyć.

- A kiedy, Marcusie, chcesz podjąć ten temat? Może wtedy, gdy książe Monmouth stanie pod naszymi drzwiami?

Jej pochopna odpowiedź wywołała uśmiechy zażenowania na twarzach Elizabeth i Rogera. Nawet George zrobił zakłopotaną minę i spod oka zerknął na Catherine. Jedynie Marcus siedział z nieprzeniknioną twarzą.

- Jak to, Marcusie? - z ledwie uchwytną ironią odezwał się Stanhope. - Własnym uszom nie wierzę. To mówi twoja żona?

Catherine odwróciła się do Georgea.

- Nie kpj ze mnie. Nie jestem buntowniczką. Nie mam przy sobie broni. Ale mam szczerze serce, co w dzisiejszej Anglii chyba stanowi rzadkość. Jestem Angielką z krwi i kości i popieram protestanckiego króla. Z tego względu stoję po stronie

Monmoutha... z całym szacunkiem, sir - dodała, wdzięcznie pochylając głowę.

Marcus roześmiał się, żeby rozładować sytuację.

- Myślisz, George, że mamy tu dysydentkę? - spytał. Wbił wzrok w żonę. - Wszystko wskazuje na to, że Catherine zbyt długo przebywała w Hadze. Musisz uważać, moja droga. Z królewskiego rozkazu George zamyka ludzi za takie poglądy. Uwierz mi, że nie czyni wyjątku dla kobiet.

- Miałby wspaniałą branżę - jowialnie dorzucił Roger, próbując poprawić panujący przy stole nastrój. - Niestety, na razie Monmouth jest tylko pionkiem na zatłoczonej szachownicy.

Catherine gwałtownie pokręciła głową. Jeszcze nie umiała porzucić przekonań, o których z taką pasją mówił jej ukochany Harry.

- Pionek też czasem bije króla - nie poddawała się.

Roger uśmiechnął się wyrozumiale.

- Owszem, to prawda, moja droga, ale tym razem inne figury są silniejsze. Choćby Wilhelm Orański, sam w połowie Stuart, siostrzeniec króla Jakuba i mąż jego najstarszej córki Marii. W odróżnieniu od Monmoutha, Wilhelm ma całkiem legalne prawa do angielskiego tronu. Nie zbywa mu też na popularności, bo jest protestantem. Roszczenia Monmoutha są z góry skazane na przegraną. Nie wierzysz? Przyjdzie czas, że jeszcze wspomnisz moje słowa.

- Bunt jest niczym bez buntowników - upierała się Catherine. - Wszyscy wiedzą, że właśnie w tej części kraju książę Monmouth może liczyć na największe poparcie. Pięć lat temu był tu przyjmowany niczym udzielny władca. Pozdrawiali



go chłopci, kupcy oraz szlachta. To ziemia, na której ludzie cenią sobie wolność. W drodze do Somerset myślałam, że jadę do przyjaciół.

- Możesz być pewna, Catherine, że znajdziesz ich w nadmiarze. - Roger nie przestawał się do niej uśmiechać. - Zrozum jednak, że ci z nich, którzy dzisiaj popierają Monmoutha, w gruncie rzeczy nie mają o nim najlepszego zdania. Woleliby kogoś bardziej stanowczego, o silniejszej ręce. Na dobrą sprawę, myślą o sobie, a mniej o całej sprawie.

- Catherine - odezwał się Marcus, widząc, że żona otwiera usta, by coś powiedzieć - spotkaliśmy się tutaj, żeby w pewien sposób uczcić nasze małżeństwo, a także twój przyjazd do Saxton Court. Musimy się kłócić? Zostawmy na boku Monmoutha i nie rozmawiajmy już o polityce. Na to będzie czas później, gdy na zachodzie kraju załopoczą jego sztandary.

Catherine poczerwieniała, lecz rzut oka na męża przekonał ją, że tym razem powinna umilknąć. Widziała, jak zaciskał palce na kieliszku.

Margaret przywróciła dobry nastrój przy stole. Reszta wieczoru upłynęła w pogodnej i życzliwej atmosferze, chociaż Catherine przez cały czas miała niemiłe wrażenie, że Marcus ciężkim wzrokiem przygląda jej się spod oka.

Dopiero po wyjściu z jadalni Elizabeth odciągnęła bratową na bok, z dała od uszu Margaret. Lady Stanhope, niczego nie podejrzewając, oddaliła się do bawialni, a mężczyźni zostali jeszcze chwilę, żeby wypić szklaneczkę porto.

Catherine czuła się trochę ociężała po sutej kolacji. W grun-

cie rzeczy nie miała nic przeciwko temu, żeby choć chwilę spędzić z Elizabeth. Wyczuwała jej niechęć, ale zdawała sobie sprawę, że dla siostry Marcusa wciąż była nikim innym jak córką znienawidzonego Henry'ego Barringtona. Ciekawiło ją, co Elizabeth ma jej do powiedzenia.

- Źle robisz, Catherine, drażniąc Marcusa. Jest porywczy i może zrobić coś, czego potem oboje będziecie żałować. Lepiej przy nim w ogóle nie wspominać Monmoutha.

Catherine spojrzała jej prosto w oczy i nie umiała opanować gniewu.

- Być może jestem jego żoną, lecz nie pozwolę się poniżyć. Nie będę tańczyć tak, jak mi zagrają. Potrafię myśleć i w wielu sprawach mam swoje własne zdanie - odpowiedziała oschłym tonem. - Nie będę go rozpieszczać.

Myśl, że Catherine mogłaby kogoś „rozpieszczać”, łącznie z Marcusem, wywołała mimowolny uśmiech na twarzy Elizabeth. Ten chłopak znalazł żonę w swoim stylu, pomyślała. Upartą, arogancką i zadufaną w sobie. Oj, będzie im z początku ciężko...

- Widzę, że nie uznajesz autorytetów - zauważyła Elizabeth.  
- Mimo to nie radzę ci go prowokować.

- To dlaczego z takim lekceważeniem odnosi się do Monmoutha? Dlaczego uznał go za zdrajcę? Gdzie tu mowa o zdradzie?! Czy to źle, że ktoś chce mieć protestanta na tronie Anglii?

Elizabeth zbliżyła twarz do jej twarzy.

- Znowu zaczynasz. Na litość boską, chociaż raz pomyśl o konsekwencjach swojego postępowania! Uwierz mi, że

z chwilą, kiedy na stałe weszłaś do naszej rodziny, mam pełne prawo i obowiązek zatroszczyć się o ciebie. W pewnych sprawach jesteś naiwna jak dziecko, Catherine. Czego oczekujesz od Marcusa? Poparcia? Jest żołnierzem i przysięgał wierność królowi i ojczyźnie. Gdyby choć jednym słowem pochwalił Monmoutha, natychmiast stanąłby przed sądem pod zarzutem zdrady. Naprawdę o tym nie wiedziałaś? Teraz mnie rozumiesz?

Catherine ze wstydem opuściła głowę. Nagle poczuła się jak mała niegrzeczna dziewczynka.

- Powiedziałam jedynie prawdę...

- Z własnego punktu widzenia. Ostrzegam cię: bądź ostrożna. A teraz mnie posłuchaj. Chcę z tobą porozmawiać tak, jakbym rozmawiała z każdym z rodu Reresby, który narażałby na szwank nasze dobre imię. Niczego nie będę ukrywać. Żyjemy w niebezpiecznych czasach, zwłaszcza tu, w Somerset, gdzie roi się od rebeliantów. Wygadujesz bardzo groźne rzeczy. Nie obchodzą mnie twoje poglądy, ale nigdy więcej na głos nie mów nic, co dotyczyłoby Monmoutha. Ktoś mógłby cię usłyszeć. Zamilcz więc i sama naucz się więcej słuchać.

Catherine była zła i przygnębiona. Rzeczywiście zachowała się jak nieposłuszne i, co gorsza, naiwne dziecko. Popełniła poważny błąd i mogła za to obwiniać wyłącznie siebie.

- Masz rację - przyznała z bólem. - Jestem jeszcze młoda i niedoświadczona. Chyba naprawdę za długo przebywałam w Hadze. Zrozumiałam wszystko, co przed chwilą do mnie powiedziałaś. Postaram się zapamiętać. - Popatrzyła na stojącą przed nią Elizabeth. - Dobrze wiem, co o mnie myślisz.

Nie pochwalasz małżeństwa Marcusa. To musiał być dla ciebie wstrząs. Niestety, nie wyprę się mojego pochodzenia. Nigdy nie brałam udziału w machinacjach ojca i do dnia ślubu w ogóle nie znałam waszej rodziny. Nie mam pojęcia, co naprawdę między wami zaszło...

Elizabeth przypatrywała jej się ze zmarszczonym czołem. Widać było, że walczy ze sprzecznymi uczuciami.

- Nie potrafię zapomnieć, że istotnie jesteś rodzoną córką Henry'ego Barringtona. Jednak dla dobra mojego brata muszę nad tym przejść do porządku dziennego. - Nagle uśmiechnęła się i ten uśmiech nieco ukoił żal Catherine. - Domyślam się, że tobie musi być jeszcze gorzej - powiedziała ze szczerym współczuciem.

Catherine uśmiechnęła się mimo woli.

- To prawda, lecz dzięki tobie już mi trochę lepiej.

- Masz w sobie wiele odwagi, Catherine. Za to cię podziwiam, lecz musisz wykrzesać z siebie więcej siły, żeby żyć z kimś takim jak Marcus.

Po raz pierwszy Catherine poczuła sympatię do szwagierki. Elizabeth była równie nieprzewidywalna jak jej brat - w jednej chwili zimna i odległa, w drugiej pełna wewnętrznego ciepła.

- Co uczynił mój ojciec?

Cień przemknął przez twarz Elizabeth.

- Tego musisz dowiedzieć się od Marcusa. Powiem tylko, że źle postąpił, wciągając cię w tę rozgrywkę.

## Rozdział piąty

Po pożegnaniu z gośćmi Marcus odszedł, aby poszukać Fentona i porozmawiać z nim o najpilniejszych sprawach. Catherine szybko umknęła do swojego pokoju. Z niepokojem czekała na spotkanie z mężem. Jej rozterka nie trwała zbyt długo. Marcus bez pukania wszedł do jej sypialni i z trzaskiem zamknął za sobą drzwi. Catherine, która właśnie czesała się przed lustrem, podskoczyła jak oparzona i szybko odwróciła w jego stronę. Alice i młoda służąca zamarły, trzymając w ręku pościel.

- Wybacz, Marcusie, ale nie słyszałam twojego pukania - nadąsanym tonem powiedziała Catherine.

Zabrzmiało to tak, jakby dopuścił się najgorszej zbrodni.

- Być może wcale nie pukałem! - odparł ostro.

- Z czym przychodzisz? Szczerze mówiąc, jestem już zmęczona i chciałam się położyć.

- Nie przeszkadzaj sobie - burknął. Spojrzał na Alice. - Skończyłyście? - spytał.

Stara piastunka z uśmiechem pokiwała głową.

- Tak, panie. - Wskazała na służącą. - Zabieram z sobą Marthę.

- Znakomicie. Życzę spokojnej nocy.

Po ich wyjściu Catherine z obrażoną miną popatrzyła na męża.

- To ja powinnam oddalić Alice.

- Dlaczego tego nie zrobiłaś?

- Bo nie chciałam. - Z powrotem usiadła przed lustrem i przesunęła szczotką po włosach. - Słucham. Czego ode mnie chcesz, Marcusie? Dasz mi lekcję dobrego wychowania czy wymyśliłeś gorszą karę?

Marcus powoli podszedł do żony. Przypatrywał jej się przez dłuższą chwilę.

- Co ty, do diabła, sobie wyobrażasz? Co masz mi do powiedzenia na swoją obronę?

Catherine zebrała się w sobie, żeby przetrwać nadciągającą burzę.

Marcus, nie słysząc odpowiedzi, lekko się pochylił nad nią i popatrzył jej prosto w oczy.

- Co to? Odgryzłaś sobie język? - zapytał. Był tak blisko, że Catherine poczuła na policzku jego gorący oddech. - Nie milcz, kiedy o coś pytam.

- A ty nie próbuj mnie przestraszyć - odparła ze spokojem. W jej głosie trudno było się doszukać choćby najmniejszych śladów skruchy. - W pokoju jest wystarczająco zimno bez twoich lodowatych spojrzeń. Spóźniłeś się, żeby mnie zwymyślać. Dostałam już wystarczającą burę od twojej starszej siostry.

Zmarszczył brwi.

- Naprawdę? Wcale mnie to nie dziwi. Co ty sobie w ogóle wyobrażasz? Jak możesz w ten sposób postępować ze mną i z moją rodziną? Jak możesz nas obrażać w obecności najbliższych przyjaciół? Więcej ci na to nie pozwolę. Tylko mi przypadkiem nie mów, że nie zdawałaś sobie sprawy, jak to zabrzmiało w cudzych uszach.

- Powiedziałam jedynie to, co naprawdę myślę. A ty nie pouczaj mnie, milordzie. Przypomnij sobie swoje zachowanie. To ma być wzór dżentelmena? Wolne żarty - syknęła ze zjadliwą ironią.

- Do diaska! Nie przeciągaj struny!

Marcus wyprostował się i skrzyżował ramiona na piersiach,

- Nie zapominaj, że jesteś córką Barringtona, czyli człowieka, który brał udział w spisku na życie panującego króla i chciał rzucić kraj w odmęty straszliwej wojny. Choćby z tego powodu twoje poglądy wcale mnie nie dziwią. Pamiętaj jednak, że nie wolno ci publicznie zabierać głosu w obronie wywrotowców.

- Kim są ci twoi „wywrotowcy”? Kto ich tak nazywa? - Catherine zerwała się na równe nogi. - Wyobraź sobie, że nie jesteś nieomylny. Wszyscy, łącznie ze mną, mają pełne prawo do wyrażania swoich racji.

- Twoje racje nikogo tutaj nie obchodzą.

- Nie podoba mi się, że zostałam tak ostro ukarana za to, co powiedziałam. Uważam to za hipokryzję. Dobrze wiem, że twoi dzisiejsi goście, łącznie z tobą, w głębi ducha się ze mną zgadzają.

-I tu się mylisz. Chyba w ogóle nie słuchałaś tego, co do ciebie mówię.

Catherine popatrzyła na niego z niezłomnym uporem.

- Owszem, słuchałam. Mało ci, że mnie zmusiłeś do małżeństwa, to jeszcze bawisz się w domorosłego kaznodzieję. Myślisz, że zmienię swoje poglądy? Otóż oświadczam ci, że nie, drogi Marcusie! Nic z tego!

- Na litość boską, Catherine, przecież poznałaś Georgea. Wiesz, czym się zajmuje. Jeśli będziesz otwarcie popierać Monmoutha, narażasz mnie i siebie na aresztowanie. George jest chytry jak lis. Nie daj się zwieść jego pochlebstwom. Ma przywilej dokonywania rewizji w całym Somerset i konfiskowania znalezionej broni. Do tej pory nie złapał zbyt wielu dysydentów. Za dobrze się maskują. Dopiero ty dałaś mu powody do przemyśleń. Po pierwsze, nie kryjesz swoich radykalnych poglądów, a po drugie, świeżo przyjechałaś z gniazda buntowników, czyli z Hagi. Nawet to, że jesteś moją żoną, nie zapewni ci ochrony. Gdyby George próbował cię osłaniać, sprzeniewierzyłby się swoim obowiązkom.

Catherine musiała mocno się powstrzymać, żeby nie zacząć krzyczeć. Zachowanie Marcusa doprowadzało ją do szału. Jeszcze dobrze nie ochłonęła po przykrej rozmowie z Elizabeth, a już doszło do następnej kłótni. I pomyśleć, że ostatnimi dniami nieco cieplej myślała o Marcusie.

- Odrzucam wszelkie pomówienia o jawną zdradę i anarchię. To mnie obraża. Nie popełniłam żadnej zbrodni, o którą można mnie oskarżyć. Niczego także nie planuję.

Żył nabrzmiały na skroniach Marcusa.



- Od tej pory zastanowisz się nad każdym słowem, zanim publicznie coś wypowiesz. Nigdy nie postępuj tak, jak to zrobiłaś dzisiaj.

Catherine obrzuciła go przeciągłym spojrzeniem.

- Będę mówić to, co mi się spodoba - odpowiedziała wyzywającym tonem, lecz w jej oczach pojawił się cień strachu.

- Na Boga, Catherine! - syknął Marcus. Kiedy przemawiał nieco ciszej, budził jeszcze większą grozę. - Jak śmiesz mi się sprzeciwiać?

- Na Boga? Powiedz mi, Marcusie, w co tak naprawdę wierzysz? Jakiego jesteś wyznania? Takiego jak nasz obecny król?

- Lepiej zamilcz.

- Nie mam ochoty.

- Do diaska! Przecież doskonale wiesz, że jestem protestantem.

- Dlaczego zatem z takim zapałem bronisz katolików? Dlaczego stoisz po stronie Jakuba?

- Stoję po stronie Anglii, i na tym koniec. A ty, jako lady Reresby, zachowuj się poprawnie. Jeżeli nie stać cię na szczerść, to graj wyuczoną rolę. Bądź jak prawdziwa dama. Im szybciej to zrozumiesz, tym lepiej dla nas wszystkich. Odpowiadasz przede mną za to, co się stanie. Zrozumiano?

Rozgniewana Catherine prawie go nie słuchała.

- Idź do diabła! - zawołała. - Im szybciej, tym lepiej. Nikt mi nie będzie dyktował, co mam robić. Zwłaszcza nie ty. Potrafię pokierować własnym życiem. Nawet mój ojciec nie miał na to większego wpływu. Zmusił mnie jedynie do małżeństwa

z tobą. A ty nie zważałeś na to, z kim się żenisz. Równie dobrze mógłbyś wziąć ślub z krową.

- Nie jestem mniej lub bardziej winny od Henry'ego Baringtona - zimno zauważył Marcus.

Oczy Catherine pociemniały od z trudem powstrzymywanego gniewu.

- Nienawidzę go za to, co ze mną zrobił. Nie dał mi wyboru. W zasadzie nie powinno mnie to wcale dziwić, bo kobiety nie mają prawa głosu. O wszystkim decydują mężczyźni. Jednak w tym przypadku będzie dużo lepiej, jeżeli przyzwyczaisz się do pewnej myśli. Otóż wciąż kocham Harry'ego. Nikt poza nim nie zajmie miejsca w moim sercu. Czy jesteś w stanie to zrozumieć?

- Pewnie, że jestem. Rozumiem też, że już od dawna brakowało ci silnej ręki - odparł Marcus. Był zły, że w ogóle wymieniła imię Harry'ego Stapletona. - Nie zadzieraj ze mną, bo pożałujesz - dodał.

Catherine była bliska łez i to zdenerwowało ją jeszcze bardziej. Za nic nie chciała, żeby Marcus widział jej chwilę słabości. Zebrała zatem wszystkie siły i wysoko uniosła głowę.

- Co wtedy? - zapytała sztucznie obojętnym tonem.

Marcus przysunął się do niej nieco bliżej. Jego twarz znalazła się zaledwie kilka centymetrów od jej twarzy.

- Będiesz przeklinać dzień, w którym rozpoczniesz ze mną walkę - oznajmił ze złowieszczym spokojem. - Lepiej mnie posłuchaj. Moja żona musi zachowywać się nienaganie. Nie wolno ci też splamić dobrego imienia rodziny, do której weszłaś. Pamiętaj, że teraz nosisz moje nazwisko. Jak do

tej pory, nie skrzywdziłem żadnej kobiety. Nie kuś mnie więc, żebym się zmienił. W prawdziwym gniewie jestem zdolny do wszystkiego.

- Ty wstrętny, złośliwy, zimny potworze...

- Tak, to chyba prawidłowy opis - stwierdził z niewzruszoną miną.

- Szczerze żałuję, że tu przyjechałam. Że się poznaliśmy. Nie prosiłam o to. Niczego nie żądałam... - Zaczerpnęła tchu, jakby nagle zabrakło jej powietrza. - Nienawidzę cię!

Marcus spoglądał na nią beznamiętnym wzrokiem, ale w głębi serca niespodziewanie poczuł coś na kształt współczucia. Catherine była pełna oburzenia, a jednocześnie bliska płaczu. Marcus miał ochotę chwycić ją w ramiona. Opanował się z trudem.

- Wiem, że mnie nienawidzisz - wycedził lodowatym głosem. - Zanim z tobą skończę, twoja złość będzie po tysiąc-kroć większa.

Umilkł i przez dłuższą chwilę przypatrywał jej się bez słowa. Catherine miała wrażenie, że trwa to całą wieczność. Twarz Marcusa nie zdradzała emocji, ale w jego sercu szalała burza uczuć. Wciąż patrzył na swoją żonę. Widział jej lśniące włosy, opadające niczym czarna peleryna na plecy i ramiona. Coś w nim drgnęło. Powiódł wzrokiem po jej zgrabnym ciele, ledwie okrytym cienką lnianą koszulą. Nagle pomyślał, że naprawdę mógłby być szczęśliwy, mając w swoim domu tak piękną istotę. Już niemal jej wybaczył niedawne zachowanie i to, co powiedziała w obecności gości.

- Catherine, jesteś jedyną kobietą na świecie, która usiłuje toczyć ze mną wojnę - powiedział nieco cieplejszym tonem.

- Większość znanych mi niewiast była pod wrażeniem mojego uroku. Uważały wręcz, że jestem czarujący...

- To tylko dlatego, że nie miały okazji poznać cię bliżej! Trzeba być głupią, żeby w ogóle wiązać się z kimś takim!

Marcus powoli się wyprostował. Na jego ustach igrał cień uśmiechu.

- Mimo to wiele z nich próbowało zatrzymać mnie dla siebie. - Odwrócił się w stronę drzwi. - Dobranoc, Catherine. Mam nadzieję, że dzisiejszy wieczór już się nie powtórzy.

Przez kilka sekund stał, jakby z wahaniem, jednak energicznym krokiem opuścił sypialnię żony. Catherine ciągle siedziała przed lustrem, oniemiała, zmęczona i skonfundowana. Nie wiedzieć czemu, było jej okropnie głupio.

Marcus stał w korytarzu. Kiedy tylko zamknął za sobą drzwi, natychmiast zapomniał o gniewie. Sam nie wiedział, co myśleć o żonie. Denerwowała go, a zarazem podziwiał jej upór i odwagę. Jeszcze nikt nie kłócił się z nim w tak zacięty sposób. Wciąż walczyła; w noc, w którą ją poślubił, potem na balu w Hadze...

Teraz mieszkała w jego domu. Jedli przy wspólnym stole, a raz nawet wziął ją do swojego łóżka. Mimo to nadal jej nie znał. Nie dała mu się owinać wokół palca. Zawsze chodziła z dumnie uniesioną głową, okryta czarnym płaszczem jedwabistych włosów. Jej zielone oczy błyszczały wojowniczo. No właśnie - jej oczy... Raz widział w nich złość i tęsknotę za ukochanym Stapletonem, innym razem smutek i osamotnienie. To dokuczało mu najbardziej.

Marcus skrzyżował ręce na piersiach, oparł się o framugę okna i wbił wzrok w ciemność. Myślał o wszystkim, co ostatnio usłyszał od Catherine. „Nienawidzę cię!” - zawołała. Zastanawiał się, co zrobić, żeby naprawić wszelkie krzywdy, których Catherine doznała za jego przyczyną. Nie chciał, aby jej niechęć zmieniła się w zapiekłą nienawiść.

Następnego dnia Marcus już od rana zaczął szukać żony. Postanowił, że przeprosi ją za wczorajszą kłótnię. Catherine stała w korytarzu, wiodącym do kuchni. Właśnie rozmawiała z panią Garfield. Uśmiechnął się. Jak dotąd, jego uśmiech potrafił zmiękczyć serce niemal każdej kobiety.

Catherine zauważyła go już z daleka. Marcus ubrany był w strój do konnej jazdy, wysokie buty i bryczesy. W ręku trzymał kapelusz z szerokim rondem. Wyglądał świeżo i pogodnie, jakby wczoraj nic się nie stało. Mimo to Catherine z kamienną twarzą czekała, co będzie dalej.

Marcus ciepło popatrzył na żonę.

- Postanowiłem, że dziś uwolnię cię od gospodarskich obowiązków. Pani Garfield na pewno mi wybaczy. Chciałbym, żebyś ten dzień spędziła w nieco przyjemniejszy sposób.

Gospodyni skinęła głową i poszła do kuchni. Marcus i Catherine zostali sami.

- Mówisz o przyjemnościach? - chłodno spytała Catherine.  
- Przecież wcale nie muszę podzielać twoich upodobań.

Marcus nie podjął wyzwania.

- Pomyślałem, że może przyda ci się niewielka odmiana. Chciałem ci pokazać inną część majątku. Chyba powinnaś

poznać miejsce, w którym mieszkasz, tym bardziej że jutro muszę wyjechać.

- Jedziesz do Londynu?

- Niestety, tak. Nie mogę już z tym dłużej zwlekać. Rozumiem, że umiesz jeździć konno?

Te słowa wywołały uśmiech na twarzy Catherine.

- Oczywiście! Ledwie zaczęłam chodzić, a już dosiadałam konia.

Marcus z zadowoleniem skinął głową.

- W takim razie szybko się przebierz. Tylko się pośpiesz. Mam dla ciebie małą niespodziankę - dodał z wesołym błyskiem w oku. - Będę czekał w stajni.

Catherine jak na skrzydłach pobiegła na górę i w połowie schodów stanęła jak wryta na widok zbliżającego się Fentona. Po krótkim wahaniu, dużo wolniejszym krokiem, ruszyła dalej. Starła się, żeby nie zauważył jej niechęci. Zdawała sobie sprawę, że on także nie pała do niej największą sympatią. Teraz też obrzucił ją przeciągłym spojrzeniem, jakby nagle spotkał nieproszonego gościa.

- Dzień dobry, panie Fenton - powiedziała Catherine ze sztucznym uśmiechem. - Spieszę się, więc proszę, by mnie pan przepuścił. Mąż chce mi pokazać pewną część majątku, której do tej pory nie miałam okazji zwiedzić. To dla mnie ważne, bo lord Marcus wkrótce wyjeżdża do Londynu.

- Jutro, o ile mi wiadomo - spokojnie odparł Fenton.

- Tak, to prawda. Na szczęście Saxton Court jest w dobrych rękach. To znaczy... w pańskich - zająknęła się Catherine.

- Robię tylko to, co do mnie należy. Do tej pory nikt na

mnie się nie skarżył. Mam nadzieję, że tak będzie też w przyszłości - dodał znaczącym tonem.

Catherine wyczuła nutę groźby w jego głosie.

- Nie zamierzam być pańskim wrogiem, panie Fenton.

- Wrogiem? - Uśmiechnął się z przekąsem. - Po tym, co pani powiedziała podczas wczorajszej kolacji? *Biorąc* pod uwagę, kto siedział przy stole, był to popis prawdziwej dumy i odwagi. Tak - dodał, widząc jej zdziwione spojrzenie - służba lubi sobie trochę poplotkować. Nie jesteśmy wrogami. Wręcz przeciwnie, od wczoraj mogę uważać się za pani sojusznika. Łączą nas wspólne pragnienia i poglądy.

- Chce pan, żeby księżę Monmouth zasiadał na angielskim tronie?

- Niezupełnie, lecz przecież od czegoś trzeba zacząć. A poparcie ze strony tak wpływowych osób jak, na przykład, pani, dobrze się przysłuży całej sprawie.

- Zupełnie mnie to nie obchodzi, panie Fenton. - Nagły rumieniec zabarwił policzki Catherine. - Nie będzie pan mi mówił, co mam robić.

- Mogę to zrobić z chwilą, kiedy chodzi o sprawę wszystkich protestantów.

Popatrzyła na niego z osłupieniem.

- To zakrawa na impertynencję, panie Fenton.

- Chciałbym, żeby pani mnie w pełni zrozumiała. Jak wiadomo, wielu mieszkańców naszej okolicy nie kryje niezadowolonia z przebiegu ostatnich wypadków. W codziennych rozmowach coraz częściej pojawia się imię Monmoutha. Nawet ci, którzy do niedawna ze strachu lub lenistwa siedzieli cicho,

teraz zaczynają powoli podnosić głowy. Nastroje się zmieniają. Cenię Monmoutha za to, że jest protestantem. Niestety, nawet on nigdy nie będzie w stanie odwieść mnie od tego, co zaliczam do moich obowiązków. Nie chcę żadnego króla. Nie lubię książąt i królów, ich fochów i stylu życia.

- To doprawdy zdumiewające, panie Fenton. Czegóż pan oczekuje? - spytała Catherine, zachowując pozory spokoju.

Rządca obrzucił ją kosym spojrzeniem.

- Domagam się powrotu republiki. Nie pozwolę nikomu, królom lub Monmouthom, aby zarządzili krajem. Niestety, na razie nie mamy nikogo pokroju Cromwella albo Iretona. Tylko z tego powodu popieram Monmoutha. To człowiek tak słaby, że nawet jako król nie przejmie całej władzy. Można nim pokierować.

- Obawiam się, że czeka pana głębokie rozczarowanie, panie Fenton. Wprawdzie jestem za młoda, aby pamiętać czasy Commonwealthu, ale dużo o nich słyszałam i wcale się nie palę do pełnego powrotu rządów tak zwanej republiki. Widzi pan, pod tym względem wyraźnie się różnimy. Jednak uważam, że warto coś zmienić. W Anglii źle się dzieje. Jeśli dobrze rozumiem, chciałby pan stanąć na czele miejscowej opozycji?

- Lady Reresby... To zależy, co pani rozumie pod słowem „opozycja”. Jeżeli chodzi o odwagę do wyrażania własnego zdania, to tak, zdecydowanie jestem opozycjonistą. Powtarzam: nie chcę króla. Co prawda, w całej Anglii zostało już niewielu prawdziwych republikanów, ale na pewno przyłączymy się do każdego buntu skierowanego przeciwko monarchii - zakończył z kamienną twarzą.



Miał swoje poglądy i był gotów usunąć dosłownie każdego, kto z własnej woli lub przez przypadek stanąłby mu na drodze. Catherine była dla niego nikim - co najwyżej pyłkiem, który należało po prostu strząsnąć z rękawa.

- Widzę zdziwienie w pani oczach - dodał po krótkim milczeniu.

Catherine spojrzała na niego lodowato.

- Wiem, że dziś za Monmouthem stoją różni ludzie, o rozmaitych przekonaniach i sentymentach. Jest pan niebezpiecznym człowiekiem, panie Fenton. Przyznaję, że nie rozumiem, co pan robi w majątku mojego męża. Oczywiście powtórzę mu naszą rozmowę.

Fenton wzruszył ramionami.

- Jak pani sobie życzy.

Nie dbał o to, co Catherine chciała powiedzieć Marcusowi. Wręcz przeciwnie, był zadowolony, że wywarł na niej odpowiednie wrażenie. Nie bał się Reresby'ego i wiedział, że po pewnym czasie Catherine także znajdzie się pod jego, Fentona, wpływem. Przecież przyjechał tu, na zachód kraju, głównie po to, aby ratować republikę. Ciągłe tęsknił za czasami Cromwella. Niestety, po śmierci naczelnego wodza Anglia porzuciła purytańskie zasady. Przywrócono monarchię. Fenton nigdy nie pogodził się z władzą Karola II. Uważał, że to tylko krótki, przejściowy okres. Teraz nadeszła pora na kolejne zmiany. Od lat szukał kogoś, kto mógłby mu dopomóc w tym najtrudniejszym dziele. W ten sposób trafił na Henry'ego Baringtona.

Uśmiechnął się do jego córki.

- Ludzie mają różne poglądy, milady - stwierdził. - To, co powiedziała pani przy kolacji, zakrawało wręcz na obrazę majestatu. Niektórzy dawno zapłacili głową za dużo mniejsze przewinienia - podkreślił.

- Nie należę do zdrajców, panie Fenton.

- To już nie moja sprawa. Proszę jednak pamiętać, że ludzi zazwyczaj ocenia się po ich zachowaniu.

- Nie jestem taka bezbronna, jakby się zdawało, panie Fenton. Z pana przekonania, bardziej bym się martwiła raczej o pańską głowę.

Rządca uśmiechnął się krzywo i skłonił się lekko, z wyraźną ironią.

- Zachowałem ją w najtrudniejszych latach Commonwealthu, postaram się zachować i teraz. Nie wszyscy mieli tyle szczęścia. Jednak przyjmuję pani radę.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała Catherine najspokojniej, jak tylko umiała. - Muszę się przebrać. Mąż czeka już wystarczająco długo.

Minęła Fentona i poszła na górę. Dobrze zdawała sobie sprawę, że pod nieobecność Marcusa rządca nie będzie słucał słów krytyki. Catherine była zagrożeniem dla jego olbrzymiej władzy, jaką sobie zapewnił przez ostatnie lata w Saxton Court.

- A niech to - mruknęła Alice, widząc zatroskaną minę swojej podopiecznej. - Wyglądasz, jakbyś przed chwilą zobaczyła ducha.

- Można tak powiedzieć. Spotkałam Fentona. Nie lubię go, Alice. To bezwzględny, nieczuły i bardzo groźny człowiek.

Sprawia wrażenie, że niczego się nie boi. Całkiem otwarcie głosi, że jest republikaninem i nonkonformistą. Chyba coś knuje.

- Knuje, powiadasz? Przecież w dzisiejszych czasach niemal wszyscy po trosze spiskują. Wszędzie plotki, intrygi... Czasami aż żal słuchać.

- Ale jest jeszcze coś. Ów Fenton wciąż wydaje mi się znajomy. Jakbym go gdzieś widziała.

- Jak to możliwe?

- Naprawdę nie wiem. Przy pierwszym spotkaniu zauważyłam, że popatrzył na mnie ze zdziwieniem, jakby on też mnie poznał. Zupełnie tego nie rozumiem. Niewielu gości przychodziło do Riverside House...

- Rozmawiałaś o tym z mężem?

- Nie.

- Dlaczego?

- Fenton cieszy się szczególnymi przywilejami w Saxton Court. Nie powinnam wtrącać się w te sprawy.

Catherine wetknęła szpicrutę pod pachę i naciągnęła rękawiczki. Zdążyła już zapomnieć o spotkaniu z Fentonem. Energeticznym krokiem poszła do dworskich stajni. Wyglądała prześlicznie w długiej niebieskiej sukni do konnej jazdy i zawadiacko przekrzywionym kapeluszu z piórkiem. W połowie dziedzińca lekko uniosła spódnicę i resztę drogi przebyła prawie biegiem. Zachwyił ją widok strzygących uszami koni. Głęboko wciągnęła w nozdrza znajomy zapach. Uwielbiała woń skórzanej upręży, ciepłego siana i świeżej ściółki. Powróciły do niej wspomnienia

z czasów, gdy jako mała dziewczynka jeździła na konne wycieczki w towarzystwie Harry'ego.

W stajniach panował wyteżony ruch. Część zwierząt właśnie wróciła z porannego biegu.

Catherine rozejrzała się dookoła doświadczonym okiem. Zauważyła ogniste wierzchowce, dobre do szybkiej jazdy oraz skoków, i przez to używane najczęściej do polowań ze sforą ogarów. Przez chwilę przyglądała im się z upodobaniem. Od dziecka uwielbiała konie. Nie mogła się powstrzymać, by nie wyciągnąć ręki i nie pogłodzić po karku najbliższego kasztana. Wierzchowiec w odpowiedzi lekko trącił ją nosem. Pokraśniała z zadowolenia.

Marcus obserwował żonę od dłuższego czasu. Widział szczerą radość, malującą się na jej twarzy. Podeszedł bliżej.

- Lubisz konie - powiedział. - Bardzo się z tego cieszę, bo sam mam wiele sentymentu dla tych szlachetnych zwierząt.

- Tak, lubię - potwierdziła Catherine i roześmiała się perliście, kiedy kasztan potrząsnął łbem i parsknął donośnie, witając swego pana. - Jeździłam już wtedy, gdy byłam mała. Z tego, co widzę, masz tutaj kilka sztuk pełnej krwi.

- To prawda. Niektóre sprowadziłem z Londynu. Są nawet dwie arabskie klacze prosto ze stajni króla Karola.

- Dużo jeździsz? - spytała z wielką ciekawością.

- Kiedy tylko mam na to czas i ochotę. Te zwierzęta to moja duma. Najlepsze w całym Somerset. Chociaż przypuszczam, że George by się z tym nie zgodził. On też ma zupełnie dobre stado - dodał wesoło. - W jego mniemaniu znacznie lepsze od mojego.

- A myśleliście kiedyś o wyścigach?

- Chodź ze mną. Coś ci pokażę. Na pewno ci się to spodoba.

Marcus wziął ją za rękę i poprowadził na drugą stronę stajni, gdzie młody chłopak o jasnych włosach i mocno piegowatej twarzy trzymał za uzdę prześliczną klacz o jedwabistej maści. Na jej czole połyskiwała mała srebrzysta gwiazdka. Trzy białe skarpetki dodatkowo odróżniały zwierzę od pozostałych koni.

Catherine przyglądała się klaczy z niemym zachwytem. Podeszła do niej i delikatnie objęła ją za szyję. Marcus patrzył na to z ciekawością. Pierwszy raz od przyjazdu do Saxton Court widział swoją żonę tak zadowoloną. Nie było w tym nic fałszywego.

- Cudo - szepnęła Catherine. - Jak ma na imię?

- To twoja klacz - z prostotą odparł Marcus. - Nazwij ją, jak zechcesz.

- Moja?... Ale... Och! Nie wiem, co powiedzieć... Dziękuję! To najwspanialsza rzecz, jaką dostałam... - Urwała nagle i spojrzała na konia. - Imię to coś ważnego. Coś osobistego. Muszę nad tym pomyśleć. Tak będzie najlepiej.

Marcus pieszczotliwie poklepał klacz po karku.

- Piękna, prawda?

- Szkoda, że byłeś mniej uważny przy wyborze żony - zauważyła Catherine, nie mogąc się powstrzymać od złośliwości.

Marcus uśmiechnął się wyrozumiale, ale po jego twarzy przemknął cień zniecierpliwienia.

- To się jeszcze okaże. Osiodłaj ją, Bobby - zwrócił się do stajennego. Spojrzał na Catherine. - Zaraz się przekonamy, jak sobie radzisz.

Stajenny pospiesznie przygotował klacz do jazdy. Marcus splótł dłonie i pomógł żonie wspiać się na siodło. Był zdumiony jej zręcznością.

Sam dosiadł ulubionego czarnego ogiera, Błyskawicy, ogromnego zwierzęcia o silnych mięśniach, wyraźnie rysujących się pod błyszczącą sierścią. Spokojnym truchtem opuścili stajnię i skierowali się w stronę parku. Klacz szybko reagowała na najłżejsze pacnięcie szpicrutą. Catherine powodziła nią lekko i ze swobodą. Marcus przez cały czas spoglądał na żonę spod oka. Przejechali przez rozległą zieloną łąkę. Catherine głęboko wciągnęła w płuca świeże, pachnące powietrze. Wiatr lekko rozwiewał jej wspaniałe włosy. Mimo towarzyszącemu jej stale smutkowi w sercu zagościło poczucie głębokiej wdzięczności do męża. Lord Resesby okazał się hojny.

Wreszcie, za przyzwoleniem Marcusa, puścili się galopem. Klacz najwyraźniej cieszyła się szybszą jazdą. Płynnym ruchem przemknęła nad wąskim strumieniem, płynącym w poprzek łąki.

Marcus obserwował Catherine z rosnącym podziwem. Była wspaniałym jeźdźcem. Siedziała prosto, z wysoko uniesioną głową. W pewnej chwili zręcznym ruchem dłoni lekko ściągnęła wodze i zmusiła klacz do pięknego skoku nad niskim żywopłotem.

Po pewnym czasie zwolnili, aż wreszcie stanęli. Catherine roześmiała się, z trudem łapiąc oddech. Miała zaczerwienione

policzki, a oczy błyszcząły jej jak dwie jasne gwiazdy. Z prawdziwą miłością poklepała klacz po wygiętej szyi.

- Lubisz ją?

Catherine ciepło spojrzała na męża.

- To naprawdę cudowne zwierzę. Nie wiem, jak ci dziękować.

- Wymyśliłaś już dla niej jakieś imię?

- Chyba tak. Zachowuje się jak tancerka, więc niech będzie Melodią.

Marcus zastanowił się chwilę, a potem z uśmiechem skinął głową na zgodę.

Wjechali na wąską ścieżkę, wiodącą wzdłuż strumienia, który wpadał do całkiem sporego jeziora. W oddali, zza drzew prześwitywała lśniąca tafla wody. W pewnym momencie porzucili ścieżkę i skręcili w stronę rozległej polany, porośniętej błękitnymi dzwonicami. W powietrzu unosił się odurzający zapach kwiatów. Dzikie kaczkę z łopotem skrzydeł podrywały się z szuwarów. Nad brzegiem wody szumiały rozłożyste wierzby.

Marcus zeskoczył z siodła i podszedł do Catherine. Wyciągnął ręce, chwycił ją w talii i zestawił na ziemię. Konie powoli poszły naprzód. Uprząż dźwięczała cicho przy każdym ich kroku. Po chwili zaczęły paść się na soczystej trawie.

- Przejdźmy się trochę - zaproponował Marcus.

Bez pośpiechu, spacerem powędrowali nad jezioro. Woda szemrała cicho zaledwie kilka metrów od miejsca, w którym stali. Przez dłuższą chwilę żadne z nich nie powiedziało ani słowa. Z zachwytem rozglądali się po okolicy. Była to oaza

spokoju i naturalnego piękna. Catherine zauważyła czaplę, stojącą nieruchomo wśród wysokiej trzciny. Urok tego zakątka działał na nią kojąco. Na moment zapomniała o wszelkich zmartwieniach. Nawet pozbyła się napięcia, które odczuwała w obecności Marcusa.

Popatrzyła na niego ukradkiem. Mąż stał profilem do niej, z zamyśleniem wpatrzony w odległe budynki dworu. Tak mało go znała... Nagle zapragnęła dowiedzieć o nim coś więcej, ująć go za rękę, spojrzeć prosto w oczy, odgarnąć kosmyk, który mu opadł na czoło.

Już przedtem, podczas bezsennych nocy, borykała się z nowym, nieznanym uczuciem. Mimo woli wracała myślą do pewnego wieczoru, spędzonego w tawernie na przedmieściach Hagi. Wciąż widziała Marcusa. Przypominała sobie jego dotyk i uśmiech i to, że był tak blisko. Z jednej strony bolała nad tym, co się stało, ale z drugiej po cichu czekała na więcej. Wszak nienawiść tak mało dzieli od miłości...

Musiała coś powiedzieć, żeby przerwać ciszę. Przystanąła. Marcus uczynił to samo i popatrzył na nią pytającym wzrokiem.

- Pragnę ci coś wyjaśnić - zaczęła. - Chciałam cię przeprosić za to, co było wczoraj. Wiem, że wprawiłam was w zakłopotanie. Trochę mnie poniosło. Stałam się niegrzeczna i bardzo złośliwa. Teraz tego żałuję. Źle się zachowałam. Przepraszam cię. Mam nadzieję, że zdołasz mi wybaczyć.

Słowa Catherine zabrzmiały szczerze. Marcus spoglądał na nią ze zdumieniem. Owszem, czekał na przeprosiny, lecz nigdy się nie spodziewał, że nastąpi to tak szybko.



- Już ci wybaczam - odparł, patrząc jej prosto w oczy.

- Dziękuję - powiedziała. - Podejrzewam, że biedny George uznał mnie za wariatkę lub fanatyczkę - dodała z lekką przekorą w głosie. Uśmiechnęła się. - Sądziysz, że naprawdę chciałby mnie aresztować?

Marcus się roześmiał.

- Wątpię. To chyba oznaczałoby koniec naszej przyjaźni - zauważył. Pomału ruszyli w dalszą drogę.

- O czym myślisz? - spytała po chwili Catherine.

Marcus uśmiechnął się tajemniczo, nie odrywając wzroku od cichej tafli jeziora.

- Im dłużej jestem z dala od Saxton Court, tym bardziej tęsknię za tutejszą ciszą. Chciałbym tu zostać już na stałe. Polować, łowić ryby w jeziorze...

- Lubisz wędkować?

Skinał głową. Pochylił się i podjął z ziemi garść małych kamyków. Niczym chłopiec zaczął rzucać je w uśpioną wodę. Catherine w milczeniu przyglądała się coraz większym kręgom na powierzchni jeziora.

- Kiedy byłem mały, przychodziłem tutaj niemal codziennie. Czasami pływałem łódką w towarzystwie ojca, niekiedy siedziałem z wędką, ukryty na brzegu. Ojciec uczył mnie łowić. Wiedział o rybach wszystko. Na koniec zawsze paliliśmy ognisko i zasiadaliśmy we dwóch do kolacji. Wciąż pamiętam ów smakowity zapach... Wiesz co, Catherine? W tym jeziorze jest mnóstwo ryb. - Urwał i spojrzał na żonę. - Łowiłaś kiedyś?

- Nie, nigdy.

- Jak już odejdę z wojska i wrócę tu na stałe, nauczę cię, jak się posługiwać wędką. Rozpalimy ognisko i będzie tak jak dawniej...

- Dobrze - szepnęła Catherine. Próbowała sobie wyobrazić Marcusa jako małego chłopca, siedzącego przy ogniu z rybą zatkniętą na patyk. - To by mi się podobało - powiedziała po chwili. - Dlaczego ciągle przebywasz gdzieś daleko, skoro tak bardzo tęsknisz za rodzinnym domem? Jesteś jedynakiem, spadkobiercą rodu, właścicielem rozległych dóbr i wspaniałego dworu. Poświęciłeś to wszystko dla żołnierskiego życia? Twój ojciec nigdy od tego cię nie odwodził? Nie bał się, że zginiesz?

- Równie dobrze mógłbym spaść z konia i zginąć na polowaniu.

- Pewnie tak.

- Ojciec doskonale rozumiał moją żołnierską duszę. Sam był dowódcą jazdy podczas wojny domowej. Ale nie o to chodzi. Nie dałem mu wyboru. Zawsze chciał, żebym kiedyś osiadł w Saxton Court. - Marcus się uśmiechnął. - Był rozczarowany, gdy mu oznajmiłem, że zaciągnę się do wojska. Zdawał sobie sprawę z tego, że muszę się sprawdzić. W tamtych latach byłem trochę buntownikiem. Wiesz, taka rogata dusza... Obiecałem, że kiedyś na pewno tu wrócę. Wtedy pogładził mnie po głowie i dał swoje błogosławieństwo.

- Wspaniały człowiek.

Wspomnienie o ojcu sprawiło, że Marcus z cichą zadumą zapatrzył się gdzieś w przestrzeń.

- To prawda - powiedział stłumionym głosem. - Nigdy nie

poznałem nikogo lepszego. Gdyby coś mi się stało, Saxton Court miało przejść w ręce synów Elizabeth. - Lekko wziął żonę pod brodę i spojrzał jej prosto w oczy. - Po moim słowie wszystko się zmieniło. Dobrze wiem, że nasz związek jest czymś niezwykłym, ale myślę, iż z czasem stanie się inaczej. Chciałbym mieć synów, Catherine. Weźmiesz to pod uwagę?

W tych cichych, spokojnych słowach krył się tak ogromny ładunek emocji, że Catherine na chwilę wstrzymała oddech. Nie wiedziała, co począć. Pierwszy raz Marcus odezwał się do niej z czułością w głosie.

- Dobrze... Pomyślę o tym... Teraz, gdy wyjedziesz...

- Bardzo cię o to proszę - podkreślił.

Poszli kawałek dalej. Wreszcie Marcus zatrzymał się i usiadł na trawie. Ruchem ręki zaprosił Catherine, żeby zajęła miejsce obok niego.

Poszła za jego przykładem i podciągnęła nogi pod siebie, żeby nie wystawały spod spódnicy.

- Kiedy mi powiesz, czym mój ojciec zawinił wobec ciebie?

- spytała nagle. - Muszę to wiedzieć. To przecież dla mnie bardzo ważne.

Marcus oparł się plecami o pień pobliskiego drzewa.

- Już dawno zamierzałem ci o tym opowiedzieć - odezwał się po krótkim milczeniu. - To twoje niezbywalne prawo. Nie szukam usprawiedliwienia za to, co zrobiłem. Mam nadzieję, że znając prawdę, sama to zrozumiesz.

Przez chwilę patrzyli sobie prosto w oczy. Zapomnieli o wszystkich niesnaskach i kłótniach. Zapadła głęboka cisza. Wreszcie Marcus zaczął mówić:

- Twój ojciec był odpowiedzialny za śmierć mojego ojca. Podejrzewam, że to właśnie on kazał go zamordować.

Catherine przypatrywała mu się z osłupieniem. Tego na pewno się nie spodziewała. Na jej twarzy malowało się niedowierzanie.

- Morderstwo? - powiedziała wreszcie. - Nie, to niemożliwe. Mój ojciec był zdolny do wielu rzeczy, ale morderstwo? Nie wierzę... Masz na to jakiś dowód?

Marcus poważnie skinął głową.

- Przeprowadziłem własne śledztwo. Po pewnym czasie znalazłem jednego ze współników. Wyznał mi wszystko, co sam wiedział.

- Jak umarł twój ojciec? Gdzie to było?

- W naszym domu w Londynie. Ktoś go zakłuł jego własnym sztyletem.

- Nic nie rozumiem... Dlaczego?

- Przecież wiesz, że Henry Barrington był zagorzałym republikaninem. Nigdy nie krył swoich poglądów. Przez całe życie tęsknił za powrotem do czasów Commonwealthu. Za panowania króla Karola zorganizował spisek na życie jego brata, ówczesnego księcia Yorku. W ten sposób chciał usunąć następcę tronu. Mój ojciec odkrył zdradę i musiał zginąć.

- Pamiętam, że pan Soames, prawnik naszej rodziny, wspominał mi o nieudanej próbie zamachu na króla Karola i księcia Yorku. Większość spiskowców zginęła potem na szafocie.

- Owszem. Mój ojciec nieustannie śledził Barringtona. Odkrył, że był wśród zamachowców ukrytych w Rye House, na

drodze z Newmarket. Jako sędzia pokoju, miał dokumenty z wszystkimi nazwiskami. Barrington postanowił pozbyć się go na zawsze. Jego wspólnik dokonał morderstwa i zabrał wszystkie papiery.

- Kto to był? - cicho spytała Catherine.

- Nie wiem. Wciąż go szukam.

- Trafiłeś na jakiś ślad?

- Jeszcze nie, ale na pewno trafię.

- Chciałabym ci pomóc, ale mój ojciec nie dopuszczał mnie do swoich spraw i znajomości. Wiem tylko, że przyjmował kogoś późną nocą - najczęściej opozycjonistów, wigów albo weteranów jeszcze z czasów Cromwella, szpiegów, informatorów. Jedni z nich lubowali się w intrygach, inni lubili dobrą whisky. - Uśmiechnęła się smutno. - Siedzieli niemal do rana, dyskutując zawzięcie. Czasami, gdy byłam mała, siadałam na szczycie schodów i podpatrywałam ich ukradkiem. Starałam się, żeby mnie nie zauważyli.

Marcus popatrzył na nią łagodniejszym wzrokiem.

- Biedna Catherine. To smutne dzieciństwo. Dorastałaś bez matki, odepchnięta przez ojca... A potem przyszła kolej na mnie. Prawdę mówiąc, nie miałaś szczęścia.

Catherine unikała jego spojrzenia.

- Nie - powiedziała cicho. - Nie miałam.

- Dzisiaj wiem, że postąpiłem z tobą bardzo źle i niesprawiedliwie. Nigdy sobie tego nie wybaczę. Na dobrą sprawę powinienem oddać Barringtona w ręce władz i zapewnić mu uczciwy proces. Chciałem jednak, żeby cierpiał, tak jak ja cierpiałem. Wybacz, że cię w to wciągnąłem. Ani przez chwilę

nie podejrzewałem, jak w istocie wyglądają twoje stosunki z ojcem. Dla mnie byłaś tylko zwykłym narzędziem zemsty.

- Wiem. Wygląda na to, że przez jedną kartę będę teraz cierpieć aż do końca życia.

- Nie myśl tak, Catherine. Muszę zatrzymać się w Londynie, dopóki nie wyjaśni się sprawa Monmoutha. Póki co, nie będziesz mnie zatem oglądać. Na pewno poczujesz ulgę. Lecz potem wrócę... Pamiętaj o tym i pomyśl co dalej. - Przerwał i zmarszczył brwi. - Muszę ci jeszcze coś powiedzieć.

- Co takiego?

- Tym razem chodzi o Monmoutha. Dobrze wiesz, że tutaj ma wielu zwolenników.

- I co z tego? Dlaczego tak cię to martwi, Marcusie?

- Jesteśmy w Somerset. Prawdę mówiąc, siedzimy jak na beczce prochu. Podczas wojny domowej to właśnie tutaj istniało największe gniazdo oporu republikanów. Mało tego, ich wojska odniosły zwycięstwo. Po restauracji władzy królewskiej na Somerset spadły najcięższe kary. Niestety, to tylko umocniło buntownicze nastroje.

- Może wcale nie będzie rebelii? Jeszcze niczego nie wiemy na pewno.

Marcus spojrzął nad jej ramieniem na promienie słońca, igrające na falach jeziora.

- Ja wiem wystarczająco dużo - powiedział smutnym głosem. - Królewscy gońcy nieustannie krążą pomiędzy Hagą a Londynem. Przygotowania idą pełną parą. Sam to widziałem. Boję się, że Monmouth zechce przypuścić atak na Jakuba podczas najbliższej sesji parlamentu.

- Dlaczego właśnie wtedy?  
- Wielu namiestników pojedzie do Londynu. George już się tam wybiera. Gdy zabraknie dowódców, część żołnierzy przejdzie na stronę rebeliantów.

- Już rozumiem... A Monmouth? Ilu ma oficerów?

- W tym właśnie największy problem. Brakuje mu dobrej kadry, zahartowanej w boju i świetnie wyćwiczonej. Wprawdzie ma wielu dawnych zwolenników Cromwella, ale oni są już za starzy, żeby dowodzić armią, a zwłaszcza na polu walki. To nie są przeciwnicy dla oddziałów króla.

- Przecież wszyscy dobrze wiedzą o planach inwazji. Czy nie można powstrzymać Monmoutha na morzu?

- To nie takie proste. Kilka naszych okrętów bez przerwy patroluje kanał. Mimo to Monmouth może się przedrzeć. Podejrzewam, że kupi duży okręt wojenny i przebije blokadę. Najbardziej się boję, że zostaniesz sama, gdy będę w Londynie. Znam mieszkańców Saxton Court. Wielu z nich stoi po stronie Monmoutha. Już prosiłem Fentona, żeby otoczył cię staranną opieką.

Catherine z niesmakiem zmarszczyła śliczny nosek.

- Pan Fenton nigdy nie ukrywał, że sympatyzuje z rebeliantami. Skąd wiesz, że nie porzuci swojego stanowiska?

- Mam nadzieję, że tak się nie stanie. Dał mi słowo.

- To trochę za mało. Jest republikaninem i szczerze nienawidzi wszystkich królów i książąt. Sam mi to powiedział. Chce powrotu Anglii z czasów Cromwella.

- Nie mogę w to uwierzyć. - Marcus pokręcił głową.

- To niebezpieczny człowiek - impulsywnie powiedziała Catherine. - Nie lubię go, Marcusie, i on mnie też nie lubi.

- Spróbuj zapomnieć o uprzedzeniach. Sytuacja w kraju jest wyjątkowo trudna. Musisz bardzo uważać. Strach pomyśleć, co będzie, jeżeli przypadkiem powiesz coś złego o królu i twoje słowa dotrą do niewłaściwych uszu. Chyba nie chcesz zagłady całego Saxton Court. Przez cały czas pamiętaj, że jestem królewskim oficerem. Nie możesz otwarcie głosić poparcia dla Monmoutha.

- Nic się nie bój - obiecała solennie. - Będę ostrożna.

- Zdajesz sobie sprawę, co nastąpi później, w razie buntu i nieuniknionej klęski Monmoutha? Dojdzie do represji. - Marcus pochylił się w stronę żony i spojrzał jej prosto w oczy.

- Proszę cię tylko o to, byś mi zaufała. O nic więcej.

Był tak blisko, że dreszcz przebiegł po plecach Catherine.

- Przyrzekam ci to - odparła bez wahania. - Nigdy nie zachowam się tak jak wczoraj. Masz na to moje słowo.

- Naprawdę? - wyszeptał.

Catherine skinęła głową.

- To nie znaczy jednak, że zostanę papistką - dodała lżejszym tonem.

- Mnie też wcale się nie podoba, że mamy na tronie króla katolika - odparł Marcus. - Sam jestem protestantem, ale realistą. Możesz być zupełnie pewna, że Jakub zbyt długo nie zagrzeje miejsca na angielskim tronie. Jednak nie chcę Monmoutha. To słabeusz. Bardziej widziałbym córkę Jakuba, Marię, i jej męża Wilhelma.

Wstał i wyciągnął ręce do Catherine, żeby pomóc jej podnieść się z ziemi. Ona jednak zrobiła to o własnych siłach. Marcus przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią swoimi



ciemnymi oczami. Co za ironia losu, pomyślała. Właśnie teraz, kiedy zaczęłam poznawać go trochę lepiej, znów musimy się rozstać.

- Chcę, żebyś była naprawdę szczęśliwa - nieoczekiwanie odezwał się Marcus. - Myślisz, że mamy przed sobą wspólną przyszłość?

- Szczerze mówiąc, nie wiem, Marcusie - odparła Catherine.  
- Na razie nie potrafię ci wybaczyć tego, co zrobiłeś. Teraz jednak wiem więcej. Lepiej cię rozumiem. Musisz być cierpliwy. Obiecuję, że to przemyślę. Nie chcę reszty życia spędzić tylko w zgrzocie.

Oboje strzemię w strzemię wrócili do Saxton Court.

Następnego ranka Marcus dosiadł swego konia i po chwili zniknął za zakrętem traktu. Catherine odprowadzała go zamysłonym spojrzeniem.

## Rozdział szósty

Catherine wyjechała z lasu na niewielką polanę. Przed sobą zobaczyła grupę milczących ludzi: kilku mężczyzn, kobiety i wystraszone dzieci. Ich twarze wyrażały najróżniejsze emocje: od strachu, poprzez zgrozę, do bezsilnej złości. Catherine ściągnęła wodze i przez krótką chwilę przypatrywała się tej scenie. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach.

W stronę starego drzewa, kulejąc, zmierzała jakaś żałosna postać. Był to mężczyzna z rękami związanymi na plecach. Wokół niego uwijała się sfora jazgoczących psów. Więziń miał już okropnie pogryzione nogi. Za nim ciągnęła się strużka świeżej krwi.

- Łaski! Nie zabijajcie mnie! - krzyknął w pewnej chwili, rozglądając się z przerażeniem.

Jakaś kobieta wybiegła z tłumu i rzuciła się do stóp Fentona.

- Puście go! To mój ojciec! Na litość boską, nie pozwólcie mu umrzeć! - błagała, szlochając głośno.

Fenton rzucił na nią obojętne spojrzenie. Jeden z jego

podwładnych, drab o brutalnej twarzy, z długim biczem w ręku, bezceremonialnie odciągnął kobietę na bok.

Catherine przypomniała sobie rozmowę z siostrą Marcusa. Elizabeth już dawno miała podejrzenia w stosunku do Fentona. Teraz prawda wyszła na jaw. Catherine zacięła konia, podjechała bliżej i zatrzymała się niecałe dwa metry od rządcy.

- Co tu się dzieje, panie Fenton? - spytała ostrym tonem.

Na dźwięk jej głosu wszystkie głowy odwróciły się w tę samą stronę. Fenton drgnął, ponieważ do tej pory nie był świadom obecności Catherine. Popatrzył na nią, zmrużył oczy i wyprostował się jak świeca.

- Przecież to chyba oczywiste - odrzekł wyzywającym tonem. - Pytanie raczej brzmi: dlaczego?

- Nie wątpię, że mnie pan zrozumiał. Czekam na odpowiedź.

- To nie ma nic wspólnego z panią, lady Reresby - odparł I Fenton i pochylił głowę w drwiącym ukłonie. - Musimy wychłostać pewnego złoczyńcę. To nieprzyjemny widok, a więc szczerze radzę, aby odjechała pani stąd jak najdalej. Pani ma swoje obowiązki, a ja swoje.

Catherine z trudem powstrzymywała wybuch gniewu. Fenton obrażał ją tym zachowaniem.

- Nie podoba mi się pański ton, panie rządczo. - Kątem oka spojrzała na nieszczęsną ofiarę, przygotowaną już do kaźni. Nieszczęśnik drżał ze śmiertelnego strachu. - Jaką zbrodnię popełnił ten człowiek? Na czym polega jego przewinienie? - zapytała.

- Przyłapano go na kłusownictwie, milady.

- Na kłusownictwie? - Catherine ze złością popatrzyła na rządcę. - I za to ma być wychłostany?

- Nie lubimy tutaj kłusowników. Chłosta to najlżejsza kara. Do tego w pełni zasłużona.

- Jestem innego zdania, panie Fenton. Coś mi się zdaje, że trochę się pan zapomina. Wziął pan na siebie rolę sędziego? To jest przywilej mojego męża. Proszę natychmiast uwolnić więźnia. Z tego, co widzę, to pańska sfera już wymierzyła mu surową karę.

Błada twarz Fentona z gniewu stała się jeszcze bledsza. Już się nie uśmiechał, jakby uznał, że nie warto dbać o pozory. Catherine doskonale zdawała sobie sprawę, że od tej chwili stał się jej nieprzejednanym wrogiem. Patrzył na nią z nienawiścią. Mimo to musiała zwyciężyć w tej bitwie, żeby zachować respekt wśród mieszkańców dworu. Zimnym wzrokiem patrzyła na stojącego przed nią rządcę. Wreszcie to on pierwszy odwrócił spojrzenie.

Podszedł do kłusownika.

- Twoje szczęście, złodzieju, że lady Reresby ma miękkie serce - burknął i krótkim ruchem ręki dał znak swoim pomocnikom, żeby puścili ofiarę. - Rozetniście mu więzy - dodał. - A teraz precz mi z oczu.

- Zabierz go do domu i zabandażuj rany - łagodnie powiedziała Catherine do kobiety, która przedtem błagalnie padła do stóp Fentona.

- Dziękuję, milady - zaszlochała tamta. Jej oczy przepełnione były najszczerzą wdzięcznością. - Niech Bóg cię błogosławi.

Dookoła wciąż panowała głucha cisza. Kobieta zabrała kuśtykającego ojca. Tłum rozszedł się powoli. Catherine ponownie spojrzała na Fentona, który zdążył dosiąść swego konia.

- Nie będę z panem dyskutować, panie Fenton. Jako rządca mojego męża, ponosi pan odpowiedzialność za wszystko, co się dzieje tu, we dworze. Nie chcę słyszeć o żadnych kolejnych pańskich wybrykach. Czy to jasne?

Fenton nie krył wściekłości. Nie w smak mu było, że na oczach ludzi został pokonany przez młodą kobietę. Podjechał nieco bliżej.

- Jasne, milady. - Uśmiechnął się złośliwie. - Chociaż muszę powiedzieć, że jestem zdumiony, iż tak szybko weszła pani w rolę żony królewskiego żołnierza, człowieka, który broni dawnego reżimu i jest gotów zabijać tak zwanych "rebeliantów", walczących o wolność dla całego kraju. To niedobrze. Pani ojciec na pewno by się bardzo zmartwił. Byłby rozczarowany.

Catherine spojrzała na niego uważnie.

- Pan znał mojego ojca.

Fenton przytaknął z uśmiechem.

- Nawet bardzo dobrze.

- Skąd?

Uśmiech rządcy stał się jeszcze szerszy.

- Byliśmy członkami tego samego klubu.

Skłonił się drwiąco. Catherine nie była w stanie wypowiedzieć słowa.

Rządca popatrzył na nią z wyraźną satysfakcją, po czym odwrócił się i odjechał galopem, ścigany przez sforę psów

i swoich pomagierów. Przez cały czas mruczał pod nosem przekleństwa. W duchu obiecał sobie, że córka Barringtona jeszcze drogo zapłaci za to, co zrobiła. Jak mogła go ośmieszyć w obecności ludzi! Przyjdzie chwila, że pożałuje, iż się urodziła!

Catherine powoli wracała do domu. Strzępy dawno zatartych obrazów przelatywały jej przez głowę niczym chmury pędzone wiatrem po błękitnym niebie. Widziała twarze ludzi, którzy kiedyś bywali u jej ojca. Którzy nocami odwiedzali Riverside House i przesiadywali tam aż do świtu. Twarze republikanów. ..

Czyżby Fenton do nich należał? Może to stamtąd go za-

Ostatniego dnia maja admiralicja Amsterdamu wydała zezwolenie na wyjście z portu trzech okrętów księcia Monmoutha, zakotwiczonych przy wyspie Texel u samego wylotu Zuider Zee.

Amsterdam był tradycyjną siedzibą republikanów, nikt więc nie żywił tu sympatii do króla Jakuba. Wszyscy widzieli w nim papistę. Książę, gotów swoim nazwiskiem i pozycją wesprzeć protestantów, nie zrobił niczego, by choć trochę uciszyć buntownicze nastroje. Wręcz przeciwnie, chętnie brał pieniądze na zakup nowej broni i przychylnie nadstawiał ucha na wszelkie pochwały.

Był w pełni przekonany, że w Anglii też znajdzie wielu sojuszników. Książę Argyle przygotowywał w Szkocji wielką

ofensywę, która miała odciągnąć królewskie oddziały z dala od Londynu. Monmouth, w towarzystwie osiemdziesięciu zaufanych oficerów, zamierzał pomaszerować prosto na stolicę. Jedenastego czerwca wylądował w Lyme Regis w Dorset. Słysząc było okrzyki: „Monmouth! Monmouth! Boże chroń protestantów!” W Lyme księżę ogłosił króla Jakuba uzurpatorem i mordercą Karola II. Sam twierdził, że jest prawowitym potomkiem Karola.

U jego boku znaleźli się ludzie wszystkich stanów, z przewagą kupców i drobnych obszarników. Wszystkich łączyło hasło uwolnienia Anglii od tyranii papistów. Z samego tylko niewielkiego miasteczka Colyton przybyło do Monmoutha ponad stu ochotników.

Królewscy żołnierze próbowali temu przeszkodzić i zdusić zarzewie buntu, ale i wśród nich nie brakło protestantów, którzy otwarcie popierali żądania powstańców. Mnożyły się przypadki dezercji. Jednak ogromna część establishmentu nie przyłączyła się do buntowników. Nawet zagorzali zwolennicy Monmoutha nie chcieli nadstawiać karku.

Plan księcia, ułożony jeszcze w Holandii, od dawna był znany po drugiej stronie kanału. Kiedy Monmouth postawił stopę na angielskiej ziemi, w parlamencie natychmiast zapadła uchwała, że jest zdrajcą i musi ponieść karę śmierci. Oferowano pięć tysięcy funtów nagrody temu, kto by go aresztował.

W kraju huczało od różnych, sprzecznych wieści. Wszyscy wiedzieli już, że Monmouth wylądował i zajął Axminster. Zapanował chaos. Dla Catherine i całego Saxton Court nadchodziły wyjątkowo ciężkie chwile. Dwór rodziny Reresby le-

żał niebezpiecznie blisko Taunton, gdzie wojska Monmoutha witano biciem w dzwony. Dwudziestego czerwca, właśnie na rynku w Taunton, James Scott, książę Monmouth ogłosił się królem Anglii.

Z Saxton Court wciąż uciekali kolejni mieszkańcy. Część z nich przechodziła na stronę buntowników. Niestety, w oddziałach samozwańczego króla było też wielu zwykłych rzemieślników, którzy po prostu korzystali z zamętu, by grabić i rabować.

To właśnie tacy ludzie zjawili się w Saxton Court pod nieobecność lorda Reresby'ego. Dobrze wiedzieli, kto tam mieszka, lecz czuli się bezkarni, bo przecież Marcus, związany żołnierską przysięgą, siłą rzeczy stał po stronie Jakuba. W oczach rebeliantów to on był zdrajcą.

Zapadał zmierzch. We dworze zapalono świece. Catherine już od dawna jadała kolację sama, więc służba nakryła do stołu w niewielkim saloniku, o wiele przytulniejszym niż pusta wielka sala. Zaciągnięto grube zasłony, w kominku płonął ogień. Catherine nie widziała kilku groźnych cieni, pełzających w kierunku domu. Dopiero pani Garfield przybiegła do niej z krzykiem, że jacyś intruzi wdzierają się do środka. W holu panował zgiełk - psy szczekały, służące z piskiem kuiliły się po kątach. Ktoś głośno bębnił w drzwi.

- Otwórzcie - powiedziała Catherine do pani Garfield. - Dowiemy się, czego chcą.

W progu stanęło kilku mężczyzn uzbrojonych w szpady i pistolety. Fentona oczywiście nigdzie nie było widać. Prawdę



mówiąc, w całym Saxton Court pozostały niemal same kobiety. Parobcy hurmem uciekli do Monmoutha. Catherine tęsknie wyglądała powrotu Marcusa.

Przywódca bandy był nieco otyły i w średnim wieku. Zalatywała od niego mocna woń spoconego i dawno niemytego ciała. Po chwili milczenia oderwał się od grupy i podszedł do Catherine, która odważnie stała pośrodku wielkiej sali. Inni tłoczyli się przy wejściu. Catherine była przerażona, ale nie dawała tego po sobie poznać. Nie wyglądali na żołnierzy. Pani Garfield w milczeniu czekała tuż za nią.

- Boże - odezwała się w pewnej chwili - co dalej? Czego oni od nas chcą, milady? - dopytywała się roztrzęsionym głosem.

- Na pewno zaraz się dowiemy - odpowiedziała Catherine. Zebrała wszystkie siły do czekającej ją rozmowy. Drżące dłonie zacisnęła na fałdach sukni, by nie pokazywać, że jest w strachu. - Tylko spokojnie - szepnęła do pani Garfield. - Nie należy ich drażnić. Kim jesteście? - spytała głośniejszym głosem, patrząc na stojącego przed nią mężczyznę.

Tłuszcioch zatrzymał się jakieś dwa metry od niej i uśmiechnął obleśnie.

- Nazywam się Sam Becket, urodzony i wychowany w Axminster. A co my tu mamy? - Roześmiał się chrapliwie. - Bardzo mi miło. Zapewne rozmawiam z samą lady Reresby. Jest pani zbyt dobrze ubrana jak na kucharkę.

- Czego chcecie? - ostro zapytała Catherine. - Tak, jestem lady Reresby. Nie macie tu czego szukać.

- Ależ mamy! - zawołał Becket. Odwrócił się do swoich lu-

dzi. - Przetrzęsnać dom. W tak wielkiej rezydencji musi być sporo rozmaitej broni. - Wrócił do rozmowy z Catherine. - W imieniu księcia Monmoutha rekwiruję wszystko, co znajdziemy. Całą broń.

- „Rekwiruję”? - z przekąsem powtórzyła Catherine. - „Kradnę” to odpowiedniejsze słowo. Hańba! Żądam, abyście natychmiast opuścili progi tego domu.

- Na pani miejscu trzymałbym język za zębami. To ja wydaję tutaj rozkazy. Proszę się odsunąć, lady Reresby. Dwa razy nie będę powtarzał.

- Pozwólcie zatem, że udzielię wam pewnej dobrej rady - powiedziała z sarkazmem, widząc, że buntownicy zabierają nawet sportowe skałkówki i pradawne muszkiety. - Większość tych strzelb jest tak stara, że będą większym zagrożeniem dla strzelca niż dla wroga.

W całym dworze zapanował rozgardiasz. Na piętrze słychać było tupanie podkutych buciorów. Buntownicy z trzaskiem przewracali meble i tłukli zastawę. Młoda, pyzata pokojówka Martha zaczęła histerycznie szlochać. Catherine rozglądała się z nieukrywaną zgrozą. Nie czuła już żadnej sympatii do księcia Monmoutha. Dygotała na całym ciele z bezsilnej wściekłości.

W pewnej chwili spojrzała w bok i dostrzegła stary szeroki miecz, który wciąż wisiał nad kominkiem. Jak dotąd, uszedł on uwagi buntowników. Szybko podeszła w tamtą stronę i zdjęła miecz ze ściany. Był bardzo ciężki, ale dawał jej pewną nadzieję.

Zapłakana Martha krzyknęła głośno.

- Uciszyć dziewczę! - warknął Becket. Jakiś żołdak uderzył ją prosto w twarz. Cios był tak silny, że Martha upadła na podłogę. Krew popłynęła jej z rozbitej wargi.

Catherine nie wytrzymała dłużej. Gniew eksplodował w niej z niespotykaną siłą. Z mieczem w dłoni stanęła przed Becketem, który właśnie unosił rękę, aby drugi raz uderzyć Marthę-

- Nie dotkniesz jej więcej! - krzyknęła. Miecz świsnął w powietrzu. Catherine mierzyła prosto w serce Becketa, ale ten zdążył uskoczyć i błyszczące ostrze trafiło go tylko w ramię. Zgrzytnęła kość i buchnął strumień krwi. Becket zatoczył się do tyłu i mocno zacisnął palce na zranionej ręce.

- Głupia dziewczka! - zawołał. Twarz wykrzywił mu grymas strachu i zdziwienia. - Na litość boską, zabierzcie jej to żelastwo!

Catherine odskoczyła w tył i wyciągnęła miecz daleko przed siebie. Na ugiętych kolanach czekała na atak. Buntownicy się cofnęli.

- Wynocha stąd! - wykrzyknęła. - Zabraliście już wszystko. Nic tu po was.

Dwóch najgroźniejszych zbójów ruszyło w jej stronę, ale ranny Becket w porę ich powstrzymał.

- Dość - jęknął. - Potrzebuję medyka. Na Boga, chodźmy stąd, bo zaraz się wykrwawię!

Catherine odprowadziła wzrokiem wychodzących buntowników. Służba westchnęła z ulgą. Najgorsze minęło. W Saxton Court panowała nieprzyjemna cisza, przerywana jedynie cichym płaczem pobitej pokojówki.

Catherine odłożyła miecz i zmęczonym ruchem przesunęła ręką po twarzy. Popatrzyła na panią Garfield.

- Niech ktoś zajmie się Marthą - poprosiła - a ja tymczasem sprawdzę, co zostało zniszczone i co nam ukradli.

Chwilę później zjawił się Archie z wiadomością, że buntownicy zabrali także większość koni, łącznie z jej ukochaną Melodią. Zostało może z pół tuzina zwierząt, pasących się na łące.

Catherine rozgniewała się nie na żarty stratą ulubionej klaczy.

- Muszę ją znaleźć - oświadczyła z groźnym błyskiem w oku. - Jutro z samego rana wybiorę się do Taunton, zanim Monmouth wyruszy dalej ze swoim wojskiem. Jeśli zajdzie potrzeba, to zażądam rozmowy nawet z samym księciem, chociaż już nie jestem jego zwolenniczką. Melodię dostałam w prezencie od Marcusa. Nie odbiorą mi jej tak łatwo.

W Taunton panował odświętny nastrój. Można by pomyśleć, że zgromadzone tłumy przybyły na radosną uroczystość. Dominował optymizm. Tłum kłębił się w tawernach i gospodach, wiwatowano pod murami zamku. Barwne wojsko Monmoutha, złożone z ochotników najróżniejszej profesji, stanu i kondycji, nie wyglądało groźnie. Nawet niedoświadczonym okiem można było stwierdzić, że rebelianckie oddziały są źle uzbrojone.

Żołnierze przedstawiali osobliwy widok. Niektórzy z nich nosili bielutkie bryczesy niewidywane w Anglii od czasów Cromwella. Inni mieli na sobie czerwone kaftany, zapewne

szyte w Holandii na użytek Monmoutha. Jeszcze inni chodzili w roboczych ubraniach, jakby dopiero odeszli z pola lub od warsztatu.

Catherine siedziała w powozie, mając przy sobie Alice. Lejce jak zwykle trzymał stary wierny Archie. Widok tak wielkiej ciżby nie napawał nadzieją. Jak znaleźć pojedynczą klaczkę w tym tłumie? Catherine postanowiła udać się do księcia i złożyć zażalenie na brutalny najazd i grabież w Saxton Court.

Powóz sunął powoli. Po chwili dojechali do gospody „Pod Zamkiem”, w której mieściła się tymczasowa kwatera oficerów Monmoutha. Kilku z nich, wyraźnie już podochoconych winem, wyszło na ulicę i przyłączyło się do ogólnej zabawy. Inni trzymali się nieco z boku. Wzrok Catherine padł na młodego mężczyznę, który właśnie wchodził po schodach do gospody. Serce w niej zamarło. Nie, to niemożliwe! Oczy ją zawiodły. Spojrzała raz jeszcze. Nie mogła się mylić. Nikt inny na świecie nie miał takich włosów - jasnych z domieszką złota i czerwieni. W świetle ranka błyszczały niczym płomień. To był Harry - w skórzanym kaftanie elitarnych oddziałów jazdy księcia Jamesa Scotta.

Catherine natychmiast kazała zatrzymać powóz i nie zważając na głośne protesty Alice, wysiadła, żeby spotkać się z ukochanym. Harry odwrócił się na jej wołanie. Rozpoznał ją i powitał radosnym uśmiechem. Catherine przyglądała mu się z bólem serca. Niby wyglądał tak samo, ale jakoś inaczej. Jakby się mocno postarzał od ich ostatniego spotkania. W jego niebieskich oczach czaił się cień smutku. Twarz miał bledszą, ściągniętą i pożąłobioną bruzdami.

Harry ujął w dwie ręce małą dłoń Catherine. Stanęli pod murem gospody, gdzie było więcej miejsca.

- Oczom nie wierzę! Na Boga! Co ty tutaj robisz?

- Mieszkam w pobliżu, Harry. W majątku mego męża, w Saxton Court.

- Oczywiście. Głupiec ze mnie. Powinienem to wiedzieć od początku. Myślałem, że lord Reresby będzie stał przy tobie, broniąc cię przed nami.

- Marcus wyjechał do Londynu - wyjaśniła pośpiesznie. - Do swojego oddziału królewskich dragonów.

- Naprawdę? To przecież wojsko samego Johna Churchilla - rzekł Harry. - Jestem pod wrażeniem. Jak na ironię, mają walczyć z Monmouthem, który dowodził nimi we Francji i potem w Tangerze. Znakomici żołnierze, w siodle i na piechotę. Trudno ich będzie pokonać. Zjawiłaś się w Taunton zupełnie bez opieki?

- Nie, jest ze mną Alice. Szukam skradzionej klaczy. Dzisiaj w nocy Saxton Court został doszczętnie obrabowany. Zjawiła się tam banda rzekomych buntowników, poszukujących broni. Zabrali konie i wszystkie cenniejsze przedmioty. Broń to jeszcze rozumiem, ale po co reszta...

- Kawaleria stanowi główną siłę w tej wojnie, Catherine. Niestety, Monmouth ma niewielu jeźdźców. Muszkietów nam wystarczy najwyżej dla jednej czwartej zgromadzonych tu ludzi. Reszta musi sama zatroszczyć się o siebie. Z końmi jest jeszcze gorzej, bo trudno wymagać od szewca lub tkacza, żeby przyszedł z własnym wierzchowcem. A bogatsi nie chcą nas poprzeć. Miałem wiele szczęścia, że

byłem blisko księcia tuż po wylądowaniu. Przeznaczono dla nas pierwsze konie.

- Wiedziałam, że zjawisz się razem z Monmouthem, ale nigdy nie przypuszczałam, że tu się spotkamy.

Harry popatrzył na nią z nagłym rozmarzeniem.

- Ogromnie się z tego cieszę - powiedział z uczuciem. - Ciągle mam w pamięci nasz ostatni wieczór w Hadze. Do pewnego momentu byłaś przeurocza...

- Daj spokój, Harry. Przecież wiesz, że zawsze byłeś najbliższy mojemu sercu.

- Dumna i piękna - ciągnął Stapleton. Nagle twarz mu stężała. - A potem... już nic oprócz bólu. Dlaczego mi to zrobiłaś? Chyba zasługuję na wyjaśnienie? Może miałbym do ciebie o wiele mniej żalu, gdybyś wyjawiała mi prawdę?

Zauważył, że się zmieszała. Nie rozumiał tego.

- Wiesz, co czuję? - zapytał.

- Harry, bardzo cię przepraszam. Nie chciałam, żebyś cierpiał. Okropnie się wstydzę, kiedy pomyślę o tym, co ci uczyniłam.

- Powiedziałaś mi wtedy, że nie miałaś wyboru. Co to znaczy, Catherine? Jak doszło do tego, że musiałaś poślubić Marcusa Reresby'ego?

- Decyzja zapadła pomiędzy nim a moim ojcem - odparła i nisko pochyliła głowę. Nie chciała wdawać się w szczegóły. To było dla niej zbyt przykre i poniżające. - Stało się. Nic nie mogłam zrobić. Nie mówmy już o przeszłości.

- W wielkich rodach takie małżeństwa bywają na porządku dziennym - zauważył Harry. - Ludzie żenią się dla pieniędzy,

wpływów, polityki... Kiedyś jednak myślałem, że z nami będzie zupełnie inaczej.

- Ja też miałam nadzieję. Niestety, dzieci muszą być posłuszne ojcom. Walczyłam, Harry. Przysięgam, że walczyłam. Musisz mi uwierzyć.

- A gdybym teraz cię poprosił, żebyś poszła ze mną?

- Mam porzucić Marcusa? Nie. Wiesz, że nie mogę. - Jej głos był ledwie głośniejszy od szeptu. - Już nie.

- Dlaczego?

- Sama nie wiem. Coś we mnie... w nim... mi na to nie pozwala.

- Chyba rozumiem. Zostaniesz z nim na zawsze?

- Muszę. Jeżeli chcę w życiu zaznać choć namiastkę szczęścia, to powinnam przyjąć to, co się stało. Poza tym cudzołośćwo jest tak wielkim grzechem, że nigdy bym się na to nie zdecydowała.

- Znienawidziłabyś mnie za to? - zapytał cicho.

Catherine ze współczuciem spojrzała mu prosto w oczy.

- Nienawiść? Nie, to niemożliwe. Do końca życia pozostaniesz moim najdroższym przyjacielem.

Harry ze smutkiem wydał usta.

- Przyjacielem? Już tylko tym mogę być dla ciebie?

- Przyjaźń oznacza bardzo wiele. Nie dręcz mnie, Harry, tymi pytaniami.

Cofnął się.

- A on cię nie puści?

- Nie. Zresztą ja też nie zwykłam nigdy łamać raz danego słowa. Jestem z nim związana na stałe.



- Byłaś inna, gdy wyjeżdżałaś ze mną do Hagi - gorzko przypomniał jej Harry.

- Nie szukam dla siebie usprawiedliwień. - Westchnęła. - Byłam głupia. Wtedy jeszcze nie znałam Marcusa tak jak dzisiaj.

- Zawsze myślałam, że jesteśmy dla siebie przeznaczeni. Kochałem cię i mocno wierzyłem w to, że ty też mnie kochasz.

- Kocham cię, Harry. Przecież wiesz o tym.

- Ale nie tak jak kiedyś. Zmieniłaś się, Catherine. Widzę to w twoich oczach. Co teraz czujesz do męża?

- Nie wiem - odparła, odwracając głowę. Wciąż miała w pamięci ów moment nad jeziorem, kiedy Marcus zapytał ją o dalsze plany. Tak bardzo chciał wspólnego szczęścia... - Sporo o nim myślałam, od kiedy wyjechał. Wczoraj podczas napadu żałowałam, że go przy mnie nie ma.

- Jak cię traktuje? Czy...

- Jest dla mnie bardzo dobry - odpowiedziała cicho. - Do tej pory mnie nie skrzywdził. Daje mi wszystko, czego potrzebuję. Nie jestem z nim nieszczęśliwa.

.- To raczej on ma wiele szczęścia.

Harry przemawiał do niej cichym tonem, a w jego oczach czaiło się wspomnienie dawnych, o wiele lepszych czasów.

- Chciałbym pokazać ci, że nasze rozstanie nie wywarło na mnie większego wrażenia, lecz nie potrafię. Nigdy nie byłem dobrym aktorem.

Catherine wyciągnęła rękę, lecz zaraz opuściła ją z powrotem. Wiedziała, że nie może sobie pozwolić na chwilę słabo-

ści. Rozpaczała nad własną stratą dawnej, dziewczęcej miłości i nad losem Harry'ego,. Teraz w jej życiu było miejsce wyłącznie dla męża. W oczach Catherine zalśniły łzy, lecz powstrzymała się od płaczu.

- Wkrótce zapomnisz o mnie, Harry. Na pewno tak będzie. Nie myśl za wiele, a po wojnie spróbuj ułożyć sobie życie. Jesteś potrzebny księciu i sprawie, za którą walczysz. Dobrze wiem, jak bardzo leży ci na sercu dobro i szczęście wszystkich angielskich protestantów. Idź więc i spraw się dobrze.

Na te słowa Harry poweselał. Już nie myślał o dawnej Catherine. Na to było za późno. Przypomniał sobie, po co naprawdę przyjechał do Anglii.

Uśmiechnął się.

- Masz rację, Catherine. - Ujął ją za rękę i wycisnął na jej szczupłej dłoni szarmancki pocałunek. - Zresztą, zawsze miałaś. A teraz mi powiedz coś więcej o swojej kłaczce. Obiecuję, że jak ją zobaczę, wróci do ciebie.

Fenton z zamyśloną miną spoglądał przez okno gospody „Pod Zamkiem”. Obserwował rozmowę młodego Harry'ego Stapletona z lady Catherine Reresby. Ciągłe jednak pamiętał o innym spotkaniu, po którym on sam raczej nie miał się czym chwalić. Nawet najazd na Saxton Court, podjęty przez Becketa za jego podpuszczeniem, nie ukoił pragnienia zemsty, tłącego się w sercu rządcy.

Przeklęta dziewczka! - pomyślał. Zrobiła ze mnie głupca. Najpierw, nie wiedzieć czemu, omal jej nie powiedziałem całej

prawdy o moich związkach z jej ojcem. A potem ta kłótnia w lesie. Dzięki Bogu, że w złości się nie wygadałem.

Jako wierny zausznic Henry'ego Barringtona, Fenton wiedział o planach małżeństwa Catherine ze Stapletonem. Teraz, patrząc na nich, zajętych czułą rozmową, postanowił, że przy pierwszej okazji szepnie coś Marcusowi. Niech się mąż pomartwi...

Po trzech dniach spędzonych w Taunton na pustych zabawach i uroczystościach księżę Monmouth opuścił miasto i skierował się na Bristol. W tym czasie królewskie wojska zdążyły już przemaszerować osiemdziesiąt kilometrów na zachód.

Catherine wciąż obawiała się, że dwór po raz drugi padnie ofiarą napadu. Z ulgą przyjęła więc wiadomość o odjeździe księcia. Marcus już od ponad miesiąca był poza domem. Czasami myślała o słowach Harry'ego. Młody oficer uważał, że dragoni Churchilla zostaną skierowani właśnie gdzieś do Somerset. W duchu modliła się, aby tak naprawdę było. Nocny rajd, spotkanie ze Stapletonem i przedłużająca się nieobecność Fentona doprowadzały ją niemal do rozpacz. Podejrzała, że rządca uciekł do rebeliantów, i tym samym na jej głowie pozostawił wszystkie sprawy majątku.

Najbardziej jednak tęskniła za Marcusem. Zastanawiała się, co się z nim dzieje i czy przypadkiem nie zaznał krzywdy. Rebelia trwała, a wraz z nią rosło poczucie zagrożenia. Nie chciała, żeby niepotrzebnie się narażał.

Co o nim naprawdę wiedziała? Początkowo postrzegała

w nim wyłącznie wroga, który podstępem wdarł się w jej życie i uczynił swoją niewolnicą. Jakiś czas później okazało się, że to człowiek honoru, całkiem odmienny od innych ludzi, których zdążyła poznać wcześniej. Kiedy miał dziesięć lat, stracił matkę. Potem zamordowano mu ojca.

Catherine nagle zdała sobie sprawę, że chce wiedzieć o wiele więcej. Jak to osiągnąć? Zapomnieć o niesnaskach, które im towarzyszyły od początku związku? Co mam zrobić? - zapytywała siebie w duchu. Jak go powitać, kiedy wróci? Mam mu powiedzieć, że od tej chwili pragnę być jego prawdziwą żoną? Wieczorami ze łzami w oczach siadała przy oknie i przez długie minuty wpatrywała się w ciemność. Każdy samotny wieczór napawał ją smutkiem.

Marcus wrócił niespodziewanie. Zupełnie ją tym zaskoczył. Niczym duch zjawił się w małym saloniku, w którym zazwyczaj sama jadała wieczerzę. Na jego widok serce mocniej zabiło jej w piersiach. Miała ochotę zerwać się z krzesła, podbiec do niego i rzucić mu się na szyję. Marcus stał przed nią potargany i z gołą głową. Trochę schudł, ale poza tym zupełnie się nie zmienił. Wyglądał na zmęczonego. Skórzany kaftan przerzucił przez ramię, bo wieczór był bardzo ciepły.

- Przytulnie tutaj - mruknął, wchodząc głębiej. - Pozwolisz, że się przyłączę?

- Marcus! - Catherine wstała. Dlaczego do niej nie napisał, że przyjeżdża? Miałyby nieco więcej czasu, żeby się odpowiednio przygotować. - A to niespodzianka. Witaj w domu.

Marcus rzucił kaftan na krzesło, podszedł bliżej i popatrzył żonie prosto w oczy.

- Naprawdę chętnie mnie tu witasz, Catherine? - spytał.

- Oczywiście - odparła lekkim tonem, chociaż wiedziała, że spodziewał się cieplejszej odpowiedzi. - Przecież jesteś u siebie - dodała. - Nie wiedziałam, że dziś przyjedziesz.

- Przybyłem z lordem Churchillem, chociaż zrezygnowałem ze służby w dragonach. Niestety, nie mogę odejść z wojska, dopóki nie skończy się ta cała awantura z Monmouthem. Wybraliśmy się na mały patrol, żeby sprawdzić tę okolicę. Ciekaw byłem, co dzieje się w Saxton Cort. - Spoglądał na nią przez dłuższą chwilę. - Ale najbardziej chciałem zobaczyć ciebie, Catherine, i przekonać się, że wszystko w porządku. Jak się czujesz?

Catherine poczerwieniała.

- Do... dobrze - wyjąkała zmieszana.

- Przepraszam, że cię wystraszyłem. Nie miałem jak cię zawiadomić o moim przyjeździe. Nie czujesz tu się trochę sama, w takim wielkim domu?

- Nie przestraszyłeś mnie. Naprawdę - zapewniła go już bardziej stanowczym głosem. - I wcale nie jestem sama. Dużo się dzieje, szum i echo w korytarzu... - Nagle zdała sobie sprawę, że plecie bez sensu. - Bardzo się cieszę, że przyjechałeś, choćby to trwało bardzo krótko - dodała pośpiesznie. - Na pewno jesteś głodny. Zaraz powiem służbie, żeby przygotowała drugie nakrycie.

Chciała podejść do drzwi, ale Marcus łagodnie przytrzymał ją za rękę.

- Już nie trzeba. Przed chwilą sam się tym zająłem.

Rzeczywiście był głodny i spodobała mu się myśl o wspólnej kolacji z żoną.

Na razie rozparł się wygodnie w fotelu przed kominkiem i wyciągnął przed siebie nogi w długich wojskowych butach. Spojrzał na żonę. Jak zwykle wyglądała ślicznie, z czarnymi włosami i z tajemniczym błyskiem w dużych zielonych oczach.

Tęsknił za jej urodą i kobiecością ukrytą pod charakterem trzpiotki. Było w niej coś innego niż u innych kobiet. Mniej wyrachowania, a więcej energii. Coś, czemu trudno byłoby się oprzeć.

Marcus wskazał na drugi fotel.

- Siadaj.

Catherine zajęła wyznaczone miejsce.

- Powiedz mi, co się tutaj działo pod moją nieobecność? Wiem od pani Garfield, że większość parobków uciekła z majątku do armii Monmoutha.

- Niestety, tak.

Marcus uniósł brwi w udawanym zdumieniu.

- Niestety? Przecież sympatyzowałaś z księciem. Dziwi mnie zatem to, co mówisz. Coś się zmieniło?

Catherine poruszyła się niespokojnie.

- Muszę przyznać, że mam mocno mieszane uczucia. Sama nie wiem, co myśleć. Wybacz, jeśli zastałaś tu nieco bałaganu. Ostatnio byli u nas nieproszeni goście. Rekruci Monmoutha. Przetrzęsęli dom w poszukiwaniu broni i zabrali wszystko, co było w zbrojowni. Zginęło także nieco kosztowności. Sporządziłam już odpowiednią listę. Poza tym ukradli konie, za wyjątkiem kilku pociągowych, które były w padoku. Przepraszam cię, Marcusie. Nie mogłam ich powstrzymać.

Marcus bardzo powoli podniósł się z fotela, wściekły, że tak przykra przygoda zdarzyła się jego żonie.

- Przekłęci buntownicy! Wdarli się aż tutaj? Do naszego domu? - Nagle na jego twarzy pojawił się niepokój. - Skrzywdzili cię?

Catherine spojrzała na niego z niekłamana wdzięcznością. Nie przypominała sobie, żeby Harry spytał o to, kiedy dowiedział się o napadzie na Saxton Court.

- Nie. Nic mi się nie stało. Prawdę mówiąc, zraniłam jednego z nich.

- Jak to?

- Miałam miecz, który zazwyczaj wisiał w wielkiej sali nad kominkiem. Tamten brutal chciał pobić naszą pokojówkę. Uniósł dłoń i... i...

- Rzuciłaś się na niego?

- Coś w tym rodzaju. Nie miałam czasu na zastanowienie. To... to było naprawdę okropne. Ale go nie zabiłam - dodała szybko.

- Tego nie byłbym taki pewny, moja wojowniczo - odparł Marcus i roześmiał się cicho. Był pełen podziwu dla odwagi żony. - Ten miecz jest bardzo stary i mocno zardzewiał. Nie używano go od dziesięcioleci.

- Nie potrafię inaczej, Marcusie. Nie jestem myszą, która w razie kłopotów ze strachem chowa się po kątach. Czasem przychodzi taki moment, kiedy kobieta musi bronić rodziny i własnego domu. Los tamtego człowieka zupełnie mnie nie obchodzi. W pełni zasłużył sobie na to, co otrzymał. Po prawdzie, był tchórzem. Myślałam, że poszczuje na mnie ca-

łą bandę, ale on przestraszył się widoku krwi i kazał natychmiast prowadzić się do medyka. Boże, strzeż Monmoutha, jeżeli w jego armii są tacy żołnierze!

Oczy Catherine błyszczały z trudem skrywaną pasją. Marcus mimo woli spojrział na jej dłonie. Wydawały się drobne i kruche, ale, jak się okazało, miały dość siły, by w chwili zagrożenia dźwignąć ciężki oręż.

- Natura popełniła błąd, czyniąc cię kobietą - powiedział z humorem. - Powinnaś być chłopcem.

- Chłopcem?

- Jesteś niesforna, uparta i dzielna jak mężczyzna. Chociaż pewnie niejeden z nas byłby się zawahał przed użyciem miecza. Do tego potrzeba nie lada odwagi. A co z tą pokojówką?

- Tylko się przestraszyła. Oddałam ją pod opiekę Alice.

- A Fenton? Gdzie był w tak ważnej chwili?

- Nie wiem. Nie potrzebuję jego pomocy. Ostatnimi dniami widywałam go bardzo rzadko.

- Chcesz powiedzieć, że pozostawił cię zupełnie samą w obecności bandy rebeliantów?

Catherine w milczeniu skinęła głową. Nie zamierzała mówić Marcusowi o swoich podejrzeniach, że to właśnie Fenton stał za nocnym napadem na Saxton Court. Nie miała na to żadnych dowodów, nie mogła więc go otwarcie oskarżyć przed mężem.

Marcus nie posiadał się z gniewu.

- To jakaś bzdura! Przecież Fenton wiedział, że ludzie Monmoutha są źle uzbrojeni i szukają broni! A gdzie mieli ją znaleźć, jeśli nie w majątku królewskiego żołnierza? Nie



ujdzie mu to na sucho. Miał pilnować dworu pod moją nieobecność.

Rozzłościł się nie na żarty, chociaż przed wyjazdem wcale nie czuł niechęci do rządcy. Wierzył w jego stanowczość i duże doświadczenie.

Catherine próbowała nieco załagodzić sytuację.

- Może to moja wina - wtrąciła uspokajającym tonem. - Nawet go nie szukałam. Nie prosiłam o pomoc...

- Nonsens! Jesteś za młoda, żeby pilnować wszystkiego, co dzieje się w Saxton Court! Skoro Fenton nie może podołać obowiązkowi, zostawię tu człowieka, aby cię pilnował. Wiem, że bardzo się bałaś. Mimo to jestem pełen podziwu. Kiedy bowiem zabrakło mnie i Fentona, wszystkie oczy były zwrócone na ciebie. To ogromna odpowiedzialność, lecz dałaś sobie radę. Na przyszłość nie pozwolę, byś tak się narażała.

Catherine nagle poczuła, że policzki pieką ją żywym ogniem. Nie spodziewała się aż takiej troski ze strony Marcusa.

Ktoś zastukał. Służba przyniosła nakrycia i nowe potrawy. Marcus ponownie podniósł się z fotela.

- Chodź. Porozmawiamy przy jedzeniu. Żołądek przyrósł mi do pleców od czasu, kiedy opuściłem Londyn.

Z zapałem wziął się do kolacji. Catherine od niechętnia dłużyła widelcem po talerzu, zajęta własnymi myślami. Wreszcie Marcus odsunął się od stołu i ujął w rękę kielich z winem.

- Powiedz mi, Catherine - zaczął - co robiłaś, kiedy nie ratowałaś pokojówek i nie walczyłaś z bandytami?

- Widywałam się z Elizabeth i Margaret. Odwiedzają mnie

bardzo często i dokładają wszelkich starań, żebym się nie nudziła. Dzięki nim poznałam także kolejnych sąsiadów.

- Cieszy mnie zwłaszcza to, że tak dobrze układa ci się z Elizabeth. Wiem, że to raczej niełatwe dla was obu.

- Przyznam, że lubię twoją siostrę, choć zdaję sobie sprawę, że są chwile, w których żałujesz swojej pochopnej decyzji i tego, iż się ze mną ożeniłeś.

Marcus roześmiał się i popatrzył na nią z rozbawieniem.

- Czasami zastanawiam się, cóż to za dzika i nieposkromioną bestię wpuściłem do własnego domu.

- Wszak mogłeś wybrać jedną z tych ślicznotek, których nigdy nie brak na królewskim dworze.

Marcus przekornie przekrzywił głowę.

- Coś ci powiem. Pomimo wszystkich niecodziennych spraw, towarzyszących naszemu małżeństwu, nie żałuję, że cię poznałem. Jesteś dużo piękniejsza od każdej z tych damulek, przechadzających się po korytarzach w pałacu króla Jakuba.

Catherine się uśmiechnęła.

- - A ty, milordzie, jesteś pochlebcą.

- To nie pochlebstwo - odpowiedział zupełnie poważnie.

- To szczerą prawdą.

Catherine spojrzała mu prosto w oczy. Skąpe światło świec nieco łagodziło jego ostre rysy. Bujny pukiel opadał mu na czoło. Był naprawdę przystojny i pociągający. Troskliwy i opiekuńczy. Potrzeba czegoś więcej?

- To był ulubiony salonik mojej matki - odezwał się Marcus, wodząc wzrokiem po ścianach. - Tobie też się podoba?

- Tak. Zawsze jem tutaj kolację, kiedy jestem sama.

- Świetnie to rozumiem - mruknął. - To przytulne miejsce.

„Przytulne” - to słowo w jego ustach niespodziewanie nabrało nowego, o wiele bardziej intymnego znaczenia. Nieco zmieszana Catherine sięgnęła po kieliszek z winem. Wstała i powoli podeszła do kominka.

Marcus odprowadził ją spojrzeniem. Poruszała się gibko, lecz z pewnym podnieceniem, jak nerwowy żreback. Nie wiedział, co o tym myśleć.

- Marcusie - zaczęła, siadając w fotelu - jest coś, o czym chciałam z tobą porozmawiać. To dotyczy Fentona.

- Tak, wiem. Zniknął w najpotrzebniejszej chwili. Na pewno mu to wypomnę. Coś jeszcze? - Marcus wstał od stołu i przyłączył się do żony.

- Dosyć często przekracza swoje kompetencje.

- Ale za to dość dobrze prowadzi sprawę majątku.

- Czasami aż za dobrze - z uporem stwierdziła Catherine. - Jak zapewne pamiętasz, od samego początku wywarł na mnie dosyć niemiłe wrażenie. Pod tym względem jak dotąd nic się nie zmieniło.

- I to cię tak bardzo martwi? Fenton jest nieważny.

- Nieważny? Marcusie, naprawdę nie rozumiem, dlaczego wciąż go bronisz albo lekceważysz. - W głosie Catherine zabrzmiały nieco ostrzejsze tony. - Nie słuchasz nawet ostrzeżeń własnej siostry. W moim przypadku chodzi jeszcze o coś innego.

Marcus zmarszczył brwi.

- Słucham.

- Pamiętasz wieczór przed swoim wyjazdem? Ten, w którym po raz pierwszy spotkałam Elizabeth?

Skinął głową. Przypomniał sobie również nieprzyjemną scenę przy wspólnej kolacji.

- Owszem.

- Wspomniałeś wówczas, że Fenton wyjechał do Bath w odwiedziny do brata.

- To prawda. - Jego spojrzenie nabrało czujności.

- Wcześniej tego samego dnia widziałam go w Taunton. Nie pojechał do Bath.

- Był sam?

- Nie. Towarzyszył mu niejaki Trenchard.

- Dobrze mi znany. Dżentelmen, wig i były członek parlamentu z okręgu Taunton. Zagorzały republikanin, do pewnego stopnia uwikłany w spisek z Rye House. Przed przybyciem Monmoutha wolał wyjechać z kraju, żeby uniknąć aresztowania i oskarżenia o zdradę. Słyszałem już wcześniej, że Fenton się z nim spotykał... Ale skąd ty wiedziałaś, że to właśnie Trenchard?

- Archie mi powiedział. Trenchard zabrał Fentona do „Czerwonego Lwa”. Ale na tym nie koniec.

- Och? -

Catherine popatrzyła mu głęboko w oczy.

- Fenton znał mojego ojca. Wiedziałaś o tym?

Nagły skurcz przebiegł przez twarz Marcusa.

- Nie. Dobrze się znali?

- Nie wiem. Kiedy go spytałam, odpowiedział, że należeli do tego samego klubu.

Marcus przymknął powieki i przez chwilę siedział w posępnym milczeniu. .

- Do tego samego klubu? - powtórzył wolno. - Ciekawe, co to może znaczyć.

- Sama się nad tym zastanawiałam. Prawdopodobnie chodzi o jakiś klub w Londynie. Republikański, bo mój ojciec był republikaninem. Nie wiem za to, gdzie Fenton teraz się podziewa. Myślałam, że przyłączy się do Monmoutha.

- Nie jest już taki młody. Nie ma serca do walki i do rozlewu krwi.

- To akurat nieprawda. Wobec słabszych od siebie potrafi być bezwzględny. Kiedyś przyłapałam go w lesie, gdy chciał wybatożyć starego wieśniaka, którego podobno przyłapał na kłusowaniu. Najpierw wypuścił psy na nieszczęśnika...

Marcus wstał z fotela.

- Z tego, co słyszę, Elizabeth miała zupełną rację. Fenton to niebezpieczna postać. Omamił mnie, tak jak przedtem omamił mojego ojca. To co uczynił, jest niedopuszczalne. Nie ma prawa wymierzać kary w moim majątku. Mów dalej, Catherine. Chcę znać całą prawdę, chociaż zdaje mi się, że już niczym szczególnym mnie nie zaskoczysz.

Catherine szczegółowo opisała cały przebieg wypadków na leśnej polanie. Twarz Marcusa zastygła w grymasie. Bez słowa słuchał do samego końca. Potem stał jeszcze chwilę w milczeniu.

- Co teraz zrobisz? - cicho spytała Catherine.

- Pozbędę się go. Gdyby nie rebelia, wszcząłbym formalne śledztwo. Przypuszczam, że popełnił już niejedną zbrodnię.

Po wszystkim, co przed chwilą mi powiedziałaś, podejrzewam, że stał też za ostatnim napadem na Saxton Court.

- Całkiem możliwe.

Marcus chwycił kaftan z krzesła i skierował się w stronę drzwi.

- Zaczekaj! - krzyknęła za nim Catherine. Szybko zerwała się z fotela. - Dokąd idziesz?

- Załatwić sprawę Fentona. Nie mogę tego tak zostawić.

Pokręciła głową.

- Ale... mówiłeś przedtem, że masz mało czasu. Wrócisz tutaj?

Zatrzymał się i popatrzył na nią. Jak to? - pomyślał. Chyba się przesłyszałem...

- Chcesz tego?

- Tak!

Marcus podszedł do żony.

- Wiesz, ile czasu czekałem, abyś to powiedziała? - zapytał czułym, lecz jednocześnie poważnym tonem.

Catherine przypatrywała mu się bez słowa.

- Chciałbym wziąć cię w ramiona - dodał. - Czasami trudno mi się powstrzymać.

- Kiedy staliśmy przed ołtarzem, przysięgałam w duchu, że nigdy ci nie ulegnę dobrowolnie. Że będziemy żyli obok siebie, odgradzeni grubym murem. Widziałam w tobie wyłącznie wroga.

Wzrok mu złagodniał.

- A teraz kogo widzisz, Catherine?

- Przyjaciela. Męża.

Marcus z wolna pokiwał głową, a na jego wargach pojawił się uśmiech.

- Dopiero teraz mamy o czym pomówić, Catherine. Naprawdę chcesz być moją żoną?

- Chyba nią jestem - powiedziała cicho. - Kiedyś pałałam do ciebie nienawiścią. Teraz to już minęło albo powoli mija. Chcę poznać cię dużo bliżej, dowiedzieć się wszystkiego...

- Cieszę się, że to słyszę, chociaż wciąż rozumiem twoje dawne racje. Byłaś dla mnie narzędziem źle przemyślanej zemsty. Zabrałem cię do Saxton Court z nadzieją, że właśnie tutaj z czasem mi wybaczysz. Czekałem z bólem i tęsknotą, lecz także z nadzieją.

Catherine zarumieniła się pod badawczym spojrzeniem Marcusa. Wyciągnął rękę i delikatnym ruchem pogładził ją po policzku.

- Wrócę do ciebie jak najszybciej.

Po wyjściu męża Catherine przez dłuższą chwilę stała nieruchomo, wpatrzona w drzwi. Może sprawiło to coś w jego głosie, może w wyrazie twarzy... Wiedziała, że od tej chwili będzie niecierpliwie czekać na moment szczęścia.

## Rozdział siódmy

Marcus zostawił w Saxton Court sześciu dragonów ze swojego patrolu. Kazał ich ugościć czym chata bogata i pozwolił odpocząć. Sam udał się do Burton Grange, aby powiadomić Georgea Stanhope'a o niedawnych wyczynach Fentona. Nawet jeśli rządcą nie przystał do Monmoutha, należało poinformować o jego zachowaniu wobec kłusownika, a w domyśle także i innych mieszkańców majątku.

- Obserwowaliśmy go już od dłuższego czasu - pośpiesznie stwierdził George. - Sądzę, że Fenton specjalnie wkradł się w łaski twego ojca, żeby odsunąć od siebie wszelkie podejrzania. Pod tym względem zgadzam się z Elizabeth. Co więcej, mam nawet wyraźne dowody na to, że od pewnego czasu, wspólnie z Johnem Trenchardem, zajmował się werbowaniem ochotników do armii Monmoutha. Wprawdzie sam nie wziął do ręki broni, ale jest na liście przestępców.

- Rozumiem, że Trenchard uciekł z kraju przed przybyciem Monmoutha.

- Tak. Znam go od bardzo dawna. Doskonale orientował się



we wszelkich zawiłościach angielskiej polityki. Nie zamierzał nadstawiać karku za z góry straconą sprawę. Zapewne twój rządca podzielał jego zdanie. Nie wierzyli w Monmoutha, tym bardziej że przecież są lepsi kandydaci do tronu, jak choćby książę i księżniczka orańska. Oni mają o wiele większe prawo do schedy po Jakubie. Możliwe, że twój Fenton poszedł w ślady Trencharda i wyniósł się za morze.

- Jeśli tego nie zrobił, trzeba go aresztować. Jest jeszcze jedna sprawa, związana z Fentonem, która mnie bardzo martwi, George. Wprawdzie sprawy majątku prowadził poprawnie, ale moja żona przyłapała go na tym, jak zamierzał wychłostać pewnego kłusownika. Tak dalej być nie może. Nie pozwolę na to, zwłaszcza ze strony kogoś, kto na co dzień mieni się moim rządcą.

- Znasz zatem odpowiedź. Fenton to twój człowiek i nie mogę się wtrącać. To ty rządzisz w Saxton Court. Mogę jedynie dodać, że w trakcie wstępnego śledztwa doszedłem do wniosku, iż Fenton jest okrutnikiem. Znęcał się nad ludźmi za lada przewinienie. Wierzy w moc dyscypliny opartej na strachu. W gniewie nie zna litości, a gniewa się zawsze. Od swoich podwładnych wymaga bezwzględnego posłuchu.

Marcus z zaciętą twarzą skierował się do wyjścia.

- Tego mu nie daruję. Postaram się go znaleźć.

George zmarszczył brwi i wrócił do pytania, które go dręczyło od czasu pamiętnej wizyty w Saxton Court.

- A twoja żona? Nadal popiera Monmoutha?

- Wręcz przeciwnie - odparł Marcus. - Uspokój

się, George. Po ostatnich wypadkach moja Catherine zupełnie odrzuciła pomysły Monmoutha. Wiesz, że napadnięto na Saxton Court? Na szczęście nikt nie zginął, chociaż przywódca bandy został ranny w ramię. Catherine rzuciła się na niego z mieczem.

George spod oka patrzył na rozognioną szczęściem twarz przyjaciela. Zauważył, z jakim zachwytem Marcus wyraża się o żonie.

- Tak, słyszałem o tym. To okropne, lecz nie tylko Saxton Court ucierpiało. Rebelianci wszędzie szukali broni.

Wyszli obydwoj na zewnątrz, w przyjemny chłód nocy. George zaczekał, aż Marcus dosiądzie konia.

- Gdzie teraz jedziesz?

- Do Taunton. Coś mi podpowiada, że tam właśnie znajdę Fentona.

- Zaczynj go szukać po oberżach. To dobry początek. Powodzenia.

Po drodze Marcus wciąż myślał o Fentonie. To na pewno nie był przypadek, że zmarły lord Reresby przyjął go na rządce. Jak mogłem być tak ślepy? - zarzucał sobie Marcus. Dlaczego nie służyłem nawet Elizabeth? Dlaczego nie zadałem sobie najmniejszego trudu, aby sprawdzić, co się naprawdę dzieje w Saxton Court pod moją nieobecność? Czy to prawda, że Fenton dał sygnał do napadu? A może w ten sposób chciał się zemścić na Catherine za sprawę z kłusownikiem? Gdzie i kiedy poznał Henry'ego Barringtona? Czy był też zamieszany w spisek z Rye House?

Setki pytań i żadnej konkretnej odpowiedzi. O co w tym

wszystkim chodzi? Jaki zły los sprowadził Fentona do Saxton Court?

W mieście Marcus dowiedział się, że Fentona widywano ostatnio najczęściej w oberży „Pod Zamkiem”. W sali było tłoczno i ciemno od dymu. Fenton siedział z kompanami przy stole w odległym kącie. Wokół słychać było podbite głosy. W pewnym momencie rządca uniósł głowę i zobaczył Marcusa. Podniósł się powoli, gdy jego pryncypał podchodził do stołu.

Marcus obrzucił go ciężkim spojrzeniem. Kompani Fentona wyczuli, że coś się dzieje, bo zamarli w bezruchu. Z wyraźnym napięciem czekali, co będzie dalej. Każdy z nich się domyślał, że nagła wizyta lorda Reresby'ego nie wróży niczego dobrego.

- Mogę prosić na zewnątrz, Fenton? - zapytał Marcus. - Chcę z panem porozmawiać.

Odwrócił się i nie czekając na odpowiedź, wyszedł z oberży. Wiedział, że Fenton na pewno za nim pójdzie. Nie musiał zbyt długo czekać. Fenton zjawił się kilka sekund później. Marcus popatrzył na niego z góry.

- Przybyłem dzisiaj do Saxton Court i z niezadowoleniem stwierdziłem, że zaniedbuje pan swoje obowiązki - wycodził z ledwie skrywanym gniewem.

- Uchybiłem wobec pana, lordzie Reresby? - spytał Fenton lekko wyzywającym tonem.

- Nie wobec mnie, tylko mojej żony. Prawdę mówiąc, to nigdy pana nie lubiła, a raczej zna się na ludziach.

Fenton poczuł się osaczony. Zatem przyjazd Marcusa nie był przypadkowy. To wszystko robota tej jego wrednej żony, myślał. Odruchowo wsparł dłoń na rękojęści szpady.

- Znam jej uczucia wobec mojej skromnej osoby - odparł.  
- Trochę mnie to dziwi, zważywszy na znajomość, jaka przez długie lata łączyła mnie z jej ojcem.

- O tym także słyszałem, ale w tym wypadku to nie ma znaczenia. Podczas mojej nieobecności lady Reresby i jej służące pozostawały pod pańską opieką. Gdzie pan był, kiedy do Saxton Court przysli ludzie Monmoutha? Schował się pan, żeby uniknąć oskarżenia o zdradę sprawy protestantów? Dobry Boże, człowieku, mogli mi zabić żonę! Coś ty sobie myślał?

Fenton nonszalancko wzruszył ramionami. Przemowa Marcusa nie wywarła na nim żadnego wrażenia.

- Lady Reresby poradziła sobie i beze mnie - powiedział ze źle maskowaną niechęcią. - Przepędziła bandytów. Jednemu nawet zadała prawie śmiertelną ranę. Przynajmniej tak mi mówiono.

- Niech cię diabli, Fenton! Wcale nie o to chodzi! Od lat mieszkasz w Saxton Court. Żyjesz na mój rachunek. W zamian żądam, byś wykonywał pewne obowiązki. Do tej pory cieszyłeś się moim zaufaniem. Nie rozumiesz tego?

Fenton napotkał wrogi wzrok Marcusa.

- Po przybyciu do Saxton Court nikomu nie składałem przysięgi na wierność - powiedział. - Ani pańskiemu ojcu, ani panu, milordzie. Robię to, za co mi płacą, i robię to dobrze. Pański ojciec nie miał do mnie pretensji.

- To jeszcze sprawdzimy. Mój ojciec, Panie świeć nad jego

duszą, czasami był zbyt wyrozumiały. Zapewne nie dostrzegął, kogo ma przy sobie.

Marcus spokojnym wzrokiem mierzył przeciwnika. Widział, że Fenton przysunął rękę do szpady. Nie wątpił, że rządcą zna się na szermierce.

- Wiem już, kim naprawdę pan jest, Fenton. Słyszałem o pańskiej wielkiej zażyłości z Johnem Trenchardem. Podejrzewam, że zaszył się pan w Saxton Court, aby mieć względny spokój i nie zwracać na siebie uwagi urzędników króla. Przez cały czas stał pan po stronie rebeliantów. Do spółki z Trenchardem werbowaliście ludzi do armii Monmoutha. Powiem panu: nic z tego. Choćby ich były setki, nie wytrzymają starcia z wojskami króla Jakuba.

- Na pewno? - spytał Fenton. Nawet do głowy mu nie przyszło, aby się wypierać. - Żołnierzom Monmoutha nie brakuje odwagi. Budzą strach pośród wszystkich przeciwników. Siły króla topnieją z każdą chwilą. Dezercje się mnożą. Monmouth jest pewny zwycięstwa.

- Chyba trochę na wyrost - zauważył Marcus. - Ma prawie pusty skarbiec. Jak chce uzbroić swoich ludzi? Kilku nosi muszkiety, paru innych szpady, ale większość rekrutów przychodzi bez broni albo z tym, co pod ręką. Mają sierpy, widły lub co najwyżej noże. Proście Boga, żeby nie doszło do prawdziwej bitwy. Brakuje wam żywności. Gdzie chcecie ją kupić? A tymczasem silne królewskie oddziały zdecydowanym marszem kroczą wam naprzeciw. Zamieszki w Londynie już zostały stłumione. Argyle ledwie się trzyma na północy. Co dalej, Fenton? Co pan teraz zrobi?

Może, wzorem Trencharda, opuści pan Anglię i poszuka schronienia gdzieś na kontynencie?

Fenton błysnął oczami.

- Co zrobię, to już moja sprawa.

- A może raczej brak panu odwagi do prawdziwej wojaczki? O właśnie, jest jeszcze coś, o czym chciałem z panem porozmawiać. Żona mówiła mi, że często nadużywa pan swojej pozycji. Występuje pan w roli sędziego i kata. Szczególnie zawzięcie ściga pan kłusowników. Tak, powiedziała mi o tej haniebnej sprawie. Takiego zachowania nie mogę tolerować. I co pan na to? Nie wątpię, że pańska wersja będzie trochę odmienna, ale z ochotą jej posłucham.

- Zawsze pan wierzy swojej żonie, milordzie?

- Próbuje pan podważyć wiarygodność Catherine? Kraj stoi w obliczu wojny, a pan wymyśla chłostę! Ile razy przedtem to się już zdarzyło?

Fenton uśmiechnął się krzywo.

- W moich metodach nie ma nic zdrożnego. Owszem, kazałem chłostać złodziei i kłusowników. Dzięki temu w majątku panuje porządek.

- Gdybym wcześniej wiedział o pańskich metodach, sam sprawiłbym panu chłostę.

- Prędzej byś stanął przed bramami piekła! - Fenton na dobre już porzucił wszelkie rewerencje. Z nienawiścią patrzył na swego pana.

Marcus przybliżył twarz do jego twarzy.

- Jak chcesz, Fenton. Wiem już, kim jesteś. Oskarżam cię, że to ty zorganizowałeś napad na mój dom i na moją żonę.

Zwalniam cię z pracy i z urzędu. Nie jesteś mi potrzebny. Możesz natychmiast odejść. Nie obchodzi mnie, co się z tobą stanie, lecz w przyszłości nie pokazuj się w pobliżu Saxton Court.

- Cała przyjemność po mojej stronie - sarkastycznym tonem odparł były rządcą. Całą postawą wyrażał nieprzejednaną niechęć do lorda Reresby'ego. - Nic mnie już nie trzyma w Somerset. Zrobiłem praktycznie wszystko, co do mnie należało. Zanim odejdę, to jeszcze coś powiem. Kiedy pan, mi lordzie, ganiał buntowników, pańska żona spotykała się z jednym z nich tu, w Taunton.

Marcus drgnął. Na moment stracił zwykłą pewność siebie.

- Łżesz - burknął zdławionym tonem.

Fenton uśmiechnął się złośliwie.

- Czyżby? Jeśli pan chce, mogę to powtórzyć w obecności lady Reresby. Ciekawe, czy zaprzeczy. Wie pan, kto przybył tutaj z Monmouthem? Stapleton. Tak, Harry Stapleton. Widziałem go na własne oczy. Był z pańską żoną. Mówią, że stara miłość nie rdzewieje. Niech pan wraca do domu i sam o to zapyta. Tak, znałem pańskiego teścia, Henry'ego Barringtona. Znałem, lecz to nie znaczy, że budził moją sympatię. To był zwyczajny tchórz. Niewiele brakowało, żebym przez niego powędrował za kratki albo na szafot. Choćby z tego powodu nie lubię jego córki. Nie muszę jej osłaniać.

- Oczywiście.

- Z tego co mi wiadomo, piękna Catherine miała wyjść za Harry'ego. Pan jej w tym przeszkodził.

Marcus przez krótką chwilę patrzył na niego w milczeniu.

Potrzebował czasu, żeby choć trochę ochłonać z wściekłości i podjąć dalszą rozmowę.

- Dość, Fenton - powiedział wreszcie. - Chyba się zapominasz.

- Mogę mówić, co zechcę - odparł. - Przecież już nie jestem pańskim pracownikiem. Idźmy więc dalej. Pański rywal zjawił się tu, w Anglii, wtedy, gdy Catherine nudziła się samotnie. Może to skłoniło ją do małego flirtu? - Roześmiał się chrapliwie. - Biorąc pod uwagę jej dawne zachowanie, na przykład w Hadze, kiedy już była pańską żoną... Tak, o tym też wiem. Ciekawe, dlaczego od tamtej pory wasza lordowska mość tak starannie omija jej sypialnię?

Twarz Marcusa pobladła z gniewu.

- Coś ty powiedział? - wycodził przez zaciśnięte zęby. - Ty nędzny psie...

- Cała służba nad tym się zastanawia - dorzucił zupełnie niezmiyszany Fenton.

- Radzę ci, trzymaj język za zębami. - Marcus miał szczerą ochotę udusić stojącego przed nim człowieka. - Nie pozwolę, żebyś w taki podły sposób obrażał moją żonę.

- Chyba za bardzo pan się o nią troszczy, milordzie. Nie zasłużyła na to.

Marcus zmrużył oczy.

- Jesteś impertynentem. Nie masz najmniejszego prawa wtrącać się w nasze sprawy. Ale dość o tym. Teraz mi opowiesz o swojej znajomości z Barringtonem - powiedział, ale poprzyśiągł w duchu, że przy najbliższej okazji spyta żonę o Stapletona.

- Wspólnie z nim brałeś udział w spisku na życie króla Karola?



- Dlaczego miałbym o tym mówić? Chce pan oskarżyć mnie o zdradę? Próżne nadzieje. - Fenton uśmiechnął się szeroko. - Nikt nie pamięta o Rye House. Sępy znalazły nową ofiarę.

- Owszem, Monmoutha. On także wiedział o zamachu, i w pewnym sensie nawet go popierał. Posłuchaj mojej dobrej rady, Fenton. Wynoś się stąd, zanim cię uduszę gołymi rękami. Nie pokazuj się w pobliżu Saxton Court. Uciekaj jak najdalej. Jeżeli jeszcze kiedyś cię zobaczę, zginięsz jak pies, a twoje nędzne zwłoki pozostaną na polu, aby zgniły.

- Na tym nie koniec z nami - odparł Fenton spokojnym, wyważonym tonem. - Zostałem obrażony. Pilnowałbym się na pańskim miejscu. Może się zdarzyć, że nagle pan poczuje chłód stalowego ostrza pomiędzy żebrami...

Urwał, okręcił się na pięcie i odszedł energicznym krokiem. Nie wrócił do oberży, lecz zniknął w ciemnościach.

Marcus popatrzył za nim ponuro. Już się nie cieszył z powrotu do Saxton Court i ze spotkania z żoną. Słowa Fentona zasiały niepokój w jego sercu. W posępnym nastroju wspiął się na siodło i zatoczył koniem. Przypominał sobie ostatnie słowa byłego rządcy. „Chłód stalowego ostrza...”. Czy to jakaś aluzja? - pomyślał. Mówił o moim ojcu?

Nagle zrodziło się w nim podejrzenie, że to właśnie Fenton mógł być uwikłany w morderstwo starszego lorda Resesby'ego. Za późno... Dlaczego go nie zatrzymałem?

Szarpnął wodze i przynaglił konia do szybszego biegu. Nie

wracał jednak do Saxton Court. Zamiast tam, pojechał do domu Elizabeth.

W holu spotkał Rogera.

- Marcus! Co cię do nas sprowadza o tak późnej porze? - zawołał szwagier. Szerokim gestem zaprosił gościa do gabinetu i nalał dwa kieliszki brandy.

- Wybacz to nagłe najście - powiedział Marcus. - Nie budź Elizabeth. Przede wszystkim chciałem porozmawiać z tobą. - Pokrótce opowiedział mu o wszystkim, co w ciągu tego dnia zdarzyło się w Somerset. - Słyszałem też, że wkrótce wyjeżdżacie do Londynu - zakończył.

- Prawdę mówiąc, już jutro - przyznał Roger. - Chciałbym odwiedzić matkę. Nie widzieliśmy się od dawna. A poza tym będę o wiele spokojniejszy, kiedy zabiorę stąd rodzinę. Boję się o dzieci i Elizabeth. Nie wiem, kiedy wrócimy. Mogę ci w czymś pomóc?

- Tak. Mam do ciebie pewną prośbę.

- Słucham. - Roger podał mu kieliszek. - Wiesz, że zrobię dla ciebie wszystko.

- A odegrałbyś rolę szpiega? - posępnie zapytał Marcus. - Śledczego, jeśli wolisz.

- Szpiega? - z wyraźnym zaskoczeniem powtórzył Roger. Tego się nie spodziewał. - Kogo miałbym śledzić?

- Fentona.

- Fentona? Dobry Boże! Co to znaczy? Myślałem, że już dawno przyszedł do Monmoutha. - Z niepokojem spojrzał na szwagra. - Coś się stało?

- Wyrzuciłem go z Saxton Court. Okłamał mnie, tak jak

przedtem okłamywał ojca. To zwykły łajdak i okrutnik. Do dzisiejszego dnia nawet nie podejrzewałem, że jest w nim tyle nienawiści. Chyba *coś* wie o morderstwie.

- Jesteś tego zupełnie pewny?

- Jeszcze nie. Potrzeba mi więcej dowodów i dlatego proszę cię o pomoc. Fenton dobrze znał Henry'ego Barringtona. Podejrzewam, że po naszej ostatniej rozmowie pójdzie w ślady Trencharda i ucieknie za granicę. Przedtem jednak zapewne pojedzie do Londynu, żeby zatrzeć ostatnie ślady. Sprawdź, co robi i z kim się spotyka. Popytaj, gdzie był w dniu śmierci mojego ojca.

- A jeśli okaże się, że to właśnie on jest mordercą?

- Nie bój się, potraktuję go zgoła inaczej niż Barringtona. Wiele się nauczyłem i zrozumiałem. Postawię Fentona przed sądem. Nie chcę być jego katem. Chyba że sędziowie wypuszczą go na wolność...

Roger pociągnął solidny łyk brandy i przez chwilę zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

- Dobrze - powiedział w końcu. - Wiem, że to dla was ważne. Sam też chciałbym, aby morderca poniósł zasłużoną karę. Rozejrzę się po różnych klubach, zwłaszcza tych, gdzie najczęściej bywają republikanie. - Głęboko zaczerpnął tchu. - Szpieg! Kto by to pomyślał? Mam nadzieję, że dowiem się czegoś pożytecznego, co mógłbyś wykorzystać.

- Jestem ci za to wdzięczny, Rogerze, ale bądź ostrożny. Nie narażaj się niepotrzebnie. Jeśli wyczujesz zagrożenie, to przede wszystkim myśl o sobie. I jeszcze jedno. Nie mów nic o tym Elizabeth.

- Będę milczał jak grób. Hm... Złe porównanie. - Roger uśmiechnął się krzywo.

- Pisz do mnie jak najczęściej. To już wszystko, o co cię proszę.

Roger skinął głową.

- Zrobię, jak zechcesz.

- Dziękuję - odparł Marcus. Z góry wiedział, co Roger odkryje w Londynie. Jeżeli moje podejrzenia choć w części się potwierdzą, bez wahania zniszczę Fentona, postanowił. Już z niecierpliwością czekał na ten moment.

Dopiero w drodze powrotnej do majątku Marcus przypomniał sobie o Catherine. Gniewało go, że sama pojechała do miasta pełnego rebeliantów. Był zły także na siebie, że nie mógł stanąć przy niej w najtrudniejszych chwilach.

Bez zdziwienia przyjął wiadomość, że młody Stapleton przybył do Anglii wraz z armią Monmoutha. Nie podobało mu się tylko to, że spotykał się z Catherine. Jeżeli Fenton mówił prawdę... Marcus pokręcił głową. Poczował zazdrość. Zrozumiał, że już od dawna kocha żonę. Co za ironia losu. Wbrew sobie zapalał miłością do kobiety, którą siłą nakłonił do małżeństwa.

Od tygodni widywał ją w snach. Chciał mieć nie tylko jej ciało, ale miłość. Miał nadzieję, że tak się stanie. Że przyjdzie taka chwila, kiedy będą naprawę razem.

Alice krzątała się przy łożku. Marcus nawet nie zauważył, kiedy wyszła. Patrzył tylko na żonę.

Catherine odruchowo mocniej zaciągnęła poły cienkiej nocnej koszuli i z niepokojem spojrzała na Marcusa. Dziwiło ją, że od wejścia nie odezwał się ani słowem. Co się stało? Dlaczego wciąż stał w progu, z nieruchomą twarzą i przyglądał jej się rozognionym wzrokiem? Cała jego postawa wyrażała niezwykle napięcie. Ani śladu poprzedniej czułości...

- Marcusie? - spytała niepewnie i wyciągnęła rękę. - Co się stało?

- Cała zachodnia część kraju stoi w ogniu. Wszędzie się panoszą bandy rebeliantów, a ty na własną rękę, bez ochrony, włóczyz się po miastach? Mało ci jeszcze przygód? - rzucił ostrym tonem.

- Nigdzie się nie włóczyłam! - odpowiedziała gniewnie, do głębi poruszona jego zachowaniem. Wiedziała, że wspominał o jej podróży do Taunton, w poszukiwaniu kłaczy.

Marcus łypnął na nią spode łba. Twarz miał niczym z kamienia, jedynie na ustach drżał mu zły uśmiezek.

- Zachowujesz się tak, jakbym pojechała tam w roli mar-kietanki - zauważyła oschłym tonem.

Zmrużył oczy.

- Jesteś bezwstydna, Catherine - powiedział z niechęcią. - Wiem, po co się wybrałaś. Boleję nad tym, że zmusiłem cię do ślubu, ale to już się nie odstanie. Żądam jednak, abyś przez wzgląd na nazwisko, które teraz nosisz, zachowywała się poprawnie.

- Nie rozumiem. W czym ci uchybiłam?

- Widziałas się ze Stapletonem.

- Owszem, spotkałam Harry'ego. - Catherine zaczerwieniła

się i zakłopotana podeszła do męża. - Marcusie, przecież to nie ma najmniejszego znaczenia.

-Wręcz przeciwnie, Catherine. Rozmawialiśmy dzisiaj o wielu różnych sprawach. Dlaczego mi nie powiedziałaś, że byłaś w Taunton?

- Najzwyczajniej w świecie o tym zapomniałam.

Marcus założył ręce do tyłu i wojskowym krokiem zaczął się przechadzać po pokoju. Catherine z trudem powstrzymywała się od płaczu. Nagle Marcus zatrzymał się i przeszył ją ostrym spojrzeniem.

- Pojechałaś do Taunton, w którym w owym czasie roiło się od żołdaków. Rozmawiałaś ze swoim byłym narzeczonym, z człowiekiem, którego ponoć zawsze będziesz kochać. Teraz chcesz mi wmówić, że o tym zapomniałaś?!

Gdzieś uleciała cała poprzednia radość, którą Catherine odczuwała na myśl o Marcusie.

- Tak, zapomniałam! - zawołała głośno. - Niech cię diabli, mój mężu - dodała łamiącym się głosem. - Od razu musisz mnie potępić? Patrzysz na mnie, jakbym popełniła jakąś zbrodnię!

- A nie popełniłaś? - zapytał ze skrywaną pogardą. - Wyobrażnia podsuwa mi najróżniejsze możliwości.

To był bolesny cios. Catherine przymknęła oczy i przyjęła go w głuchym milczeniu. Przez chwilę w pokoju panowała cisza.

- Bardzo się mylisz, jeżeli sądzisz, że pojechałam tam do Harry'ego. Pozwól, że będę równie brutalna i nazwę pewne rzeczy po imieniu. Nie mam romansu i nigdy nie miałam.

Po napadzie na dwór wybrałam się do miasta, żeby odzyskać skradzione konie. Najbardziej żał mi było Melodii, klaczy, którą dostałam od ciebie. Owszem, wiedziałam, że Harry na pewno zjawi się z Monmouthem. Nie przypuszczałam jednak, że go spotkam. To był przypadek. W ogóle o nim wtedy nie myślałam.

- Powiedzmy. Bardziej ciekawi mnie, co było potem. Wziął cię w ramiona? Szeptał słodkie słowa o dozgonnej miłości?

Te słowa dotknęły Catherine do żywego. Zbladła, lecz w jej zielonych oczach zapaliły się ogniki buntu.

- Ogromnie się mylisz. Jestem mężatką. Harry zachował się jak dżentelmen. To ja chciałam przygarnąć go do piersi.

Twarz Marcusa zastygła w grymasie wściekłości. Catherine bała się, że zaraz ją uderzy, ale odważnie popatrzyła mu prosto w oczy.

- Nie boisz się mi tego mówić?

- Nie - odpowiedziała dźwięcznym głosem. - Domagałeś się całej prawdy, więc posłuchaj. Odkąd pamiętam, to właśnie Harry odgrywał w moim życiu niepoślednią rolę. Tego już nie da się wymazać. Nie uczynił mi żadnej krzywdy, to ty go okrutnie skrzywdziłeś - przypomniała mu. Przerwała na chwilę, żeby zaczerpnąć tchu, a potem mówiła dalej z bladą i ściągniętą twarzą. - Tak, to ja chciałam przygarnąć go do piersi i pocieszyć. A wiesz dlaczego? Bo po wielu miesiącach nieoczekiwanie zobaczył kobietę, którą niegdyś kochał, i dowiedział się, że tym razem stracił ją na zawsze.

Marcus chciał spytać, czy Catherine nadal kocha Harry'ego

Stapletona, ale nie zrobił tego, bo w głębi serca bał się odpowiedzi. Odwrócił się i podszedł do drzwi.

- Dokąd idziesz? - zawołała Catherine. Nie chciała zostać sama.

- Do moich dragonów. Mam pewne obowiązki.

Catherine błyskawicznie zastąpiła mu drogę. Nie mogła pozwolić, żeby opuścił ją w ten sposób.

- Mieliśmy inne plany na dzisiejszy wieczór - powiedziała.

- Zostań, proszę, albo obiecaj mi, że wrócisz po rozmowie ze swoimi ludźmi.

Marcus spojrzał na nią z niedowierzaniem. Catherine złękła się, że go obraziła.

- To się jeszcze okaże - odparł sucho.

- Czy mam w takim razie iść do twojej sypialni, czy też przyjdiesz tutaj? Nadal chcesz ze mną zostać? - Popatrzyła na niego łagodniej, a jej usta rozchyliły się w kuszącym uśmiechu.

- Nie wiem. W Taunton spotkałem Fentona. To on powiedział mi o twoim spotkaniu ze Stapletonem.

- Widział nas razem?

Marcus skinął głową.

- Harry'ego już nie ma. Zapomnij o nim.

- Jak mam zapomnieć? - spytał gorzko. - Wciąż stoi między nami. Podejrzewam, że tak będzie zawsze.

Catherine domyśliła się, że Marcus jest zazdrosny. To sprawiło jej dużą ulgę. Zalotnie przechyliła głowę w bok i roześmiała się cicho. W jej pięknych oczach zamigotały iskierki wesołości.

- Czyżbyś był zazdrosny?



- Może mam swoje powody.

Podeszła bliżej, wsparła ręce na biodrach i obrzuciła go przeciągłym spojrzeniem.

- Wątpię. I nie patrz tak na mnie wilkiem, bo wcale się ciebie nie boję.

Nie wytrzymał i też się uśmiechnął.

- Nie? - mruknął tonem wyzwania.

- Doprawdy nie wiem, o czym chcesz rozmawiać ze swoimi ludźmi. Nie znam zwyczajów panujących w oddziałach dragonów, ale przypomnij sobie, że jest już bardzo późno. O tej porze mężowie mają zupełnie inne obowiązki.

Marcus popatrzył na nią pytającym wzrokiem.

- Miałbym się oprzeć takiej propozycji?

- A chcesz się opierać? - Niewiele myśląc, wyciągnęła rękę i pogładziła go po policzku.

Marcus drgnął, czując na skórze dotyk jej delikatnych palców.

- Myślę, że można mnie przekonać. Powiadasz zatem, że się poddajesz? Że na tym koniec wielkiej wojny, którą toczy-  
my od dnia ślubu?

- Sama nie wiem... Mam swoją dumę.

- Do diabła z dumą, Catherine. Pytam, czy chcesz być moją żoną i dzielić ze mną wspólne łóżko? Pomyśl rozsądnie.

- Ja? Rozsądnie? Ależ Marcusie, mój mężu, nigdy nie byłam nierozsądna. Akceptuję nasze małżeństwo razem ze wszystkimi implikacjami. Będę oddaną i kochającą żoną. Ciekawe tylko, czy ty wytrzymasz w roli czułego męża - dodała znaczącym tonem.

Marcus z niemym zachwytem wpatrywał się w jej cudowne zielone oczy.

- To nietrudne - odrzekł po nieskończeniu długiej chwili. - Tylko raz zagrałem od niechcenia, ale wołę o tym zapomnieć. Teraz postaram się, aby mój występ był na jak najwyższym poziomie.

Catherine się zaczerwieniła. Rzeczywiście nie miała zbyt przyjemnych wspomnień po tamtej pierwszej nocy. Wszystko odbyło się zbyt szybko i bez czułości. Myślała wówczas, że tak zawsze musi być w małżeństwie. Teraz zdawała sobie sprawę, że najpiękniejsze jeszcze przed nią...

Marcus ciasno objął ją w pasie i przyciągnął do siebie.

- Chcesz być ze mną? - zapytał półgłosem.

- Oczywiście.

- Nie bój się, Catherine, mam w zapasie kilka niespodzianek. Daję ci słowo, że na pewno będziesz zadowolona.

- Tak powiadasz? - spytała z przekorą w głosie. Czuła, jak fala nagłego gorąca ogarnia jej ciało.

- Marzyłem o tym.

- Co z dragonami?

- Pewnie śpią, najedzeni, na świeżym, pachnącym sianie - odparł. Popatrzył na jej rozchylone, karminowe usta. - Czują się jak w raju. Są szczęśliwi, że aż do jutra rana nie muszą jechać do Bridgwater.

Catherine przymknęła oczy, rozmarzona. Chwilę później poczuła jego wargi na swoich ustach. Marcus zamknął ją w ramionach i namiętnie pocałował.

Ich wspólna noc wprawiła Catherine w radosne zdumie-

nie. Zanurzona w fałach rozkoszy, całkowicie poddała się zabiegom męża.

Dla Marcusa była uosobieniem zmysłowego erotyzmu - piękną i czułą żoną, ideałem kobiety, który do tej pory istniał jedynie w jego wyobraźni. Nigdy dotąd nie zaznał większej przyjemności. Nikogo tak bardzo nie kochał.

Ta noc stała się dla nich początkiem nowego, wspólnego życia. Przez długą chwilę leżeli przytuleni do siebie, wsłuchani we własne oddechy. Wreszcie zasnęli.

Szare światło wstającego dnia z trudem przedzierało się przez wiszące w oknie zasłony. Z daleka dobiegały przyciszzone odgłosy. Wielki dom budził się do życia. Marcus otworzył oczy i przez kilka minut leżał nieruchomo, ciesząc się ciepłym dotykiem śpiącej obok Catherine. Powiódł wzrokiem po jej białych, krągłych ramionach. Spojrzał na czarne loki, rozrzucone na poduszce, na zaróżowione policzki i zmysłowe usta, na których igrał cień uśmiechu.

Nie ruszał się, żeby nie zniszczyć tej magicznej chwili. Z zartym tchem przyglądał się młodej żonie. Wydawała mu się niemal boginią. Wiedział, że do samej śmierci zapamięta widok, który zobaczył tego ranka.

Wreszcie powoli wstał i na palcach zbliżył się do miski z wodą. Umył twarz i ręce. Starał się zachowywać bardzo cicho, lecz mimo to Catherine się obudziła.

Była na siebie zła, że spała tak długo. Nie całkiem jeszcze ochłonęła po wrażeniach minionej nocy. Dominowało w niej

uczucie szczęścia i pragnienie, by Marcus jak najszybciej wrócił w jej ramiona.

Przewróciła się na bok i zaspanym wzrokiem popatrzyła na męża. Stał do niej tyłem, schylony nad miednicą. Pod jego ciemną skórą rysowały się potężne węzły mięśni. Catherine wiedziała, że niedługo przyjdzie im się pożegnać. Bała się tej chwili.

- Już dzień - powiedziała, zerkając w stronę okna. Na dworze wciąż było szaro; deszcz tłukł o szyby.

- To prawda. - Marcus uniósł głowę. Krople wody spływały mu po twarzy, więc sięgnął po ręcznik. - Muszę jechać, Catherine.

- Wiem. Niestety... Wolałabym, abyś został. Mam przecucie, że wkrótce dojdzie do bitwy. Boję się, że zostaniesz ranny.

- Z bożej łaski, Catherine, nie dam się dopaść wrogom.  
- Marcus naciągnął koszulę i wziął do ręki skórzany kaftan. Usiadł na łóżku koło żony.

- Obiecaj mi, że będziesz na siebie uważał - powiedziała, biorąc go za rękę.

- Obiecuję, moja ukochana. Od tej pory jesteśmy prawdziwym małżeństwem. Za bardzo jestem ciekaw, co dalej z nami będzie, żeby dać się zabić. - Ucisnął jej dłoń. - Wrócę do ciebie, choćby z piekła. - Nawet nie podejrzewał, ile smutnej prawdy kryje się w tych słowach. - O wiele bardziej boję się o ciebie. Po ostatnim napadzie chyba nie powinnaś zostawać w Saxton Court.

- Rebelianci już stąd odeszli. Nie sprawią nam więcej kłopotów.

- Mimo to sytuacja wciąż nie jest bezpieczna. Roger zabiera Elizabeth i dzieci do Londynu. Może pojedziesz z nimi?

Catherine gwałtownie poderwała głowę i odsunęła się od niego.

- Chcesz, żebym zamieszkała z Elizabeth w Londynie?

- Tylko na pewien czas.

- Nie zgadzam się - odpowiedziała stanowczym tonem.

- Nigdzie nie pojedę. Moje miejsce jest tutaj. Znam swoje obowiązki.

- Catherine, przecież to dla twojego dobra.

- Co znaczy „dla mojego dobra”? Nie jestem tutaj sama.

- Tak, masz służących i kilka pokojówek. Może paru stajennych. Główny ogrodnik, Thomas, jest już bardzo stary. Tak samo Archie. Żaden z nich nie udźwignie broni. Wszyscy młodsi dawno odeszli do Monmoutha.

- Zastanów się, co mówisz! Chcesz pozostawić dwór bez opieki? A co będzie ze służbą, o której wspomniałeś, kiedy zbraknie kogoś, kto by nad nimi czuwał? Przepędziłam bandytów i zrobię to samo, jeśli zajdzie potrzeba. Nie wyjadę z Saxton Court. To już postanowione.

Marcusowi wystarczyło zaledwie jedno spojrzenie na jej zaciętą minę, żeby zrezygnować z dalszych pertraktacji. Z podziwem pokiwał głową.

- Wiem, że jesteś odważna, ale mimo to błagam, abys przez cały czas uważała na siebie. Jeśli chcesz, możesz zostać. Nie będę się kłócił. - Westchnął z głębi piersi. - Mogę jedynie w duchu dziękować opatrności, że Monmouth już jest w po-

łowie drogi do Bristolu. Mam nadzieję, że najgorsze niebezpieczeństwo minęło.

- Cieszę się, że pod tym względem doszliśmy do porozumienia. - Przytuliła się do męża. - A teraz powiedz mi coś więcej o spotkaniu z Fentonem. Mówiłeś, że się widzieliście w Taunton.

- Tak, to prawda. Fenton już dla nas nie pracuje.

Catherine usłyszała nutę gniewu w głosie męża. Domyśliła się, że spotkanie w Taunton nie było przyjemne.

- Dlaczego?

- Sporo się o nim dowiedziałem od ciebie i od Rogera. Życie Fentona to jedno ciągłe pasmo kłamstw, intryg i spisków. Taki człowiek nie może być rządcą w Saxton Court. Jest brutalny. Rozpiera go pycha.

- Poszedł za Monmouthem?

- Nie. Moim zdaniem, raczej wyjedzie do Londynu albo do Holandii. Miałaś rację, Catherine. Dobrze znał twojego ojca, ale z tego co mówił, nie byli przyjaciółmi. Podejrzewam jednak, że to właśnie Fenton miał wiele wspólnego ze śmiercią mojego ojca.

- Myślisz, że to on zabił? - spytała Catherine.

- Przyszło mi to do głowy - przyznał Marcus. - Na pewno jest zdolny do najgorszej zbrodni. Wątpię, żeby się kiedykolwiek przyznał do takiego czynu. Na pewno tego nie zrobił, by chronić Barringtona.

- Chyba że sam był zamieszany w zamach na króla Karola i bał się, że twój ojciec każe go aresztować.

- To także możliwe. Zapewne tak było, ale wciąż mi brakuje wyraźnych dowodów.

- Jak go znajdziesz, jeżeli ucieknie do Holandii?

- Jeśli naprawdę jest mordercą, odszukam go na końcu świata. Nie zdoła się przede mną schować. - Marcus pogłodził ją po twarzy. - Muszę już iść, moja ukochana. Churchill na mnie czeka.

- Jak długo cię nie będzie?

- Nie mam pojęcia. - Spojrzył na nią, jakby chciał zapamiętać najdrobniejsze szczegóły jej gibkiego ciała. Niestety, tego ranka już nie było czasu na więcej miłości.

- Będę tęskniła. - Przycisnęła usta do jego ręki. - Wracaj szybko.

Samotna łza spłynęła po *jej* policzku. Marcus usunął ją pocałunkiem.

- Płaczesz, Catherine? Dlaczego?

Przez chwilę milczała, wreszcie odwróciła głowę i wyszeptowała:

- Bo... jestem w tobie naprawdę zakochana.

- I to cię martwi?

Powoli pokręciła głową. Marcus naprawdę dał jej wiele szczęścia i nazywał ją „swoją ukochaną”, lecz nigdy wprost nie zapewnił o miłości. Czekwała na to. Wciąż czekała...

Tymczasem Marcus doskonale zdawał sobie sprawę z jej uczuć, ale nie zamierzał żonglować słowami. Najpierw chciał sam znaleźć odpowiedź na to pytanie. Teraz jednak był zaprzątnięty innymi sprawami. Na to przyjdzie czas później, pomyślał. Muszę mieć chwilę spokoju.

Niespiesznie ujął ją pod brodę.

- Spójrz na mnie, Catherine. - Popatrzył jej prosto w oczy.  
- Nasze małżeństwo jest dla mnie czymś wyjątkowym. Jesteś moją prawdziwą żoną. Pragnąłem cię już od dawna, ale twoje serce wciąż należało do Harry'ego Stapletona. Uzbroiłem się zatem w cierpliwość. Noc w noc leżałem sam, w pustym łóżu i myślałem tylko o tobie.

- Dlaczego zatem nie przyszedłeś?

- Chciałem, abyś była gotowa mnie przyjąć, Catherine.

- W takim razie nasze małżeństwo naprawdę jest wyjątkowe. Będziemy mieli jeszcze wiele wspólnych nocy.

Marcus pochwycił ją w ramiona i delikatnie pogłaskał po kruczoczarnych włosach.

- Wiem. Nie mogę cię stracić w chwili, kiedy cię znalazłem.

- Czeka cię bitwa - wyszeptęła. - Bądź bardzo ostrożny. Czuję, że coś ci grozi. Widzę *czarne* chmury...

- Deszcz minie, Catherine, i znów zaświeci słońce. Spójrz, już się przejaśnia. Uśmiechnij się, kochana.

Wstał i z ociąganiem podszedł do drzwi. Catherine owinęła się szybko w prześcieradło i podbiegła za nim.

- Uśmiechnij się - powtórzył. - Nie chcę zapamiętać twojej zapłakanej twarzy.

Pocałowała go na pożegnanie i przycisnęła czoło do jego policzka.

- Do widzenia, Marcusie. Niech Bóg ma cię w opiece.

Spoglądała przez okno, jak odjeżdżał z Dickonem i ludźmi z patrolu. Ubódł konia ostrogą i pogalopował na



północ, do Bristolu. Tam, gdzie był Monmouth. A deszcz ciągle padał...

Poprzedniego wieczoru Alice z niepokojem myślała o Catherine. Kiedy jednak ujrzała ją następnego ranka, jej obawy zniknęły. Siedziała przed lustrem i w zamyśleniu bawiła się włosami. W jej oczach tliły się resztki rozmarzenia wywołanego spotkaniem z mężem.

- Świetnie dzisiaj wyglądasz, moja mała ptaszyno.

Catherine drgnęła, wyrwana z zadumy. Nie zauważyła wchodzącej piastunki. Popatrzyła na Alice i pokiwała głową.

- I świetnie się czuję - powiedziała z radosnym uśmiechem.

- Wierz mi, naprawdę świetnie.



## Rozdział ósmy

W źle uzbrojonych oddziałach Monmoutha rozpaczliwie brakowało doświadczonych żołnierzy. Mimo to w Bridgewater szesnaście kilometrów na północ od Taunton, rebeliantów witano jeszcze huczniej niż przedtem. Wszyscy głośno wołali, że nim minie tydzień, król Jakub zostanie na zawsze strącony z tronu, a korona Anglii przejdzie w ręce Jamesa Scotta, księcia Monmoutha.

Jak dotąd, nie doszło jeszcze do prawdziwej bitwy. Owszem, wojska Monmoutha stoczyły kilka potyczek z siłami królewskimi, lecz w gruncie rzeczy to nie miało żadnego znaczenia. Każda ze stron mówiła o zwycięstwie. Wielka armia króla Jakuba II powoli ściągała w zachodnie rejony kraju. Codziennie przybywały nowe, liczne oddziały - o wiele liczniejsze od wojsk rebeliantów. Ochotnicy Monmoutha nigdy nie otrzymali broni rzekomo zakupionej dla nich już w Holandii. Szwankowała organizacja i wszystkim doskwierał brak dobrze wyszkolonej kadry oficerskiej.

Lorda Johna Churchilla, do niedawna dowodzącego

wojskami króla, na stanowisku naczelnego wodza zastąpił hrabia Feversham. Ten ostatni już od ćwierćwiecza wiernie służył monarchii, więc nic dziwnego, że Jakub II miał do niego większe zaufanie. Jednak wielu dworzan uważało Churchilla za lepszego dowódcę. Krążyły pogłoski, że musiał ustąpić, bo sam pochodził z zachodniej Anglii i nigdy nie zawarł bliską znajomość z Monmouthem.

Churchillowi zupełnie to nie przeszkadzało. Nie zważając na deszcz i słotę, deptał po piętach wrogom niemal do Bristolu. Żaden z buntowników nawet się nie odważył wysunąć z oddziałów, wiedząc, że w pobliżu czają się „królewscy”. Nikt nie chodził na furaz. Brakowało żywności. Wreszcie wyczerpane i głodne wojsko zaczęło powątpiewać w zdolności Monmoutha. Wszystkim marzył się dłuższy postój w Bristolu, oberże pełne jadła i przede wszystkim skarbiec, od dawna zasilany ze składu celnego. Książę liczył na to, że tam uzupełni mocno chudą kiesę.

Niestety, zabrakło mu na to czasu. Gdyby okazał trochę rozsądku i forsownym marszem podążył do Bristolu, zająłby to drugie co do wielkości miasto w Anglii jeszcze przed przybyciem oddziałów Jakuba II. Zrobiłby to bez trudu, bowiem, wbrew rozkazom, Feversham nie zniszczył bardzo ważnego mostu w Keynsham, czyli mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Bath a Bristolem. Monmouth, choć w tym momencie miał sporą przewagę, postanowił zaczekać z atakiem do zmroku. Tymczasem ulewny deszcz rozmoczył wszystkie drogi. Wojsko zaczęło grzęznąć w lepkim błocie. Wreszcie Monmouth kazał zawrócić do Keynsham i tam szukać schronienia.

Od tego dnia rebelianci upadli na duchu. Gniewni i przemoknięci, krzywym okiem patrzyli na księcia. Monmouth porzucił myśl o ataku na Bristol i skierował się w stronę Philips Norton. Po drodze rozbił opór wojsk królewskich i w strugach deszczu pomaszerował dalej na południe.

Ale potem było gorzej. Z Wiltshire nie nadciągnęły żadne posiłki. Londyn milczał. We Frome nadeszły wieści o całkowitej klęsce rebelii na szkockiej granicy. Król wydał edykt, ogłaszając amnestię dla wszystkich buntowników, którzy złożą broń. To natychmiast przyniosło spodziewany efekt. Rozczarowani żołnierze Monmoutha skorzystali z łaski i porzucali oddziały. Sam książę też chętnie by skapitulował, ale nie znalazł się na liście objętych amnestią.

Obie strony wzajemnie krążyły wokół siebie, przygotowując się do decydującego starcia. Monmouth przerzucił swoich ludzi z Frome do Shepton Mallet, potem do Wells, a stamtąd z powrotem do Bridgwater. Feversham stanął tymczasem we wsi Weston Zoyland, nieco na wschód od grząskiego Sedgemoor. Monmouth był pewien, że swoim posunięciem zdoła zaskoczyć armię Jakuba II Szóstego lipca około jedenastej w nocy siły buntowników w liczbie czterech tysięcy cichaczem opuściły Bridgwater, przeszły przez trakt bristolski i puściły się pędem przez szeroką na półtora kilometra rozmiętkłą równinę. Nad Sedgemoor unosiła się wtedy gęsta mgła. W pewnym momencie pierwsze szeregi stanęły, widząc przed sobą szeroki pas ciemnej wody. Był to tak zwany Bussex Rhine - jeden z kanałów przekopanych w poprzek przez całą równinę. Zdezorientowani

żołnierze, zanim się obejrzel, już mieli na karku oddziały królewskiej gwardii.

Bitwa trwała około półtorej godziny. Oddziały Monmoutha nie wytrzymały naporu wyćwiczonej armii i poszły w rozsypkę. Nastąpiła rzeź. Garstka ocalałych rzuciła się do ucieczki, unosząc z sobą Monmoutha.

Tymczasem w Saxton Court Catherine codziennie czekała na wieści z frontu. Wojna wciąż była głównym tematem rozmów całej służby. Catherine słyszała o wielkiej bitwie na Sedgemoor, w pobliżu Bridgwater. Powiadano, że wojska księcia Monmoutha zostały poszatkowane, a on sam ukrywał się w jakiejś dziurze. Ale to były tylko pogłoski.

Więcej powiedziała jej o tym Margaret Stanhope. Catherine właśnie stała w oknie i z roztargnieniem układała kwiaty w wazonie. Odwróciła się, słysząc skrzypnięcie otwieranych drzwi, i westchnęła z ulgą na widok znajomej twarzy. Kwiaty wypadły jej z ręki.

- Margaret! Och, tak się cieszę, że mnie odwiedziłaś! Do tej pory widywałam tylko służbę. Marcus tak bardzo drżał o moje bezpieczeństwo, że zabronił mi zbytnio oddalać się od domu.

- Miał rację, Catherine. Lepiej się nie narażać.

- Na litość boską, opowiedz mi, co się dzieje w kraju. - Catherine pociągnęła przyjaciółkę za sobą i usiadły obie na kanapie. - Żyję tu jak na bezludnej wyspie. Czasami czuję się tak bezradna, że chciałabym być mężczyzną. Mów prędko...

Urwała i popatrzyła na Margaret.

Lady Stanhope nie zwlekając, opowiedziała jej o wszystkim. Bitwę na Sedgemoor stoczono już tydzień temu.

- Monmouth pierwszy dał sygnał do ataku. Myślał, że zaskoczy królewskich żołnierzy, lecz okazało się inaczej. To była straszliwa walka... George jest zdania, że tylko cud uratował oddziały króla Jakuba. Monmouth był o krok od zwycięstwa.

Catherine siedziała nieruchomo. Twarz miała białą jak kreda.

- A co z Marcusem? George słyszał coś o nim? Może zginął? Powiedz coś... - poprosiła ledwie dosłyszalnym szeptem.

Margaret zauważyła łzy w jej oczach, więc powiedziała spieszenie:

- Gdyby zginął, George już by o tym wiedział. Póki co, nie mamy żadnych wiadomości. Mimo to jestem prawie pewna, że nic mu się nie stało - dodała tonem pocieszenia. - Był z lordem Churchillem.

- Wielu... wielu tam zginęło?

- Podobno ponad tysiąc, chociaż podejrzewam, że jak wszystkich policzą, będzie ze dwa tysiące. Powtarzam, Monmouth był bliski zwycięstwa. Miał liczniejsze oddziały i mógł zaskoczyć naszych. Chyba mu zabrakło dobrych oficerów. Jego żołnierze strzelali na oślep.

Margaret mówiła dalej, ale Catherine już od dłuższej chwili przestała jej słuchać. A gdzie Harry? - myślała. Co z nim się dzieje? Może leży gdzieś ranny? Potrzebna mu pomoc? Och, Boże, nie pozwól mu umrzeć! Słodki Jezu, tylko nie Harry'emu. Był taki dzielny i szczerzy... Zachowaj go przy życiu!

Margaret zauważyła jej nagłe milczenie, ale przypisywała to trosce o Marcusa. Delikatnie ujęła przyjaciółkę za rękę.

- Na pewno bardzo martwisz się o męża.

- Słucham? - Catherine drgnęła, wyrwana z zadumy. - Och... tak. To prawda - wyjąkała roztrzęsionym głosem. Prawdę mówiąc, okropnie bała się o obu. Pokochała Harry'ego dziewczęcą miłością, ale to Marcus dał jej chwile prawdziwego szczęścia. Harry oznaczał przeszłość, Marcus był przyszłością. ..

- Moja droga - ciągnęła Margaret - Marcus to doświadczony żołnierz. Na pewno nie dał się zabić. Wkrótce wróci.

- Brali jeńców?

Margaret pokiwała głową.

- Wielu z tych, co uciekli, ciągle się ukrywa. Podobno wokół Sedgemoor działy się okropne rzeczy. Na szczęście George oszczędził mi najgorszych szczegółów, ale słyszałam, że więzienia są pełne. Wielu buntowników od razu powieszono, jeszcze na pobojowisku - dokończyła o wiele ciszej.

- A Monmouth?

- Umknął, ale trzy dni później znaleziono go na wpół zagłodzonego w jakiejś szopie. Był w chłopskich łachmanach. Zabrano go pod strażą do Londynu.

- W takim razie rebelia wkrótce dobiegnie końca. Monmouth nie znajdzie łaski u króla Jakuba. To przykre, że przyjdzie mu skończyć w ten sposób.

- Królewskie wojska wraz z Fevershamem i Churchillem zaraz po bitwie pomaszerowały do Londynu.

- Żaden oddział nie został w okolicach Sedgemoor?

- Pozostał. Nie mogli postąpić inaczej. Jest tam kapitan Kirke, z dwoma plutonami piechoty tangerskiej, szwadronem jazdy i dragonów. Wciąż poszukuje niedobitków.

- Kim jest kapitan Kirke? Czy to uczciwy człowiek? Ma w sobie choć trochę litości dla pokonanych?

- Obawiam się, że nie. Wśród żołnierzy zyskał sobie opinię okrutnika. Marcus na pewno go zna, bo przecież był w Tangerze w tym samym czasie, kiedy Kirke dowodził tamtejszym garnizonem. Dużo wtedy mówiono o licznych egzekucjach i represjach wobec miejscowej ludności. Aż przykro było słuchać. Kirke zasłynął z wyjątkowo brutalnego traktowania więźniów. Do dzisiaj się nie zmienił. Trzy dni po bitwie na Sedgemoor przypadkowo widziałam transport jeńców wysłany do Taunton. Okropność, moja droga... Po prostu okropność.

- Niech Bóg ma w swojej opiece żołnierzy Monmoutha - cicho powiedziała Catherine.

- George wciąż się niepokoi, że jesteś tutaj sama, Catherine. Ja też dzielam jego obawy. Nie przeniosłabyś się na pewien czas do Burton Grange? Możesz u nas zamieszkać do powrotu Marcusa. Będziemy ci bardzo radzi.

- Dziękuję, Margaret. To miło z waszej strony, ale nie mogę tego zrobić. Nie bójcie się o mnie. Przecież Marcus i wspomniany przez ciebie kapitan Kirke walczyli po tej samej stronie. Obaj są żołnierzami króla, więc nie będzie już więcej napadów na Saxton Court. Zresztą Marcus niedługo wróci. Skoro złapano księcia...

- Przypomniałam sobie - wtrąciła Margaret - to, co kiedyś



przy stole mówiłaś o rebelii. Wtedy bardzo żarliwie broniłaś Monmoutha.

Catherine uśmiechnęła się smutno, jakby żałowała dawnej naiwności.

- Wstyd mi, kiedy dziś o tym myślę - wyznała zupełnie szczerze.

- Co więc teraz sądzisz o klęsce Monmoutha?

- Prawdę mówiąc, Margaret, to nie wiem. Jest mi okropnie smutno z powodu tak wielu zabitych.

-Tyle rozlanej krwi... - z zadumą przytaknęła jej Margaret.

- Nie powtarzaj tego George'owi, ale mimo wszystko wolałabym protestanckiego króla na angielskim tronie. - Catherine znacząco spojrzała na przyjaciółkę. - Oczywiście nie znajduję słów usprawiedliwienia za moje zachowanie tamtego wieczoru. To było bardzo głupie i nieodpowiednie. - Zaczzerwieniła się, kiedy przypomniła sobie późniejszą rozmowę z mężem. - Marcus był na mnie bardzo zły. Solidnie mi się dostało. Potraktował mnie niczym małe dziecko, któremu należy się sroga bura.

- Widzę, że wciąż go kochasz, Catherine - łagodnym tonem zauważyła Margaret.

- Bardziej niż kiedykolwiek przedtem i bardzo tęsknię.

- Jestem pewna, że wkrótce znowu się spotkacie.

Catherine poważnie pokiwała głową.

- Też mam taką nadzieję. Chciałabym, żeby już wrócił. Okropnie mi go brakuje.

Był jeszcze inny powód, dla którego czekała na powrót

Marcusa. Często miewała mdłości i zawroty głowy. Przez pewien czas składała to na karb zmęczenia i nieustannych zmarwień. Dopiero po rozmowie z doświadczoną Alice doszła do wniosku, że zaszła w ciążę. Późniejsze objawy zdawały się to potwierdzać. Alice nie posiadała się z radości. Catherine również była tym mocno podniecona. Stara piastunka ukradkiem szykowała wyprawkę.

- Kiedy powiesz o tym jego lordowskiej mości? - zapytała pewnego razu.

- Już niedługo, Alice - zapewniła ją Catherine - jak tylko przyjedzie do domu.

Ciągle miała w pamięci ich ostatnie spotkanie i noc, którą spędzili razem. Cieszyła się, że wreszcie została jego żoną nie tylko z imienia. Dał jej prawdziwe szczęście i sprawił, że w jej sercu nie było miejsca dla innego mężczyzny. Chciała być tylko przy nim i sprawić, żeby w końcu pokochał ją tak mocno, jak ona jego kocha.

Kocha? Catherine z namysłem zmarszczyła brwi. Tak, przyznała z westchnieniem, rzeczywiście kocha. Tęskniła za jego czułymi spojrzeniami, które ją napawały radością i wewnętrznym ciepłem. Już nie wyobrażała sobie, by mogło być inaczej.

Pożegnała się z Margaret i przez chwilę patrzyła, jak powóz Stanhope'ów maleje w oddali. Postanowiła przejść się po ogrodzie. Po kilkudniowych deszczach pogoda wyraźnie się poprawiła i znów było ciepłe lato. Mimo to w cieniu drzew powiało chłodem. Catherine wzdrygnęła się mimo woli. Zatoniona w myślach, nawet nie zauważyła, że oddaliła się od

dworu. Jeszcze nie chciała wracać. Wciągnęła w płuca nieco zgniły zapach mokrej trawy. Mogłaby tak wędrować bez końca, mając nadzieję, że opuści ją melancholia.

Gdzie jest Marcus? - myślała. Przecież na pewno żyje. Gdyby mu się coś stało, już bym o tym wiedziała. Złe wieści szybko się rozchodzą. Margaret powiedziała, że na pewno nie dał się zabić. Musiała w to wierzyć. Nie wyobrażała sobie życia bez Marcusa.

A Harry? Co z nim się teraz dzieje? Nie był zahartowany w bojach. Młody, szalony chłopak o bardzo czułym sercu.

Zamyślona Catherine nie zwróciła uwagi na odległy tętent. Kiedy końskie kopyta zastukały bliżej, ujrzała, że ktoś właśnie wyjeżdża z zagajnika. Jeździec był tak pokryty krwią i kurzem, że go nie rozpoznała. Ledwo się trzymał w siodle. Gdy podjechał bliżej, spostrzegła jego jasne włosy. Harry! Koń parsknął znajomo i z ufnością potruchtał w jej stronę.

Catherine z krzykiem przerażenia rzuciła się w stronę jeźdźca. Harry też chyba ją zobaczył, bo zmęczonym ruchem ściągnął wodze i zsunął się z siodła. Był jednak tak wyczerpany, że ledwie dotknął stopami ziemi, upadł na kolana.

- Harry! Och, Harry! Jesteś ranny?

Catherine szybko przykłękała obok niego. Ze strachem spojrzała na jego zabłoconą twarz, ściągniętą w grymasie bólu. Łzy napłynęły jej do oczu na ten widok. Szybko otarła je rękawem sukni.

- Co ci się stało? Co oni ci zrobili?

Harry Stapleton zebrał wszystkie siły i wyżej uniósł głowę.

Zamglonym wzrokiem popatrzył na Catherine. Z jego oczu wycierało nieludzkie cierpienie.

- Znalazłem... twojego konia, Catherine. Pamiętasz? Obiecałem ci... że go sprowadzę. Twoją klacz... Spójrz tam... To ona. Błąkała się po pobojuwisku. Po... Sedgemoor.

Catherine dopiero teraz zerknęła na wierzchowca. Rozpoznała swoją ukochaną Melodię. Klacz była zmęczona i lekko ranna w przednią nogę, ale poza tym wyglądała na zdrową. Chyba zdążyła już zobaczyć znajomą okolicę, bo z cichym rżeniem pobiegła prosto w stronę stajni, z nadzieją, że tam znajdzie owies i świeże siano.

- Dostałem kulę w bok - powiedział cicho Harry. - Konia zabili mi już nieco wcześniej. Potem znalazłem twoją klacz... To ona mnie uratowała. Uciekłem... przed pościgiem.

Catherine właśnie zastanawiała się, co zrobić, gdy nagle do jej uszu dobiegło echo głosów. Ktoś nadchodził. Trzech mężczyzn. Słyszała ich wyraźnie, choć byli jeszcze za daleko, żeby rozróżnić poszczególne słowa. Poczwała, że ktoś ciągnie ją za rękaw.

- Catherine... - zaczął Harry, ale Catherine szybko położyła mu rękę na ustach i nakazała wzrokiem, żeby milczał. Nie podchodźcie bliżej, błagała w myślach. Jednak rozmowa rozbrzmiewała coraz głośniejsze. Idźcie stąd... Błagam... Niestety, jej milczące prośby nie były wysłuchane. Usłyszała kolejne zdanie:

- Tu mieszka lord Marcus Reresby. To nasz dobry żołnierz, z oddziałów lorda Churchilla. W pobliżu ani śladu buntowników.

Catherine wepchnęła Harry'ego za krzaki i położyła palec na ustach. Potem wstała, otrzepała spódnicę i spokojnym krokiem podeszła do trzech jeźdźców, którzy właśnie wyłonili się zza zakrętu. Nadjeżdżali od strony Taunton. Wyglądali na żołnierzy. Strach chwycił ją za gardło, ale odważnie stanęła pośrodku ścieżki i popatrzyła na nich spod oka. Oni też przypatrywali się jej z wyraźną ciekawością.

- Czym mogę wam służyć, panowie? Jestem lady Reresby z Saxton Court.

Jeden z nich wysunął się trochę naprzód i pochylił głowę w zdawkowym ukłonie.

- Kapitan Simmons z armii króla - przedstawił się. - Szukamy zbiegów, którzy uciekli z Sedgemoor.

- Aż tak daleko?

- To nie więcej niż szesnaście kilometrów, lady Reresby. Niektórzy z nich na pewno zmierzają do portów, żeby przedostać się przez Kanał. Nie zawitał tutaj nikt obcy? Nikt nie prosił o strawę albo schronienie?

- Nie, nikogo obcego nie widziałam. A co się dzieje z tymi, których schwytacie?

- Grozi im sroga kara, zwłaszcza tym, którzy mienili się oficerami lub też poparli proklamację Monmoutha. Tych możemy wieszać bez procesu. Były już takie przypadki.

- Rozumiem - sztywno odparła Catherine. - W takim razie nie zatrzymuję panów. Do widzenia.

Z ulgą patrzyła, jak odjeżdżają, ale czekała, póki na dobre nie zniknęli jej z oczu. Dopiero wtedy wróciła do Harry'ego. Przez

moment wydawało jej się, że coś mignęło między drzewami. Przystanęła z bijącym sercem i spojrzała w głąb lasu. Lekki wiatr z szumem poruszał gałęziami. Nie zauważyła czarnego konia, który dźwigał na grzbiecie jeszcze jednego jeźdźca. Tymczasem intruz ani przez chwilę nie spuszczał jej z oka.

- Już odjechali, Harry - szepnęła, kłękając obok rannego. - Na razie jesteś bezpieczny, lecz nie na długo. Muszę ci znaleźć kryjówkę i opatrzyć ranę.

- Nie, Catherine. To zbyt niebezpieczne. Zostaw mnie, dam sobie radę.

- A dokąd zajdziesz w takim stanie, ścigany przez żołnierzy króla? Nie mogę zabrać cię do domu. Tam jest za dużo służby. Lepiej będzie schować cię w stajni. Jest dużo bliżej. Możesz wstać? Poczekaj, zaraz ci pomogę. Chodźmy stąd, zanim znów ktoś nadjedzie.

Chwyciła go pod pachy i próbowała unieść. Harry wstał chwiejnie i z pomocą Catherine noga za nogą powlókł się do stajni. Zatrzymali się na dziedzińcu. Catherine powiodła wzrokiem dookoła. Usłyszała za sobą zgrzyt otwieranej zagrody i prędko odwróciła głowę. Ktoś tam się kręcił. Wyteżyła wzrok i zobaczyła, że to tylko Archie. Westchnęła z ulgą. Jemu mogła na pewno zaufać.

Archie był krótkowidzem, więc zmrużył oczy i wyciągnął szyję, żeby lepiej widzieć.

- Kto tam? - spytał. - To pani, lady Reresby?

- Tak, Archie. Pomóż mi, prędko. Ten dżentelmen jest ranny. Musimy zabrać go do środka.

Starzec zbliżył się szybkim krokiem i w milczeniu popa-

trzył na zakrwawionego młodzieńca. Nie zadawał zbędnych pytań. Wziął Harry'ego pod ramię i spojrzał na swoją panią.

- Dokąd idziemy, milady? Do dworu?

- Nie, to zbyt niebezpieczne. Nikt nie powinien wiedzieć o jego obecności. Nie chcę, żeby służba zaczęła plotkować. Ulokujmy go w stajni.

Archie bez protestu pomógł Catherine ukryć rannego buntownika. Wskazał zagrodę, którą kiedyś zajmował jeden z najlepszych wierzchowców lorda Reresby'ego. Catherine jednak spojrzała na niewielkie drzwiczki w końcu długiego budynku.

Uchyliła je i zerknęła do środka.

- Co tam jest?

- Nic. Siano i nieco śmieci. Starszy pan trzymał tam ściółkę, zanim nie zbudowano nowej szopy po drugiej stronie dziedzińca.

- Możemy z tego skorzystać. Przynajmniej jest tam sucho.

- Ale nie ma żadnego okna.

- Tym lepiej. Wsadźmy go tam i spróbujmy zamaskować drzwi.

Wspólnymi siłami wepchnęli Harry'ego do ciasnej komórki, tak małej, że nie zmieściłby się tam nawet kucyk. Wyczerpany młodzieniec bez sił osunął się na klepisko. Dyszał ciężko, powieki mu opadły. Catherine patrzyła na niego z troską. Na razie był względnie bezpieczny.

Archie przyniósł latarnię. Żółte światło rzucało długie cienie na ściany komórki i wydobywało z mroku stare pajęczyny. Catherine zdjęła z Harry'ego zabłocony płaszcz i podwinęła

zakrwawioną koszulę. Z cichym jękiem spojrzała na postrzępioną ranę od ołowianej kuli. Krew ciągle się sączyła z ciemnego otworu. Catherine szybko podarła halkę na długie pasy i z pomocą Archiego zabandażowała ranę.

- Na razie nic więcej nie możemy zrobić - powiedziała, z niepokojem patrząc na Harry'ego.

- Rana nie jest zbyt groźna - zawyrokował Archie. - Widywałem już gorsze. Kula przebiła mięśnie, ale nie dotarła do żadnego z ważniejszych wewnętrznych organów. Panicz więcej wycierpiał ze strachu i zmęczenia. Stracił też sporo krwi. Trzeba mu wyjąć kulę, a potem niech się prześpi. To mu najlepiej pomoże.

- Mam nadzieję, Archie. Sprowadzę Alice. Zna się na tym. Potrzeba jeszcze trochę żywności i ciepłych koców. Bóg jeden wie, kiedy on jadł ostatnio.

Archie zerknął na nią pośpiesznie.

- Nie moja sprawa, żeby pani mówić, co wolno, a czego nie wolno, milady - zaczął - ale to buntownik. Lepiej niech pani pomyśli, co się stanie, jeżeli go przypadkiem znajdą. Co będzie wtedy z Saxton Court? Co z nami wszystkimi? To niebezpieczne.

- Wiem, Archie. Ale co mam zrobić? Znam tego dżentelmena. Nazywa się Harry Stapleton. Od dzieciństwa był moim najlepszym przyjacielem. Nie mogę go zostawić, żeby umarł. Nie mogę go oddać władzom. Gdyby wpadł w ręce żołnierzy, udawaj, że nic nie wiesz. Biorę na siebie całą odpowiedzialność.

- A co na to lord Reresby? Już po zwycięskiej bitwie i na



pewno niedługo będzie w domu. On ma oczy jak jastrząb, wszystko zauważy. Nie ukryje pani przed nim rebelianta. A królewscy poruszą każdy kamień, żeby odszukać niedobitków. To na pewno potrwa jeszcze parę miesięcy. Wszędzie będą patrole, na lewo, na prawo... Znajdą go i cały dwór zostanie ukarani.

Catherine wzdrygnęła się mimo woli.

- Tak, wiem. Zdaję sobie sprawę, że w naszym majątku są ludzie, którzy wcale nie czują sympatii do buntowników. Chętnie wezmą nagrodę za głowę Harry'ego. - Z zadumą popatrzyła na nieruchomą postać i delikatnie dotknęła policzka młodzieńca, pokrytego jasnym, kilkudniowym zarostem.

- Słyszysz mnie, Harry? - zapytała.

Skinął głową i z trudem otworzył powieki.

- Muszę iść, ale niedługo wrócę. Obiecuję.

Przy pomocy Archiego zatarasowała drzwi starymi taczkami, na które narzucili jeszcze stos uprząży. Potem pobiegła do domu, żeby znaleźć Alice. Serce waliło jej jak oszałałe, a w głowie kołatała tylko jedna myśl: muszę ratować Harry'ego. Tak, to był przecież jej dawny, kochany Harry - chłopiec o jasnych oczach i radosnym uśmiechu. To z nim łączyły się jej najlepsze wspomnienia z czasów dzieciństwa. Nikomu nie dam go więcej skrzywdzić, pomyślała. Nikt go nie dostanie. Była tak zaprzątnięta własnymi myślami, że na chwilę zapomniała nawet o Marcusie.

Wbiegła do domu, do wielkiej sali, i zwolniła kroku, widząc, że ktoś właśnie schodzi z piętra po schodach. To był Marcus. Przed chwilą ściągnął rękawice i rozprostował zgrabiałe pal-

ce. Zaskoczona Catherine przypatrywała mu się ze zdumieniem. Przez kilka sekund nie wierzyła własnym oczom. Po-  
-em jej serce zabiło radośnie. Niewiele brakowało, aby rzuciła się na kolana i głośno podziękowała Bogu za ocalenie męża. Tymczasem Marcus stanął u podnóża schodów i patrzył na nią z lekkim uśmiechem. Zachowywał się tak, jakby nigdy nie wychodził z domu.

Catherine dała krok w jego stronę i w tej samej chwili przypomniała sobie bladą i wychudzoną twarz Harry'ego. Zamarła. Z przerażenia zupełnie nie wiedziała, co zrobić. Miała ochotę uciec i zaszyć się w ciemnym kącie.

- Marcusie! - zawołała wreszcie. - Co ty tutaj robisz?

Lord Resesby stanął w wąskiej smudze światła, padającego z wysokiego okna. Zmarszczył brwi. Nieprzyjemnie zdziwiony takim powitaniem, odparł nieco sarkastycznym tonem:

- Miło mi, że tak bardzo cieszysz się na mój widok.

- Och, przepraszam, zjawiłeś się tak nagle... Zupełnie bez ostrzeżenia.

- Wybacz, następnym razem będę ostrożniejszy - odparł kpiąco. Wyczuwał, że stało się coś niedobrego. Catherine zachowywała się zupełnie inaczej niż przed jego wyjazdem. Wydawała mu się nieczuła i odległa. Trochę zżymał się w duchu, ale postanowił trzymać nerwy na wodzy i spokojnie poczekać na dalsze wyjaśnienia.

- Była bitwa, Catherine. Krwawa i zacięta. W ten sposób witasz powracającego wojownika? Czekałem, że z okrzykiem padniesz mi w ramiona.

Catherine widziała, że zaciskał pięści, jakby nie chciał się

poddać gwałtownym emocjom. Słyszała nutę zawodu w jego głosie i westchnęła bezradnie. Rozpaczliwym wzrokiem przyglądała się jego pobrużdżonej twarzy. Widać było, że wiele przeszedł. Uśmiechnęła się trudem i pokręciła głową, szczerze ubolewając nad swoim zachowaniem.

- Masz prawo być na mnie zły, Marcusie. Musisz mi uwierzyć, że przez cały ten czas okropnie tęskniłam za tobą. Cieszę się, że wróciłeś. Naprawdę się cieszę. Nie było dnia ani godziny, żebym nie myślała o tobie. Witaj w domu.

- Szkoda, że nie możemy też powitać Dickona.

- Co się stało? Zginął?

Marcus przytaknął ruchem głowy.

- Na Sedgemoor. Nie brał udziału w bitwie, ale jego koń przestraszył się huku muszkietów. Dickon wyleciał z siodła i spadł tak nieszczęśliwie, że nabił się na ostrze własnej szpady. Nie mogliśmy mu pomóc.

Catherine zobaczyła przed sobą wesołą twarz Dickona, okoloną ciemnymi włosami. Widziała jego uśmiech i wiecznie roześmiane szare oczy. Zrobiło jej się bardzo smutno.

- Przykro mi, Marcusie. Na pewno będzie nam go bardzo brakowało. Wiem, że go lubiłeś.

- To był wspaniały młody człowiek. Dobrze mi służył.

- Zawiadomiłeś jego rodzinę?

- Jeszcze nie. Chcę zawieźć im jego rzeczy. Przynajmniej tyle mogę zrobić.

- Przekaż im ode mnie wyrazy współczucia. - Catherine dopiero teraz uświadomiła sobie, że musi wyglądać dziwnie w oczach męża. Włosy miała w nieładzie, ubrudzoną

suknię. Lekko drżącą ręką wygładziła fałdy spódnicy. Marcus podszedł do niej niemal beztroskim krokiem. Najwyraźniej w ogóle nie zdawał sobie sprawy, co dzieje się w jej sercu.

- Jestem w domu już od pewnego czasu. Szukałem cię. Gdzie byłaś?

- W... w ogrodzie. Na szczęście pogoda jest trochę lepsza. .. - wyjąkała bez tchu. - Nawet nie zauważyłam, że już tak późno.

Marcus zerknął na jej spódnicę. Catherine odruchowo poszła za jego spojrzeniem i zamarła ze zgrozy. Miała wrażenie, że ziemia rozstępuje się jej pod nogami. Na niebieskiej tkaniu widniała ciemna plama. To była krew Harry'ego.

Uniosła wzrok i napotkała pytające spojrzenie męża.

- Masz krew na spódnicy - sucho stwierdził Marcus. - Skalczyłaś się?

- Krew? Ja... ja... - Przez chwilę biła się z myślami, a potem powiedziała pierwsze, co przyszło jej do głowy: - Ach, nie uwierzysz, co się dzisiaj stało! To krew Melodii.

- Przecież twoja klacz została skradziona.

- Tak, ale wróciła. Dosłownie przed chwilą. Ma zranioną nogę. Archie się nią zajął.

Marcus przypatrywał jej się z niedowierzaniem.

- Bardzo ciekawe... A co z jeźdźcem?

- Przybiegła sama. Znalazła drogę do domu - ciągnęła Catherine z coraz większym wstydem. Była zdumiona, że tak łatwo potrafi kłamać. Owszem, kochała męża, ale w tym momencie nie wsłuchiwała się w swoje uczucia.

- Co się stało? - cicho zapytał Marcus. - Dlaczego w krótkim czasie tak bardzo się zmieniłaś?

Oczy Catherine były pełne łez.

- To nieprawda, Marcusie.

Wziął ją palcem pod brodę.

- Coś cię trapi - powiedział. - Opowiedz mi wszystko. Co to za tajemnica?

- Tajemnica?

- Catherine...

Jego spokojne zachowanie denerwowało ją do tego stopnia, że zaczęła się jąkać.

- Nie... nie mam... żadnych tajemnic.

Marcus opuścił rękę i dał krok do tyłu.

- Idź, zmień suknię. Jak krew zaschnie, będzie do wyrzucenia.

- Tak... tak. To moja ulubiona...

Z powrotem zbliżył się do niej i spojrzał jej prosto w oczy.

- Co się z tobą dzieje, Catherine? - spytał z naciskiem.

Miała ochotę rzucić mu się na szyję i z płaczem wyznać wszystko. Niewiele brakowało, a by to zrobiła. Potrzebowała jego siły, ciepła i opieki... Jednak nie mogła powiedzieć mu że to właśnie Harry leży ukryty w stajni.

- Źle się czujesz? - zapytał, widząc łzy w jej oczach, bladą cerę i drżące usta.

Catherine kurczowo chwyciła się nadarżającej szansy.

- Ostatnio zdarza się to bardzo często - przyznała. - Mam.. migrenę. - Kolejne kłamstwo. Nawet dziecko, jakby wiedzione

tajemniczym znakiem, niespokojnie poruszyło się w jej łonie.  
- Jestem zmęczona.

- Sprowadzę ci medyka. Chociaż podejrzewam, że to jedynie skutek ostatnich wydarzeń. Zostałaś tutaj sama, bez pomocy Fentona, nie mówiąc o mojej. Chyba wzięłaś na siebie nadmiar obowiązków. - Marcus zrobił zafrasowaną minę. - Ale koniec kłopotów. Na dobre wróciłem do domu. Będziesz mogła odpocząć.

- Co to znaczy, Marcusie?

Zauważył w jej oczach nagły błysk przerażenia. Nie potrafił tego zrozumieć.

- Moja służba nareszcie dobiegła końca. Zostanę tutaj, aby bronić Saxton Court przed maruderami. Mamy naprawdę wiele do zrobienia. Strata dla armii, korzyść dla ciebie, moja ukochana. - Roześmiał się. - Możemy spędzać z sobą więcej czasu. No, idź się przebierz.

Catherine wpadła do swojej sypialni.

- Pomóż mi, Alice!

- Co się stało, Catherine? Nie powinnaś się tak denerwować. To niedobrze dla ciebie ani dla twojego dziecka. Na litość boską, popatrz tylko na swoją suknię!

- Tak, wiem... To nieważne. - Catherine chwyciła piastunkę za rękę, posadziła na łóżku i opowiedziała jej dokładnie o wszystkim, co się stało po wyjeździe Margaret.

Alice przyglądała jej się z przerażeniem.

- Harry? Harry Stapleton jest tutaj?

- Tak, Alice. Uciekł z pola bitwy. Nie mogą go złapać. Och,

Alice, błagam cię, idź do niego! Umiesz opatrywać rany. Sama nie chcę wychodzić z domu, bo Marcus natychmiast zacznie coś podejrzewać.

- Musisz mu o wszystkim powiedzieć, Catherine. Nie wolno ci zataić przed mężem tak istotnej sprawy.

- Nie mogę.

- Nie ufasz mu?

- Ufam, ale na wyjaśnienia przyjdzie czas trochę później, kiedy Harry wydobrzeje. Gdy przycichnie zamieszanie wywołane ostatnią bitwą. - Na jej twarzy malowała się głęboka rozpacz. To nie była ta sama, wesoła Catherine, co dawniej.

- To groźna rana? - rzeczowo spytała Alice, pospiesznie pakując koszyk z lekarstwami.

- Ktoś go postrzelił z muszkietu. Stracił dużo krwi. Weź też trochę jedzenia.

- Dobrze. A ty przebierz się, popraw włosy i wracaj do męża - rozkazała Alice i wyszła, nie czekając na odpowiedź.

Marcus spojrział na wchodzącą po schodach żonę, a potem powolnym krokiem podszedł do kominka. Z namysłem popatrzył w ogień. Podświadomie wyczuwał, że jakieś niebezpieczeństwo zawisło nad Saxton Court. Co się tutaj stało?

Po pewnym czasie, wiedziony ciekawością, wyszedł z domu i spokojnie skierował się do stajni. Po drodze minęła go jakaś kobieta w czarnym szalu i z koszykiem w ręku. Bez trudu rozpoznał Alice. Odprowadził ją wzrokiem. Co

robiła w stajni? To tylko wzmogło jego podejrzenia, przyspieszył więc kroku.

W blasku zachodzącego słońca rozejrzał się po pustych zagrodach. Przypomniawszy sobie, jak tu było kiedyś. Ech, pomyślał. Chwaliłem się, że mam najlepsze konie w całym Somerset. Głośne pohukiwanie sowy wyrwało go z zadumy. Od dnia napadu setki razy zachodził w głowę, co się stało z jego zwierzętami. Wyrznięto je na Sedgemoor? Lepiej nie pytać.

Tylko w jednej zagrodzie coś się poruszało. To była klacz Catherine, Melodia. Właśnie wystawiła łeb nad barierą i parsknęła na przywitanie. Zatem to prawda, pomyślał Marcus. Catherine mnie nie okłamała. Stary Archie stał obok konia, trzymając w ręku wiadro wody. Delikatnie klepał zwierzę po szyi.

Marcus podszedł do niego. Archie uniósł głowę, ale nie okazał zdziwienia obecnością pana.

- Jak tam koń? - zapytał Marcus.

- Witamy w domu, lordzie Reresby. Rad jestem, że pana widzę w zdrowiu i dobrej kondycji. Trochę obawialiśmy się o pana po tym, co zaszło na Sedgemoor. - Popatrzył na Melodię.

- Nie wiem, co się z nią działo przez ostatnie tygodnie, ale jest w niezłym stanie. Ma tylko skaleczoną nogę. Na szczęście nie okulała. Jeszcze będzie z niej pociecha.

- Żona wspomniała mi, że klacz sama wróciła do dworu.

- Na to wygląda - zgodnie z prawdą odpowiedział Archie, który nie widział Harry'ego w siodle. - Szkoda, że nie przyprowadziła z sobą całej reszty.

- Tak, szkoda. Dziękuję, Archie.



Odszedł, żeby jeszcze raz rozejrzeć się po ciemnym wnętrzu. Wszystko pozornie było na swoim miejscu, a jednak działo się tu coś dziwnego. Miał przeczucie, że Catherine nie powiedziała mu całej prawdy. Głucha cisza nieprzyjemnie świdrowała w uszach. W kątach czaiły się tajemnicze cienie. Marcus obrócił się na pięcie i sprężystym, żołnierskim krokiem pomaszerował w stronę domu.

Catherine włożyła na siebie złocistą suknię i zarzuciła na ramiona szal z cienkiego jedwabiu. Spojrzała w ogień płonący w kominku i pomyślała o maleńkim dziecku, które nosi pod sercem. Zamierzała powiedzieć Marcusowi, że wkrótce zostanie ojcem. Ciekawe tylko, co on na to? - zapytała się w duchu. Ucieszy się? Mam nadzieję. Tak bardzo chciała znów zobaczyć jego radosny uśmiech...

Z błyskiem w oku spojrzała na męża, kiedy wszedł do jej pokoju. Natychmiast jednak spoważniała, gdy zobaczyła jego gniewną minę. Instynktownie wiedziała, że to nie najlepsza pora na rozmowy o dziecku.

- Co się stało, Marcusie?

- Co? - powtórzył cynicznym tonem.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? - zapytała Catherine zdławionym głosem.

- A może sama mi odpowiesz? - burknął. Niczym zwierzę zamknięte w klatce, niespokojnie krążył po pokoju. - Przed chwilą widziałem Alice. Wracała ze stajni. Czego tam szukała? Może chciała przywitać się z Melodią? Albo zaniósła coś

Archiemu. Nie, Catherine, mam niemiłe przeczucie, że chodzi o coś innego.

Zatrzymał się zaledwie pół metra przed nią i popatrzył na nią srogo.

- Mów prawdę - zażądał - i nie próbuj kłamać, bo tego na pewno nie zniosę.

Catherine westchnęła z ciężkim sercem. Zdawała sobie sprawę, że nie uda jej się utrzymać w tajemnicy obecności Harry'ego w Saxton Court. Zebrała się więc na odwagę i smutno pokiwała głową.

- Nie spodoba ci się to, co teraz powiem.

- Zobaczymy - odparł krótko.

- Melodia nie wróciła sama. Sprowadził ją... jeden z żołnierzy Monmoutha.

Marcus gwałtownie zmarszczył brwi.

- Możesz być bardziej szczegółowa w swoich wyjaśnieniach?

- Ów żołnierz... to Harry.

Przez długą chwilę Marcus stał jak skamieniały i wpatrywał się w żonę w osłupieniu. Wydawało się, że jej nie słyszał.

- Przepraszam cię, Marcusie - wyszeptała Catherine. - Chciałam ci powiedzieć... Chciałam... lecz nie mogłam.

Przygotowała się wewnątrz na ostrą reprimendę, ale Marcus wciąż milczał. Wreszcie odezwał się złowieszco spokojnym głosem:

- Harry Stapleton. Gdzie jest teraz, Catherine?

- Został... ranny. Ukryłam... ukryłam go w stajni. W starej komórce. Alice opatrzyła mu ranę.

- Archie wie o tym?

Pokiwała głową.

- Głupia! Igrasz z ogniem. Czy chociaż wiesz, czego się dopuściłaś? Po Sedgemoor nie ma już żadnej litości ani dla buntowników, ani dla tych, którzy im pomagają. Stapleton przybył tu razem z Monmouthem. Brał udział w spisku i jest na liście poszukiwanych. Wyznaczono nawet nagrodę za jego głowę.

- Błagam... Pozwól mu tutaj zostać chociaż na krótko. Potem wszystko przycichnie, a on wydobrzeje.

- Wykluczone. Nie chcę go w Saxton Court. Nie chcę go w moim domu, stajni czy gdziekolwiek. Do diabła, nie chcę, żeby rozmawiał z moją żoną! Po co tu przyszedł, jeśli nie do ciebie?

Catherine czuła narastającą złość, ale nie zamierzała się kłócić. Musiała zapomnieć o wrodzonej dumie i zachować spokój - choćby dla Harry'ego.

- Chciał mi zwrócić konia - odpowiedziała cicho.

- A w jaki sposób wcześniej wszedł w jego posiadanie? Banda Monmoutha prawie nie miała koni! - Zmarszczył brwi. - Pożyczyłaś mu swoją klacz?

Catherine popatrzyła na niego z bolesnym zdumieniem, że w ogóle mógł pomyśleć o czymś takim.

- Nie. To przecież był prezent od ciebie. Nigdy bym się z nią nie rozstała z własnej woli. Melodię skradziono wraz z innymi końmi. Podczas wizyty w Taunton prosiłam Harry'ego, by

w miarę możliwości spróbował jej poszukać. Zrobił to. Znalazł ją na pobojowisku. Jestem mu bardzo wdzięczna, że w tak trudnej chwili pomyślał jeszcze o tym.

- Jest głupcem, skoro przybył do naszego domu. W ten sposób naraził nas wszystkich na ogromne niebezpieczeństwo.

W oczach Catherine zalśniły łzy. Nie chciała, żeby mąż się na nią gniewał, ale musiała bronić swoich racji.

- Powtarzam ci, że był ranny, Marcusie. Nie mógł ujechać zbyt daleko. Nie masz w sercu ani krzty litości?

- Dla niego? Nie. Jestem dogłębnie przekonany, że jego uczucia względem ciebie nie zmieniły się ani na jotę. Ale sytuacja się zmieniła. Jesteś moją żoną już nie tylko z nazwy, o ile jeszcze to pamiętasz - dodał ze złośliwą drwiną. - Być może cię to bawi, że ukrywasz zdrajcę przed żołnierzami króla Jakuba. Musisz jednak pamiętać, że do wczoraj ja też byłem żołnierzem. Walczyłem za króla. Harry Stapleton jest zdrajcą i jeśli zostanie złapany, zawisnie jako zdrajca.

Catherine nie mogła znieść okropnej myśli, że Marcus - jej Marcus - mógłby wydać Harry'ego w ręce królewskich siepaczy. Błagalnym ruchem wzięła go za rękę.

- Przez długi czas bolałam nad utraconą przeszłością, ale to już minęło - powiedziała. — Moje uczucia uległy całkowitej odmianie. Ciągle kocham Harry'ego, lecz zupełnie inaczej - tłumaczyła cicho. - Przede wszystkim mam ciebie. O niego tylko się troszczę i nie chcę, żeby umarł.

Rozgniewany Marcus zdawał się nie zwracać najmniejszej uwagi na jej słowa. Ze wstrętem odtrącił dłoń Catherine.

- Skończ z tą afektacją. Teraz nie pora na to. Panuj nad

sobą, dopóki nie podejmę ostatecznej decyzji, co począć ze Stapletonem.

Catherine spojrzała na niego zamglonym wzrokiem.

- Co chcesz zrobić?

- A jak myślisz? Może opuszczę most zwodzony i zaproszę go do naszego domu? Niech poleży w miękkim łóżeczku, okryty puchową pierzyną. Ty zaś, moja najmilsza, ukochana żono, będziesz go doglądać!

Skurczyła się, jakby ją uderzył. Najwyraźniej w ogóle nie zdawał sobie sprawy, co teraz przeżywa, rozdarta pomiędzy jedynymi ludźmi, których kocha.

- Zrobię wszystko, co zechcesz, Marcusie. Proszę cię tylko o jedno: oszczędź Harry'ego. Daj spokój, przynajmniej do tego momentu, póki w pełni nie wydobrzeje. Wtedy odejdzie.

- Na razie może zostać tam, gdzie jest. Potem zobaczymy. A tobie, Catherine, nie wolno wychodzić z domu bez wyraźnego pozwolenia. Czy to jasne?

- Nie, Marcusie! - nie wytrzymała Catherine, zła na taką niesprawiedliwość. Stała przed nim. Na polu bitwy był na pewno straszny, ale w tej wojnie znalazł sobie równego przeciwnika. - Zawiodłeś moje zaufanie. Żałuję, że w ogóle ci o tym powiedziałam.

Marcus uśmiechnął się z gorzką ironią.

- Oho... Wróciła dawna Catherine. Ta, którą najlepiej znam - zauważył oschłym tonem. - Słucham. Wiem, co o mnie naprawdę myślisz. Skoczyłaś na głęboką wodę i tak łatwo stamtąd nie wypłyniesz. Ukrywasz zdracę i żądasz ode mnie,

abym zapomniał o przysiędze złożonej królowi. Mam sprzeniewierzyć się moim obowiązkom?

- Obowiązkom?! - krzyknęła wściekle. - W ogóle nie znasz tego słowa!

- Ależ znam. Wiem także, co to rozkosz... a twoje zachowanie przypomniało mi jeszcze coś innego.

Zanim Catherine zdołała coś odpowiedzieć, pochwycił ją w ramiona i z całą siłą przycisnął do szerokiej piersi. Zawładnął jej ustami. Przez chwilę stawiała opór, ale tylko przez chwilę. Pocałowała go namiętnie, z pasją.

Marcus odchylił głowę i roześmiał się cicho, ze skrywanym triumfem. Puścił ją.

- Szkoda, że nie ma czasu na dalsze karesy. Wzywa mnie smutny obowiązek. Nie, Catherine! - jego głos zabrzmiał jak chłasknięcie bicz. - Ty zostaniesz tutaj.

Odwrócił się i podszedł do drzwi.

- Marcusie!

Przystanął i obejrzał się przez ramię.

- Słucham?

- A niech cię diabli! - zawołała, podchodząc do niego.  
- Zachowujesz się tak, jakbym cię zdradziła. Nie pchałam się w tę intrygę! Nie prosiłam Harry'ego, żeby tu przyjechał! Ale teraz... teraz nie mogę go stąd wyrzucić. Czy to rozumiesz? Zaufał mi. Jestem mu coś winna. To dla mnie bardzo ważne.

- Jakim kosztem, Catherine?

Zauważyła, że patrzy na nią z głębokim rozczarowaniem.

- Proszę cię o pomoc. Nie zrobię tego sama. Gdy to się

skończy, będę na zawsze twoja, i sercem, i duszą. Zrobię wszystko, co zechcesz, ale mnie wysłuchaj.

W głębi ducha Marcus był pod wielkim wrażeniem jej uporu i stanowczości.

- Nie wiem, jak to możliwe. Co z naszym małżeństwem? To mnie składałaś przysięgę. Harry'ego Stapletona przy tym nie było.

Catherine uniosła głowę.

- Wyżej cenię swój honor i więzy przyjaźni od każdej przysięgi, umowy i kontraktu. Odebrałeś Harry'emu coś, co naprawdę kochał. W życiu każdego człowieka przychodzi taka chwila, kiedy musi zapłacić za popełnione błędy. Sam przyznałeś, że popełniłeś błąd. Jak zamierzasz mu to wynagrodzić?

Marcus zmrużył oczy.

- Nie stawiaj mi ultimatum, Catherine.

- To nie jest ultimatum. Jako twoja żona, zwracam się do ciebie, abys poświęcił nieco uwagi Harry'emu. Do tej pory przestrzegałam cię jako człowieka honoru.

- Nikt z nas nie jest idealny.

- Harry walczył o swoje przekonania. Nie potrafisz tego docenić? Pozwolisz, żeby kapitan Kirke powiesił go na najbliższym drzewie?

- Nie wiem.

- Więc na co czekasz?! - krzyknęła zrozpaczona Catherine.  
- Weź szpadę i go zabij! Niech już będzie po wszystkim! Po co tu jeszcze stoisz? To ci zajmie najwyżej chwilę!

Marcus popatrzył na nią ze zniecierpliwieniem, niczym ojciec, który ma do czynienia z niesfornym dzieckiem.

- Nie wygłupiaj się. - Zatrzymał wzrok na jej jedwabistej skórze widocznej w rozcięciu dekoltu. - I lepiej zakryj piersi.

Catherine odruchowo owinęła się jedwabnym szalem.

- Dziękuję. Co prawda, mnie to nie przeszkadza, ale na przyszłość, zwłaszcza przy gościach, postaraj się wkładać inną suknię. Takie widoki są zastrzeżone dla mnie. - Uśmiechnął się. - Nie dla innych mężczyzn.

- Masz na myśli Harry'ego.

- Nie! Mam na myśli wszystkich. Jeszcze jedno, kochana Catherine. Więcej mnie nie okłamuj. Zrozumiałaś?

Popatrzył na nią uważnie, a potem, bez słowa, wyszedł z pokoju. Catherine spoglądała za nim zupełnie bezradna. Po raz pierwszy od długiego czasu poczuła się autentycznie samotna.



## Rozdział dziewiąty

Marcus wyszedł na szeroki taras. Zamierzał iść do Stapletona, lecz najpierw chciał trochę ochłoniąć po burzliwej rozmowie z żoną. Przez kilka minut stał wpatrzony w ciemność i zastanawiał się, co zrobić. Wbrew rozsądkowi, musiał posłuchać Catherine i ratować buntownika, żeby ocalić własne małżeństwo. Co za ironia losu... Poczuł znajomy ból na myśl, że przez głupi upór mógłby utracić ją na zawsze. A może jednak miała rację? Może był winien coś Harry'emu? Płać, nędzny grzeszniku, powiedział sobie w duchu, i tak masz dość innych wyrzutów sumienia.

W pewnym momencie zerknął w bok i zobaczył na skraju tarasu jakąś ciemną postać w obszernej pelerynie, stojącą na szeroko rozstawionych nogach. Z okien dworu padało za mało światła, żeby mógł od razu rozpoznać intruza. Podeszedł więc do niego. Już po paru krokach zobaczył szczupłą twarz i rysy jak wykute z twardego granitu z Cornish.

Zatrzymał się. Dzieliło ich nie więcej niż dwa metry. Fenton uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały zimne.

- Jestem zdumiony, Fenton - jadowitym głosem powiedział Marcus. - Przyszedłeś złożyć mi wizytę? Aż dziw bierze, że jeszcze stąd nie uciekłeś po wszystkim, co się ostatnio stało. Dawno powinienes być w Lyme albo innym odległym porcie. Czemu zawdzięczam tę wątpliwą przyjemność?

- Jest mi pan winien pewną kwotę - rzeczowo odparł Fenton.

- Spłaciłem cię do końca.

- Niezupełnie. Myślałem raczej o pewnej prywatnej przysłudze.

- Widzę, że jesteś uzbrojony - zauważył Marcus, widząc błysk stali u pasa byłego rządcy. - To dla kurażu czy dla obrony? - zapytał z kpina w głosie.

-Zwyczajny środek ostrożności... po naszym ostatnim spotkaniu. - Fenton podszedł krok bliżej, pewien własnej przewagi. - Nie chciałbym pana zatrzymywać.

- Zatrzymywać? - ostrożnie powtórzył Marcus.

- Szedł pan właśnie do buntownika, którego ukrywa pańska żona. Do stajni, prawda? - Fenton uśmiechnął się zdawkowo. - Jechałem za nim aż z Bridgwater, traktem prowadzącym do Taunton. Domyślałem się, że zmierza do pańskiego dworu. Lady Resesby zajęła się nim bardzo czule.

Marcus nie dał się tak łatwo wyprowadzić z równowagi.

- Przypominam, że także jesteś zbiegiem - powiedział oschłym tonem. - Myślałem, że masz jednak trochę więcej oleju w głowie. Trzeba było zawczasu uciec. Teraz tu wszędzie kręci się milicja i patrole kapitana Kirke'a.

- W takim razie porozmawiajmy krótko o interesach.

Marcus uniósł brwi ze zdziwienia i pogardliwie wydał usta.

- O interesach? Z tobą? Nie, dziękuję.

Fenton wzruszył ramionami.

- Widzę, że ciągle ma pan wobec mnie jakieś uprzedzenia.

- To bez znaczenia. Zapewniam, że nie zmienię zdania.

- Ale to także bez znaczenia - odciął się Fenton.

- Dość - chłodno rzucił Marcus. - Czego żądasz?

- Trzydziestu tysięcy funtów. - Były rządca uśmiechnął się złośliwie. - Mam kosztowne upodobania.

Kwota była astronomiczna, ale Marcus nawet nie mrugnął okiem. Widział chciwość wypisaną na twarzy Fentona - tak wyraźną jak blask księżyca na lufie pistoletu.

- Wydaje mi się, że nie wyjdiesz z tego obronną ręką - rzekł.

- Powiedzmy, że to tylko mała rekompensata za utratę zarobków.

- Idź do diabła, Fenton. Powiedz sam, co mi przeszkodzi postawić cię przed sądem?

- Ten pistolet... i pańska żona. Po pierwsze, gdybym został aresztowany, podałbym nazwisko zbiega, który ukrywa się w stajni. Ukochanego lady Reresby. Nawiasem mówiąc, zapłacą aż pięćdziesiąt funtów za jego głowę. Podejrzewam, że pańska żona także poszłaby do więzienia. A skoro mowa o niej... Jak wiadomo, jest córką Henry'ego Barringtona. Podejrzewam, że król z uwagą wysłuchałby moich zeznań. Chciałby poznać prawdę o spisku w Rye House. Wątpię, żeby rodzina Barringtona zasłużyła na łaskę.

Marcus przyglądał mu się z zamyśleniem.

- Mam ci zapłacić za milczenie?
- Coś w tym rodzaju.
- W kwestii spisku, moja żona jest poza wszelkim podejrzeniem. Była za mała, kiedy to się stało, a jej ojciec już dawno nie żyje. Martw się raczej o siebie, Fenton. Wprawdzie nie brałeś udziału w walkach, ale nie jest tajemnicą, że odegrałeś ważną rolę w przygotowaniu buntu Jamesa Scotta. Na pewno jesteś na liście poszukiwanych.

Fenton uśmiechnął się ironicznie.

- Na jakiej liście? Przecież wiadomo, że urzędnicy są przekupni. Wszystkim zdarzają się „pomyłki”. Czasem można właśnie w ten sposób wyrównać dawne porachunki. Tutaj dodać jakieś nazwisko, inne zaś usunąć... z miłości lub dla pieniędzy.

- W twoim przypadku na pewno chodzi o pieniądze. A kogo chcesz przekupić, Fenton? Kapitana Kirke'a?

- Wszyscy wiedzą, do czego zdolny jest ten człowiek. Wiele słyszałem o jego krwawych wyczynach na marokańskim pograniczu. Tu zachowuje się tak samo jak w Tangerze: już skazał na śmierć blisko stu buntowników schwytanych w pobliżu Sedgemoor. Był pan ostatnio w Taunton? Widział pan wisielców opodal gospody „Pod Białym Jeleniem”? Zanim nasz zacny kapitan stąd wyjedzie, będzie najbardziej znieawidzonym królewskim oficerem w całym kraju.

Marcus musiał przyznać mu rację. Jeszcze za czasów Karola II miał do czynienia z Kirke'em w angielskiej kolonii w Tangerze. Jak na ironię, na sztandarze Kirke'a widniał baranek paschalny, a jego podkomendni - nie mniej brutalni i okrutni od dowódcy - znani byli pod mianem „Baranków Kirke'a”.

- Z upodobaniem sieje strach i terror. Chociaż jego też można kupić za odpowiednią cenę.

- Pewnie masz rację - przytaknął Marcus - ale nie z mojej kiesy.

- To nie będzie konieczne, jeżeli wyjadę. Niech pan będzie rozsądny, Reresby, i cieszy się tym, co posiada. Przecież ma pan Saxton Court i młodą piękną żonę... Po co to wszystko tracić za kilka tysięcy funtów? Wiem, że stać pana na zapłatę. Znam pańskie rachunki. Pana ojciec zgarnął sporą nagrodę za wierność monarchii. Najpierw wam płacił Karol I, a potem Karol II.

- Nie dostaniesz ode mnie ani pensa, Fenton. Nic nie dam człowiekowi, który był zamieszany w zabójstwo mego ojca. Zdradziłeś nasze zaufanie. Zabiję cię, jeżeli znajdę dowód, że choć w najmniejszym stopniu przyczyniłeś się do jego śmierci. Nie uciekniesz przede mną. Nie oczekuj litości. A teraz się stąd zabieraj. To nie są czcze pogrożki.

Fenton dał krok do tyłu i w drwiącym pozdrowieniu dotknął kapelusza lufą pistoletu.

- Odezwał się prawdziwy Reresby - powiedział z pogardą.

Marcus wbił w niego spojrzenie czarnych oczu. Nagle jego ręka błyskawicznie strzeliła w górę. Wydarł broń z dłoni przeciwnika i odrzucił ją na bok.

- Nie denerwuj mnie, Fenton, bo zaraz cię zabiję.

Były rządcą, który sam potrafił zabić bez mrugnienia okiem, aż skulił się ze strachu.

- Marcusie?

Lord Reresby odwrócił się błyskawicznie, słysząc głos żony.

Catherine właśnie wyszła na taras i szybkim krokiem szła w ich stronę. Była bardzo blada.

- Kto to był? Z kim rozmawiałeś?

Marcus zerknął przez ramię, ale Fenton zdążył już zniknąć. Zabrał z sobą pistolet.

- Marcusie... ja...

- Nie teraz - warknął. Nie czuł się bezpieczny, wiedząc, że w ciemnościach czai się morderca z bronią w ręku. - Wracajmy do domu.

Ujął ją pod ramię i pociągnął za sobą. Odetchnął dopiero wtedy, gdy znaleźli się w jadalni. Przez kilka chwil żadne z nich nie powiedziało ani słowa.

Catherine z niepokojem patrzyła na męża. Za nic w świecie nie chciała, żeby się na nią gniewał.

- Nie bądź zły na mnie - poprosiła cicho i delikatnie wzięła go za rękę.

Marcus czym prędzej odsunął się od niej.

- Nie próbuj takich sztuczek, Catherine. To nic nie da.

- Nienawidzisz mnie za to, co zrobiłam, prawda?

- „Nienawidzę” to za mocne słowo. Gniewam się - odparł.  
- To nie zabawa.

- Wiem - szepnęła rozedrganym głosem. Bezskutecznie usiłowała ukryć zdenerwowanie. Bolało ją zachowanie męża, tym bardziej że nie poczuwała się w pełni do winy. Jednocześnie zrodziła się w niej pewna odruchowa niechęć do Harry'ego, którego uważała za główną przyczynę ostatnich niesnasek z Marcusem. - Gdyby było inaczej, nie powiedziałabym ci całej prawdy. Z kim... z kim teraz rozmawiałeś?

- Nieważne - uciął podniesionym głosem. - Prosiłem cię, żebyś nie wychodziła z domu. Znowu mnie nie posłuchałaś.

- To był Fenton, prawda? - nie ustępowała, niepomna ostrzeżeń. Wystarczyło jej jedno krótkie spojrzenie na pociemniałą twarz Marcusa, aby wiedzieć, że jej domysły są w pełni prawdziwe. - Czego chciał? Dlaczego tak szybko zabrałeś mnie z tarasu?

- Miał pistolet. Bałem się, że strzeli.

- Widziałeś Harry'ego?

- Jeszcze nie miałem przyjemności.

- Przed chwilą rozmawiałam z Alice. W zasadzie nie ma się czego obawiać. Rana jest powierzchowna. Bardziej zmogło go wyczerpanie. Alice dała mu jakiś napar, ale i tak spałby jak suś do samego rana.

- Bardzo ci dziękuję za te wszystkie wieści, Catherine. Piekielnie mi ulżyło, kiedy wiem, że Harry Stapleton spokojnie i bezpiecznie śpi sobie w mojej stajni. Dlaczego mnie szukałaś?

Nalał sobie brandy i pociągnął długi łyk, spoglądając na żonę znad kieliszka.

Catherine przymknęła oczy i zebrała w sobie siły, żeby nie poddać się rozpacz. Drwiny Marcusa wywoływały zamierzony efekt.

- Po prostu... chciałam cię przeprosić za moje zachowanie. Dałam się ponieść nerwom. Bałam się, czy Harry za bardzo nie ucierpiał.

- Doskonale cię rozumiem, Catherine. Masz rację. To absolutnie nie twoja wina. Wcale nie musisz mnie prze-

praszać. Najzwyczajniej w świecie ponoszę konsekwencje swojego zachowania. Skrzywdziłem cię i Stapletona... Powiniennem to odpokutować.

- Odpokutować? - Catherine uśmiechnęła się nerwowo. - Dziwnie to zabrzmiało w twoich ustach. - Przez chwilę myślała, że Marcus naprawdę odzyskał dobry humor, ale kątem oka ujrzała jego gniewną minę i przekonała się, że to nieprawda.

- Właściwe słowo we właściwym czasie - mruknął.

Zapadła długa, nieprzyjemna cisza. Wreszcie Catherine zebrała się na odwagę i zadała jedno, najważniejsze dla niej pytanie:

- Pomożesz mi, Marcusie? To dla mnie bardzo ważne.

Z trzaskiem odstawił kieliszek na stół.

- Chyba muszę, prawda? Przecież mam wobec ciebie obowiązki. - Wykrzywił usta w gorzkim uśmiechu. - Pewnie z twojego punktu widzenia zakrawa to na komedię. Grzeszny mąż wreszcie zrozumiał swoją winę i wyciąga pomocną dłoń do kochanka żony...

Catherine zeszywniała. To było zbyt okrutne z jego strony.

- Chyba trochę przesadzasz, Marcusie. Harry nigdy nie był moim kochankiem.

- Nie, ale sytuacja i tak jest zabawna. Co powiesz, Catherine, jeżeli ci obiecuję, że uczynię wszystko, aby twój Stapleton przypadkiem nie wpadł w ręce zwycięskich przeciwników?

Spojrzała na męża z rosnącą nadzieją.

- Naprawdę?



Chyba pierwszy raz w życiu przed podjęciem decyzji Marcus nie pomyślał, co będzie z Saxton Court.

- Masz na to moje słowo. Pomogę mu uciec.

Catherine nie wierzyła własnym uszom. Przez chwilę przyglądała mu się z radosnym zachwytem, jednak potem przyszedł moment zastanowienia. Wprawdzie dzisiaj odniosła niewielkie zwycięstwo, ale co potem? Co to oznaczało dla ich wspólnej przyszłości? Z zachowania Marcusa mogła się domyślać, że będzie jej unikał jak zapowietrzonej, dopóki Harry na dobre nie wyjedzie z Anglii. Ach, ta przeklęta męska duma, pomyślała bezradnie.

- Wiem, że prosiłam cię o bardzo wiele.

- Masz rację, ale oboje tkwimy w tym po same uszy. Nic już nie można zmienić.

- Co to znaczy?

- Fenton widział cię ze Stapletonem. Zna kryjówkę zbiega. Przyszedł tutaj, żeby zażądać pieniędzy za milczenie.

- Pieniądzy?... Chciał, żebyś mu zapłacił?

- Trzydzieści tysięcy funtów.

- Trzydzieści tysięcy funtów? - jak echo powtórzyła zgnębiona Catherine. - Ależ to ogromna suma... Szantaż... Przecież Fenton jest nie mniej winny od Harry'ego!

- Sama mu to wytłumacz. Owszem, jest ścigany, więc chciałby jak najszybciej przekupić urzędników i uciec na kontynent. Wpadł na pomysł, że ja za to zapłacę. Jeśli nie otrzyma pieniędzy, od razu wskaże władzom kryjówkę Stapletona.

Catherine zbladła.

- Co teraz zrobisz?

- Stapleton naprawdę jest tutaj. Od tego nie uciekniemy. Nie może jednak zostać w stajni. Musimy go gdzieś przenieść.

- Gdzie?

- W tym już moja głowa.

- A Fenton? Zapłacisz mu?

- Nie. Nie dostanie ode mnie ani pensa.

- Co będzie... jeśli ktoś znajdzie Harry'ego? Możesz skorzystać ze swoich wpływów? Przecież znasz kapitana Kirke'a. Na pewno zdołasz go przekonać, żeby tym razem nieco przymknął oko...

- Pochlebia mi twoja wiara we mnie i moje możliwości - wpaść jej w słowo Marcus. - Rzeczywiście znam Kirke'a, i to od bardzo dawna. Trudno na niego patrzeć bez odrazy. Świetnie pasuje do Fentona. Gdyby nie stali po przeciwnych stronach, na pewno by się dogadali. Nie można liczyć na jego liłość. No dobrze... Jeśli pozwolisz, pójdę teraz rzucić okiem na naszego „gościa”.

Catherine przysunęła się nieco bliżej.

- Mogę... mogę pójść z tobą?

- Jak śmiesz mnie o to prosić? Nie, Catherine. Nie możesz. Nie zbliżaj się do niego. Czy to jasne? - dokończył ostrzejszym tonem.

Catherine cofnęła się szybko. Wiedziała, że domaga się stanowczo za wiele. Wyraz twarzy Marcusa dał jej do zrozumienia, że nie powinna się upierać. Owszem, chciała zobaczyć Harry'ego, ale nie zamierzała pokłócić się z mężem. Wręcz przeciwnie, była mu głęboko wdzięczna, że wziął na siebie ciężar całej sprawy.

- Tak, tak... i wybacz, że cię w to wciągnęłam. Jeszcze raz dziękuję...

Rozpaczliwie szukała jakiegoś sposobu, żeby przełamać mur, który wyrósł pomiędzy nimi. Wyciągnęła rękę w nadziei, że trochę ułagodzi Marcusa, ale on tylko zerknął na nią z wyraźną niechęcią. Potem odwrócił się i wyszedł. Catherine stała sama pośrodku pokoju, z dłonią przyciśniętą do piersi. Niczym spłoszona łania słuchała cichnącego odgłosu kroków.

Po ucieczce z tarasu Fenton pospieszył do czekającego konia. Szedł z niewzruszoną miną, ale gniew wprost go rozszadzał. Reresby zdołał go przejrzeć - Saxton Court rzeczywiście było znakomitą kryjówką dla zagorzałego republikanina. Kto by się spodziewał, że zarzewie buntu dojrzewa tuż pod bokiem wiernych stronników monarchii? Stary lord Reresby z zadowoleniem przyjął kompetentną pomoc w zarządzaniu majątkiem i dworem. Wkrótce nie mógł się obejść bez „zafanego” pana Fentona. A potem, niestety, przyjechał panicz Marcus, przejął schedę po ojcu i wszystko zniweczył.

Fenton wskoczył na siodło. W jego nieubłaganym wzroku czaiła się chęć mordu. Jeszcze trochę poczekam, pomyślał. Reresby będzie miał się z pyszna, jeżeli mi nie zapłaci. Zemsta będzie słodka... Nagle ściągnął wodze. W ciemnościach usłyszał cichy brzęk upręży i stukanie kopyt. Rozejrzał się ze strachem, lecz nie zdołał zawrócić. Z mroku wychynęły uzbrojone postacie. Jeszcze chwila i został szczelnie otoczony przez patrol żołnierzy.

Marcus wszedł do stajni i zdjął latarnię z kołka. Archie zostawił światło, jakby zamierzał wrócić. Marcus otworzył drzwi komórki, w której Catherine ukryła buntownika. Najpierw zobaczył przewróconą skrzynkę, a na niej talerz z nietkniętą kolacją i dzban wody. Na ścianach wisały zakurzone siodła, wędziska i uzdy. Wszędzie było pełno pajęczyn. Harry Stapleton spał skulony niczym małe dziecko, z wiązką siana pod głową. Pochrapował cicho. Marcus go nie obudził. Przez kilka minut stał, patrząc na rywala, a potem odwrócił się i odszedł. Postanowił, że wróci rano.

Harry siedział skulony na słomianej podściółce. Objął kolana ramionami i nisko spuścił głowę. Na skrzyp otwieranych drzwi poderwał się gwałtownie. W jego oczach mignęło przeżenie. Na widok Marcusa przycisnął opatrunek i chwiejnie dźwignął się na nogi. Miał mocno niepewną minę.

Marcus skrzyżował ramiona na piersi i oparł się o framugę. Beznamiętnym, ale badawczym spojrzeniem przyglądał się młodzieńcowi. Widział go wyraźnie w żółtawym świetle latarni. Musiał przyznać, że Harry jest bardzo przystojny. Mógł się podobać damom. Wysoki, barczysty, o miłej prezencji. Sylwetka zdradzała dobrego szermierza.

- Rozczarowałem pana? - odezwał się Marcus. - Bez wątpienia spodziewał się pan mojej żony. Niestety, zabroniłem jej dalszych wizyt w stajni. Chyba pan to rozumie?

- Oczywiście - natychmiast odpowiedział Harry pełnym uszanowania tonem, którym zawsze zwracał się do osób starszych wiekiem i ludzi pokroju lorda Resesby'ego. - Proszę

o wybaczenie. Nie chciałem, żeby Catherine z mojej winy znalazła się w takiej sytuacji...

- Cieszę się, że to słyszę.

- Zapewniam pana, że zamierzałem tylko zwrócić jej wierzchowca. W Taunton była bardzo przejęta tą kradzieżą. Daję panu słowo, że przy najbliższej okazji opuszczę Saxton Court i nikt nigdy się nie dowie o mojej obecności.

Marcus skinął głową. Wiedział, że chłopak mówi całkiem szczerze. Harry był zakłopotany tym, że za jego przyczyną lady Reresby może mieć nieprzyjemności.

- Jak pańska rana? Bardzo boli?

- Nawet nie. To tylko małe zadrapanie. Alice zajęła się mną tak jak dawniej. - Harry uśmiechnął się szeroko. - Tak jak kiedyś, gdy spadłem z drzewa.

Marcus poczuł nagłe ukłucie zazdrości. Co chwila ktoś mu przypominał o zażyłości, która już od dziecka łączyła Harry'ego Stapletona i Catherine.

- Przepraszam za warunki, w jakich pan przebywa - mruknął, żeby w ogóle coś powiedzieć. Z wolna oderwał się od drzwi i podszedł do młodzieńca.

- Żebraw nie ma wyboru - spokojnie stwierdził Harry. - Jestem i tak przeogromnie wdzięczny za to, co dostałem. Jeśli pan zechce, w każdej chwili mogę stąd ruszyć w dalszą drogę.

- A ja zostanę z rozgniewaną i nieszczęśliwą Catherine? O nie, mój panie. Najpierw pan wydobreje. Potem odeślę pana na kontynent i mam nadzieję, że tam znajdzie pan sobie żonę. Moja jest już zajęta.

Harry posmutniał nieco na te słowa. Wciąż dokuczała

mu świadomość, że stracił Catherine. Gorycz, którą czuł w sercu przez minione miesiące, nagle eksplodowała z niesłychaną siłą. Zaczerwienił się i mimo bólu dumnie wyprostował plecy.

- Przyznaję, że ma pan nade mną przewagę, wynikającą nie tylko z pozycji społecznej, ale również z pańskiego wieku i życiowego doświadczenia. Na pewno jest pan dobrym żołnierzem, obeznanym z każdym rodzajem broni. Mimo to, gdybym nie był ranny i osłabiony, natychmiast zażądałbym od pana pełnej satysfakcji za słowa, które padły przed chwilą.

Powstrzymał się od dalszych uwag, dotyczących komórki, w której go zamknęto. Nie wspomniał o braku okna i wszelkiego przewiewu ani o ostrej słomie.

- Potrafię walczyć - dodał z naciskiem. Marcus spojrział na niego ze zdumieniem. Młode lwiątko nareszcie pokazało pazur. .. - Bóg mi świadkiem, że mam swoje powody, aby darzyć pana niechęcią. Teraz jednak, zwłaszcza po Sedgemoor, pojedynkę z panem byłby poważnym błędem.

- Bardzo mądrze. Nie żywię do pana urazy. W imieniu żony serdecznie dziękuję za zwrot klaczy.

Harry dał krok w jego stronę. Marcus nie pierwszy raz był pod wrażeniem odwagi i eleganckich manier tego młodzieńca.

- Jestem zdany na pańską łaskę, lordzie Reresby. Odda mnie pan w ręce kapitana Kirke'a?

- Nie, ale nie robię tego przez sentyment dla pańskiej osoby. Po prostu obiecałem żonie, że panu pomogę.

- Pomoże mi pan? - zdziwił się Harry. - Pan o tym decyduje, nie Catherine.

Marcus przyglądał mu się w milczeniu. Wreszcie z zadumą pokiwał głową.

- Mimo wszystko robię to dla niej. Chociaż przyznaję, że mam też pewien dług wobec pana. Wyrządziłem panu wielką krzywdę. Przepraszam.

- Catherine jest pańską żoną, milordzie. Prawdopodobnie nigdy panu nie wybaczę, że mi ją pan odebrał, ale już zdażyłem się z tym pogodzić. Nie mówmy więcej o przeszłości. Kiedy ją zobaczyłem w Taunton, wiedziałem, że wszystko skończone. Ona też dała mi to do zrozumienia - dodał Harry zduszonym tonem, jakby słowa z trudem przechodziły mu przez gardło. Przez całe lata kochał Catherine i było mu ciężko na duszy. Nagle uśmiechnął się cynicznie. Nie pasowało to do niego. - Proszę przypadkiem się nie martwić. Od tego się nie umiera.

Marcus popatrzył na niego z podziwem. Harry Stapleton rzeczywiście pochodził z dobrego rodu i był urodzonym dżentelmenem. Nie poddawał się, chociaż życie ostatnio go nie rozpieszczało: utrata Catherine, sromotny upadek Monmoutha, klęska na Sedgemoor...

- Jeżeli dotrę do Holandii, z ochotą wynagrodzę panu wszelkie poniesione trudy - zaczął.

- To niepotrzebne - przerwał mu Marcus. - Nie robię tego dla zapłaty.

- Nie chciałem pana urazić, sir.

- Nie czuję się urażony - padła krótka odpowiedź.

- Jeżeli wolno spytać... Być może, wie pan, co się stało z księciem?

- Monmouth został ujęty i odesłany do Londynu. Nie wiedział pan o tym?

Harry stał z obojętną miną. Chwilę trwało, zanim słowa Marcusa w pełni do niego dotarły.

- Nie... - Westchnął, głęboko poruszony tym, co usłyszał.  
- Niech Bóg okaże mu swoją łaskę, bo król na pewno tego nie uczyni. Co za ironia losu... Przybyliśmy do Anglii pełni szczytnych nadziei, wierząc, że nawet opatrność jest po naszej stronie. Co z tego wyszło? Londyńczycy zostali w domach, a bunt w Szkocji upadł, nim się zaczął. - Harry potrząsnął głową. - Pod Sedgemoor walczyłem nie tylko za Monmoutha, ale też w obronie własnych ideałów. Bez względu na to, co się ze mną stanie, niczego nie żałuję. Póki tchu w piersiach, zawsze będę żądał protestanckiego króla na angielskim tronie.

Marcus słuchał tego w milczeniu. Nie spodziewał się, że aż tyle siły drzemie w tym przystojnym młodzieńcu. Harry Stapleton wiedział, o co walczy, i nie bał się do tego przyznać. Taka postawa mogła jedynie budzić podziw wśród wszystkich uczciwych Anglików.

W gruncie rzeczy poglądy lorda Resesby'ego niewiele różniły się od poglądów pana Stapletona. Marcus też wolałby widzieć protestanta na angielskim tronie. Uważał jednak, że czasy nie sprzyjają otwartemu buntowi. Monmouth w to nie wierzył i źle na tym wyszedł. Zresztą on miał najmniejsze prawo do sukcesji po zmarłym królu Karolu II. Księżę orański byłby dużo lepszy.

Marcus, trapiiony różnymi uczuciami, odwrócił się w stronę drzwi.



- Zostawiam pana - powiedział na odchodnym. - Niech pan odpocznie. To miejsce nie jest zbyt bezpieczne. O zmroku zaprowadzę pana do innej kryjówki.
- Dziękuję. W pełni doceniam to, co pan dla mnie robi. Marcus zatrzymał się na moment i spojrzał przez ramię.
- Powiedzmy, że to dla spokoju mojego sumienia.

Piętnastego lipca, a więc zaledwie dziewięć dni po bitwie na mokradłach Sedgemoor, zwolennicy Monmoutha stracili ostatnią nadzieję na lepsze czasy. Księżę został stracony w Tower. Egzekucja była okropna. Po pięciu uderzeniach toporem, James Scott ciągle zdradzał oznaki życia. Wreszcie kat, Jack Ketch, musiał użyć noża, aby dokończyć dzieła.

Harry znalazł się w płytkiej, lecz przestronnej jaskini wśród skał, górujących nad „zatopionym ogrodem” w Saxton Court. Grota była od zewnątrz osłonięta wielkimi głazami, gęstym poszyciem i ciężkimi konarami, leżącymi na ziemi. W środku było sucho, przewiewnie i miło. W powietrzu unosił się wonny zapach kwiatów.

Marcus powiedział Harry'emu, że jaskinia już nieraz służyła za kryjówkę rojalistom poszukiwanym przez żołnierzy Cromwella.

Catherine rzadko widywała męża, a ich krótkie spotkania - mimo jej wysiłków - nie należały do najserdeczniejszych. Przy posiłkach wciąż panowała napięta atmosfera. Marcus uparcie odmawiał wszelkich odpowiedzi na pytanie, gdzie ukrył Harry'ego. Prawdę mówiąc, robił to z czystej ostrożności. Nie chciał, żeby ktokolwiek oprócz niego znał miejsce pobytu zbiega.

Od czasu do czasu opowiadał żonie o stanie zdrowia Stapletona. Harry dość szybko odzyskiwał siły i wciąż powtarzał, że chce odejść. Przez cały czas wyraźnie zdawał sobie sprawę, że dłuższy pobyt w Saxton Court może zakończyć się nieszczęściem. W całym Somerset działały już podziemne grupy, które bardzo chętnie za pieniądze lub z pobudek ideowych przerzucały buntowników na kontynent. Droga wiodła zwykle przez przyjazne Exmoor aż do portów Ilfracombe, Lynmouth lub w południowym Devonie, Dorset i Hampshire. Stamtąd kursowały szybkie łodzie do Holandii.

Niestety, dla Marcusa ta droga była niedostępna. Wszyscy wiedzieli, że na Sedgemoor walczył po przeciwnej stronie.

Żołnierze króla nieustannie patrolowali okolicę. Mimo to wielu buntowników ciągle pozostawało w ukryciu. Chowali się po lasach, na mokradłach i na wrzosowiskach.

Fenton gdzieś przepadł. Marcus nie widział go od tamtej pamiętnej rozmowy na tarasie. Na szczęście dni mijały bez złych przygód. Dopiero na początku sierpnia przed dwór Saxton Court zajechał silny oddział uzbrojonych po zęby żołnierzy.

Catherine wyszła przed dom i stanęła u boku męża. Oboje ze zdumieniem patrzyli na Georgea Stanhope'a, jadącego tuż obok dowódcy szwadronu. Marcus zmęłł w ustach przekleństwo.

- Kirke? - mruknął na widok komendanta. - A ten czego tu, u diabła, szuka?

Catherine zbladła jak ściana, słysząc to nazwisko. Spełniły się jej najgorsze obawy. Nad całym Saxton Court zawisły ciężkie gradowe chmury.

Kirke spode łba patrzył na gospodarzy. Catherine ukradkiem zerknęła na Marcusa i zobaczyła, że szykuje się do ciężkiej konfrontacji. Wciąż mamrotał pod nosem najgorsze przekleństwa. Potem jednak swobodnie zszedł po szerokich schodach i stanął na dziedzińcu, aby przyjąć przyjezdnych.

- Ach, Reresby... - jowialnie powitał go Kirke. Zręcznym ruchem zeskoczył z siodła i sprężystym krokiem wyszedł przed swoich ludzi. Biła od niego oficerska buta i niezachwiana pewność siebie. - To miło, że się znów widzimy. Słyszałem, że odszedłeś z wojska i osiadłeś na starych śmieciach.

- Kapitan Kirke - odparł Marcus tonem łagodnego zdziwienia. Pytająco spojrział na Georgea, ale ten - zazwyczaj tak pogodny - siedział w siodle z grobową miną.

Marcus przeniósł wzrok z powrotem na Kirke'a. Dobrze wiedział, że jego przyjazd oznacza poważne kłopoty. Wrócił pamięcią do Tangeru. Tam jednak w jakiś sposób dawałem sobie radę, pomyślał.

- Nie sądziłem, że cię tu zobaczę - powiedział. - Co cię sprowadza?

- Niestety, nie jest to zwykła towarzyska wizyta. Sprowadzają mnie obowiązki. Twój rządca siedzi w więzieniu w Taunton.

Słowa Kirke'a spadły na Marcusa jak grom z jasnego nieba, ale zachował zimną krew i nawet się uśmiechnął.

- Mówisz o Fentonie? Od dawna nie jest moim rządcą. Zwolniłem go już kilka tygodni temu.

- Tak, słyszałem o tym. Mimo to złożył pewne zeznanie, które muszę sprawdzić.

- Zeznanie?

- Owszem. Twierdzi, że ukrywasz u siebie buntowników. Co najmniej jednego.

- A to ciekawe - przyznał Marcus. - Nic o tym nie wiedziałem. Jesteś zupełnie pewny, że to prawda? Są tacy, którzy wszędzie widzą zbiegów. - Z niedowierzaniem potrząsnął głową. - Fenton to marne źródło informacji. Podejrzewam, że chce się na mnie zemścić. Skan Anula, przerobiła pono.

Kirke uniósł brwi ze zdziwienia.

- Zemścić? Za cóż to, jeśli wolno spytać?

- Chciał ode mnie pieniędzy. W ten sposób miałem mu pomóc w ucieczce. Odmówiłem i teraz, jak widać, mam za swoje. Piękna historia. Naprawdę wierzysz w to, kapitanie? Po tylu latach, które spędziłem w służbie ojczyzny i króla? Przecież walczyłem na Sedgemoor. Wspomnij na nasze dawniejsze bitwy.

- To wszystko pamiętam, ale czasem aż dziw bierze, ile człowiek może zrobić dla własnej żony, byle ją zadowolić. - Badawcze spojrzenie Kirke'a spoczęło na Catherine. Jeśli sądził, że zdradzi się jakimś słowem lub gestem, to musiał być zawiedziony. Z lekkim uśmiechem pochylił głowę. - Lady Reresby, o ile się nie mylę?

Catherine początkowo z rosnącym przerażeniem słuchała tej rozmowy. Teraz jednak, gdy Kirke zwrócił się wprost do niej, strach gdzieś się ulotnił i pozostała jedynie duma.

- Tak, jestem lady Catherine Reresby - odpowiedziała wyważonym tonem. - Mąż wcale nie musi w niczym mi nadskakiwać. To nie cielę, które można prowadzić na sznurku. - Ze

zdawkowym uśmiechem przysunęła się bliżej do Marcusa. - Pan zresztą wie o tym, bo przecież się znacie.

Kapitan Kirke przez dłuższą chwilę szukał właściwej odpowiedzi.

- Tak, to stanowczy człowiek - przyznał niechętnie, nie spuszczać wzroku z Catherine. - Buntownik, którego szukam, to Harry Stapleton. Przybył tutaj z Holandii wraz z oddziałami Monmoutha. Mój informator twierdzi, że po ostatniej bitwie rzeczony Stapleton ukrył się w Saxton Court. Znalazł tu dobre przyjęcie u byłej kochanki.

Catherine aż pobladła z gniewu i oburzenia. Zanim jednak zdołała powiedzieć choć słowo, Marcus postąpił naprzód i stanął przed kapitanem.

- Dość tego - rzucił przez zaciśnięte zęby. - Mogę ścierpieć, że wierzysz w kłamstwa jakiegoś zdrajcy, lecz za nic nie pozwolę ci obrażać mojej żony!

Kapitan Kirke wzruszył ramionami. Czuł pogardę do wszystkich mieszkańców Somerset.

- Nikogo tutaj nie obrażam - odparł. - Powtarzam tylko to, co usłyszałem.

- Zawsze wierzysz we wszystko, co ktoś ci opowie? - spytał Marcus. - Moje serdeczne gratulacje - zauważył z przekąsem. - Jednak tu, w naszym domu, zachowuj się inaczej. Jeszcze jedno takie niestosowne słowo i wystąpię ze skargą do twojego dowódcy!

- Nie ma takiej potrzeby. - Kirke spojrzał na Catherine. - Jeżeli panią czymś uraziłem, to przepraszam, lady Reresby.

- Proszę.

- Mówiono mi, że Stapleton był pani narzeczoną. Jesteście dość zżyci.

Catherine zbladła, kiedy zrozumiała, ile ukrytej groźby kryje się w tych słowach.

- Nie, sir - odpowiedziała, siląc się na spokój. - Owszem, znaliśmy się, ale nigdy nie doszło do zaręczyn.

Popatrzyła na męża. Na szyi Marcusa widniały grube żyły. Widziała, że z trudem tłumił wściekłość.

- Stapletona tu nie ma - oznajmił krótko. Bez względu na niechęć, jaką już od dawna żywił do Kirke'a, nie chciał z nim teraz zwady.

- Sprawdźmy - ochoczo zawołał jeden z jeźdźców, stojących za kapitanem. Szybko zeskoczył z siodła, ale Kirke powstrzymał go ruchem dłoni.

- Kto śmiałby wątpić w słowo lorda Reresby'ego? - spytał.  
- Chociaż... Przecież nic się nie stanie, jak się rozejrzemy.

- Proszę bardzo - wycedził Marcus. - Pozwól, że zapytam, po co ci tyle wojska na jednego zbiega?

- Masz dużą posiadłość. Potrzeba wielu ludzi.

- To tylko strata czasu. Nie znajdziesz Stapletona ani nikogo innego, jeśli już o to chodzi.

- Niestety, to moja praca. Ukrywanie zbiegów poczytywane jest za zdradę stanu. Tutejsi mieszkańcy muszą wreszcie wiedzieć, co im naprawdę grozi za takie postępowanie.

Odwrócił się do szwadronu i donośnym głosem wydał kilka rozkazów.

Catherine westchnęła ze skrywaną ulgą, widząc, że Kirke w asyście paru zbrojnych udał się do stajni. Najwyraźniej Fen-

ton powiedział mu, gdzie ma szukać. Przymknęła powieki. Przez chwilę wydawało jej się, że zaraz zemdleje. Nogi miała jak z waty.

- Nie lubię tego Kirke'a - powiedziała półgłosem.

- Nie ty jedna - mruknął George, który właśnie zsiadł z konia i podszedł do Marcusa.

Ten tymczasem z podziwem spoglądał na żonę. Wiedział, jak bardzo się bała i z jaką stanowczością przemogła się, by spokojnie pomówić z kapitanem. Wzruszony jej zachowaniem, nagle wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie. Dopiero potem zerknął na Georgea Stanhope'a,

- To dziwne, że widzę cię u boku Kirke'a - zauważył.

- Normalnie by mnie tu nie było - odparł George. - Nie znoszę tego człowieka. To zwykły awanturnik. Nie szanuje ludzkiego honoru ani nawet życia.

Marcus uśmiechnął się kwaśno.

- Zapominasz, że znam go trochę lepiej od ciebie, George - syknął przez zaciśnięte zęby. Jeszcze nie ochłonał po niedawnej rozmowie.

- W takim razie dobrze wiesz, o czym mówię - odpowiedział Stanhope. - Przypadkowo słyszałem, że jedzie do ciebie, więc skoczyłem na konia i dogoniłem patrol. Muszę was przed czymś ostrzec.

- Wziął z sobą tylu żołnierzy, że mogliby przeszukać całe Somerset - szepnęła Catherine. - Ciekawe dlaczego? Na pewno coś się święci.

Marcus zmarszczył brwi.

- Wyglądasz na zmartwionego, George. Co się dzieje?

- Nie wiem, czy ukrywacie u siebie Stapletona. Nic mnie to nie obchodzi. W tej chwili boję się o Catherine. To też ma związek z Fentonem. Od samego początku był podejrzewany, że brał udział w zamachu na życie króla Karola. W osiemdziesiątym trzecim udało mu się uciec przed sprawiedliwością. Teraz miał mniej szczęścia. Kirke za wszelką cenę próbuje go zmusić, żeby podał nazwiska czterech głównych spiskowców z Rye House. Z tego, co nam wiadomo, ci sami ludzie przygotowali plan inwazji Monmoutha. Sami republikanie. Uciekli z Sedgemoor. Kirke obiecał nawet Fentonowi wolność w zamian za zeznania.

- I co dalej? - nie wytrzymała Catherine.

- Na razie nic. - George z uwagą spojrzał na jej poszarzałą twarz. - Sęk w tym, że z uwagi na twojego ojca ty także możesz mieć kłopoty, Catherine. Niestety, nie mam dostępu do wszystkich informacji, ale sprawa naprawdę wygląda poważnie.

- Jak poważnie? - natychmiast zapytał Marcus.

- Moim zdaniem, powinniście jak najszybciej wyjechać z Saxton Court. Dopóki Kirke jest w Somerset, zostańcie w Londynie. Lada dzień Catherine zostanie wezwana na zeznania do Taunton.

Catherine się zachwiała. Przez chwilę miała wrażenie, że zaraz upadnie. Z rozpaczą w oczach spojrzała na męża, jakby tylko u niego szukała pocieszenia. Mocno ścisnęła go za rękę.

- Nie - wyszeptała z trudem. - To niemożliwe! Na pewno by się nie odważył...



- Nie doceniasz go, Catherine - ostro wtrącił George. - Nie znasz Kirke'a, i lepiej, żebyś go nie poznała.

- Ale co Fenton mu powiedział? Przecież nic nie robiłam...

- Wystarczy, że jesteś córką Henry'ego Barringtona, zagorzałego republikanina, który dla pewnych ludzi jest symbolem ustawicznej walki z monarchią. Poza tym dobrze znałaś Harry'ego Stapletona. Mam mówić dalej?

- Fenton zeznawał na torturach? - zapytał Marcus.

- Nie, dobrowolnie.

- Więc szuka zemsty. To tylko potwierdza moje wcześniejsze podejrzenia. Co jednak Kirke chce osiągnąć przez aresztowanie mojej żony?

- Co? Przede wszystkim będzie miał wielką satysfakcję. Catherine jest córką Barringtona. Znała jednego z buntowników, który odgrywał niemałą rolę w wyprawie Monmoutha. Czeka ją pokazowy proces. Ludzie muszą wiedzieć, że żadne stanowisko ani przywileje nie chronią przed gniewem króla.

Marcus popatrzył na niego uważnie.

- Fenton i Kirke? Wielce dobrana para - mruknął. - Wiadomo, co się stanie.

- Karą dla kobiety winnej zdrady stanu jest śmierć na stosie - szeptem odezwała się Catherine.

Marcus przycisnął ją mocniej do siebie.

- Nic się nie bój. Nie dam cię skrzywdzić. - Zobaczył, że część żołnierzy wraca od strony stajni. Serdecznie uścisnął dłoń Stanhope'a. - Dziękuję, George. Wiem, że się narażałeś,

żeby mi o tym powiedzieć - dodał ściszym głosem. - Pójdę za twoją radą.

- Tylko szybko - rzucił na odchodnym George i pospieszył dołączyć do kapitana Kirke'a.

Catherine nieśmiało spojrzała na męża. Stał dumnie wyprostowany i patrzył gdzieś w przestrzeń. Zdawał się nie zwracać na nią żadnej uwagi. Odsunęła się nieco.

- Boję się - powiedziała. - Ostatnio jest tu strasznie. Nigdzie nie można wyjść, żeby się przypadkiem nie natknąć na żołnierzy. Z tego, co ostatnio słyszałam od służby, Taunton przypomina wielkie cmentarzysko. Wśród więźniów szaleje ospa. Boję się o siebie... i trochę o Harry'ego. Co z nim teraz zrobimy? Zdoła kiedyś uciec?

W jej cichym głosie było tyle rozpacz, że Marcus mimo woli poddał się uczuciom. Zapomniał o gniewie, wyciągnął ramiona i przytulił ją mocno do siebie, niczym małe dziecko. Pogłaskał ją po głowie.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział pocieszającym tonem. - Na pewno coś wymyślimy. George ma rację. Musimy wyjechać z Saxton Court.

Żołnierze Kirke'a wrócili z pustymi rękami. Nie znaleźli niczego godnego uwagi. Marcus spokojnie zaczekał, aż Kirke dosiądzie konia i spytał:

- Co się stanie z Fentonem?

- Zarzuty są poważne. To jeden z potajemnych przywódców rebelii. Zajmował się werbowaniem ludzi do armii Monmoutha. Nie posiedzi zbyt długo. Proces jest niepotrzebny. Wkrótce będzie wisiał.

Kirke zatoczył koniem, ale w pewnej chwili znów spojrzął na Marcusa i uniósł prawicę w żołnierskim pozdrowieniu. Było w tym coś z drwiny.

- Jeszcze jedno, lordzie Reresby - powiedział z błyskiem w oku. - O ile mi wiadomo, do Somerset zmierza cała wataha prawników, sędziów i prokuratorów. Przewodzi im nie kto inny jak sam lord George Jeffreys. Król dał mu szczególne kompetencje w sprawach buntowników. Pierwsza rozprawa odbędzie się w Dorchester.

Patrol dawno odjechał, ale Marcus ciągle stał nieruchomo z nachmurzoną twarzą. Myślał o słowach Kirke'a.

- Znasz lorda Jeffreysa? - nieśmiało spytała Catherine. - Co to za człowiek?

- Bezgranicznie wierny jego królewskiej mości. Zażarty przeciwnik wszystkich, którzy występują przeciwko monarchii. Nie ma litości dla dysydentów. Dla jeńców to żadna pociecha. Ponad tysiąc ich czeka na jakikolwiek proces. Sędziowie będą mieli pełne ręce roboty.

- Dzięki Bogu, że dotąd nie znaleźli Harry'ego - szepnęła Catherine. - Jestem pewna, że Kirke kazałby go powiesić jeszcze przed rozprawą.

Marcus popatrzył w jej pełne łez oczy. Wciąż dygotała. Jej ręce były zimne jak sople lodu.

- Wszystko będzie dobrze - powtórzył. - Na razie Stapleton jest zupełnie bezpieczny. Nie wiadomo tylko na jak długo. Musimy być ostrożni.

Odwrócił się od żony i patrzył uważnie za odjeżdżającymi żołnierzami. W zamyśleniu rozmasował sobie kark. Za-

stanawiał się, co powinien począć w obliczu tych wszystkich nowin.

Catherine delikatnie dotknęła jego ramienia.

- Przepraszam cię za wszystkie kłopoty, Marcusie. Gdybym tylko umiała w czarodziejski sposób usunąć stąd Harry'ego, natychmiast bym to zrobiła.

Po raz pierwszy spojrział bezpośrednio na nią. W jego oczach mignął ledwie wyczuwalny cień niedowierzania.

- Naprawdę, Catherine? Naprawdę byś to zrobiła?

- Tak. Naprawdę. Jeszcze nie tak dawno nie umiałam sobie w ogóle wyobrazić, że mogłabym wybrać kogoś innego niż Harry. Wszystko się zmieniło. Ja też się zmieniłam. Kiedy wreszcie zrozumiesz, że już go nie kocham? Nie poczułeś tego tamtej pięknej nocy, kiedy byliśmy razem, wyłącznie dla siebie?

- Po co to teraz wspominać, Catherine?

- Nie chcesz? Dlaczego? Wstydzisz się czegoś? Bądź ze mną zupełnie szczery. Byliśmy szczęśliwi. Tęsknię za tamtą nocą i wiem, że ty też tęsknisz.

Bezskutecznie próbował się odsunąć. Catherine nie żądała od niego nic więcej poza tym, żeby był przy niej bardzo blisko.

- Posłuchaj mnie - powiedziała błagalnym tonem, chwytając go za rękę. - Było mi ciężko, lecz otrząsnęłam się z przeszłości. Kiedy w tej chwili patrzę za siebie, widzę zupełnie inną Catherine. Dopiero tutaj, w Saxton Court, odkryłam, jak smakuje życie. A potem wszystko znowu się zmieniło. Wisi nade mną realna groźba. Owszem, chcę uratować Harry'ego, lecz przede wszystkim chcę być z tobą.

Marcus złapał ją za ramiona i spojrzał jej prosto w oczy.

- Żaden mężczyzna na twój widok nie pozostanie obojętny!  
- zawołał tonem pełnym tłumionych uczuć. - Można cię kochać lub nienawidzić... Kochać lub pragnąć twojej śmierci...

- A co ty czujesz do mnie, Marcusie? - zapytała. - Powiedz...

Przerwał im nagły turkot kół. Przed dwór zajechał powóz. Catherine nie doczekała się odpowiedzi. Marcus gwałtownie uniósł głowę i szybko odsunął się od żony.



## Rozdział dziesiąty

Marcus nie był w nastroju, aby przyjmować gości. Odwrócił się, żeby wejść do domu, ale po kilku krokach stanął, widząc, że z powozu wysiadł nie kto inny tylko Roger Danby.

- Roger! Myślałem, że wciąż jesteś w Londynie. Elizabeth też przyjechała?

- Nie. Czeka, aż sytuacja się uspokoi.

- Bardzo dobrze. Trudno tu wytrzymać. Mam nadzieję, że zdrowa?

- Tak, dziękuję. Dzieciaki również. Cieszę się, że wyszedłeś cało z Sedgemoor. W Londynie huczało od przeróżnych plotek. Okropne. Po prostu okropne.

Marcus pokiwał głową.

- Niestety, Dickon zginął

- Przykro mi - z niekłamany współczuciem powiedział Roger. - To był wspaiały młody człowiek. Dobrze ci służył.

Mimo zmartwienia i groźby, jaka zawisła nad jej głową, Catherine postanowiła nadal grać wobec Rogera rolę beztroskiej gospodyni. Przesłała mu promienny uśmiech.

- Cieszę się, że cię widzę. Zostaniesz na kolacji?

Roger skłonił się niczym dworzanin i wziął ją za rękę.

- Z przyjemnością - odparł. Przez chwilę patrzyli na siebie nawzajem. - Też się cieszę, Catherine... chociaż muszę przyznać, że wyglądasz trochę mizernie. Dlaczego nie przyjedziesz do nas do Londynu? W mieście uwolnisz się od troski. Tam nie dotarło pokłosie wojny.

- Nic mi nie jest, Rogerze - zapewniła go solennym tonem. Nie wspomniała mu o niedawnej rozmowie z George'em. Zostawiła to Marcusowi. On już najlepiej wiedział, co począć z tym fantem.

- Skoro tak mówisz... - Roger westchnął. - Wpadłem na krótko, żeby tylko sprawdzić, czy ktoś nie włamał się do naszego domu. No i oczywiście chciałem choć przez chwilę pogawędzić z Marcusem. - Spoważniał. - Pewne rzeczy wolę przekazać ci osobiście.

Marcus pokiwał głową. Domyślał się przyczyny nagłego przyjazdu szwagra.

- Chodźmy do środka.

- Na drodze minąłem patrol. George był z nimi. Jakieś kłopoty?

- Można tak powiedzieć. Szukają buntowników... szczególnie jednego.

- Kogoś z naszych znajomych?

- Harry'ego - cicho wtrąciła Catherine, zamykając za sobą drzwi salonu. - Harry'ego Stapletona.

Roger zatrzymał się jak wryty i popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Młodego Stapletona? Jest tutaj? - Błyskawicznie uniósł obie ręce. - Nie, nic mi nie mów - zawołał szybko. - Nie powinienem tego wiedzieć.

- Mamy do ciebie pełne zaufanie - odezwał się Marcus. - Tak, Stapleton jest u nas. Póki co, jeszcze go nie znaleźli, więc na razie nie ma się czym martwić. Gorzej z Fentonem. Siedzi w Taunton.

- Naprawdę? - mruknął Roger. Zajął miejsce w fotelu wskazanym mu przez Marcusa. - Wcale się nie dziwię. To siewca zamętu. Dał się poznać jeszcze na długo przed objęciem tronu przez Jakuba.

- Opowiadaj - rzekł Marcus i wręczył mu kieliszek brandy.

Roger pociągnął solidny łyk, a potem z rozterką spojrzął na Catherine, która ostrożnie przycupnęła na brzeжку kanapy, naprzeciwko obu mężczyzn.

- Wszystko w porządku - uspokoił go Marcus. - Możesz swobodnie mówić.

W tym momencie napotkał pytające spojrzenie żony.

- Poprosiłem Rogera, żeby przeprowadził małe śledztwo w Londynie - wyjaśnił. - Chciałem, na przykład, wiedzieć, gdzie widziano Fentona w dniu, w którym zamordowano mojego ojca. - Przeniósł wzrok na szwagra. - Co ustaliłeś?

- Wystarczająco dużo, żeby posłać Fentona wprost na szubienicę.

- Bardzo mnie to cieszy - zimno stwierdził Marcus. - Słucham cię, Rogerze.

- Jak sam wiesz, Fenton jest republikaninem i nie zmienił poglądów przez ćwierć wieku monarchii. Od czasów



Commonwealthu nieustannie spiskował przeciwko kolejnym królom. To jego obsesja. Nieustanne intrygi, podchody, narady... Był jednak na tyle sprytny, że nikt go do tej pory nie schwytał za rękę. Prawdę mówiąc, żył sobie zupełnie nie najgorzej.

- Przynajmniej do niedawna - sucho zauważył Marcus.

- Dziwi mnie tylko, że został w Somerset. Powinien uciekać przy lada okazji. Nigdy nie lubił Monmoutha. Podejrzewał go nawet o wydanie spiskowców z Rye House w ręce królewskiej gwardii. Drażniło go, że Monmouth sam dąży do tronu. To był prawdziwy policzek dla republikanina. Fenton uważał, że jest jeszcze za wcześnie na wybuch powstania. Kiedy jednak sprawy ruszyły ostro naprzód, jak zwykle postanowił być w centrum wydarzeń.

- Jak dobrze znał Henry'ego Barringtona?

- Należeli do tej samej tajnej grupy opozycjonistów. Pluli na monarchię, ale ich rzekoma przyjaźń była raczej krucha. Kiedy twój ojciec zatrudnił Fentona u siebie, ten natychmiast nawiązał kontakty z Johnem Trenchardem, tym samym, który od dawna optował za Monmouthem.

Marcus powoli skinął głową.

- Tak, wiem. Trenchard uciekł z Anglii jeszcze przed rebelią.

- Rojaliści nie bardzo mieli się czym chwalić. Ciągłe nie mogli znaleźć gromadzonej przez buntowników broni. Postanowili więc zdwoić wysiłki w wyłapywaniu dysydentów. Twój ojciec był sędzią pokoju. Miał swoich płatnych informatörów. Organizował więc obławy i wkraczał na tajne konwenty,

nakładał grzywny i zamykał największych krzykaczy. Na jednym z takich zebrań zauważył Fentona. Na pewno sobie wyobrazasz, co się wtedy stało. Twój ojciec nie mógł sobie wyobrazić, że ten sam człowiek, któremu z zaufaniem powierzył pieczę nad majątkiem, okazał się zdrajcą. Dalej opowieść się urywa. Twój ojciec zaraz potem wyjechał do Londynu, a Fenton - według oficjalnej wersji - do rodziny. Przynajmniej wszyscy tak myśleli.

- Łącznie ze mną - wtrącił Marcus. - Nikt z nas nie miał najmniejszych powodów, żeby w to nie wierzyć.

- Wciąż cię nie było, więc skąd mogłeś wiedzieć, co się naprawdę święci? Udało mi się porozmawiać z niejakim Albertem Watkinsem. To też republikanin i bliski znajomy Fentona, chociaż wyrażał się o nim jak najgorzej. Otóż pan Fenton wcale nie był u żadnych krewnych, tylko przyjechał do Londynu. Zjawił się w Riverside House, u Henry'ego Barringtona.

- Roger przerwał i niepewnie popatrzył na Catherine. - To co powiem, nie będzie dla ciebie przyjemne, moja droga. Przepraszam.

- Mój ojciec był człowiekiem mądrym i rozumnym, o niesłychanej sile charakteru. Nigdy nie wyrzekł się swoich przekonań, chociaż były one sprzeczne z obowiązującym prawem. Nie kochaliśmy się, ale za pewne rzeczy zawsze go podziwiałam. Wiem, że maczał palce w spisku z Rye House. Zapewne wcześniej były inne intrygi i afery, więc nic już mnie nie zdziwi. Owszem, domagam się powrotu protestanckiego króla, ale na pewno nie do tego stopnia, żeby godzić się na morderstwo. Chcę znać całą prawdę. Mów dalej, Rogerze.

- Proszę bardzo - odparł z głębokim westchnieniem. - Pewnej nocy Fenton i Barrington zjawili się w rezydencji lorda Reresby'ego w Westminster.

- A pan Watkins? - zapytał Marcus. - Widział się z Fentonem?

- Spotkali się w oberży „Pod Królewską Głową” na Fleet Street. Fenton zajął tam na chwilę przed powrotem do Somerset.

Twarz Marcusa pociemniała z gniewu i przygnębienia.

- To w tej samej oberży spotkałem się z Barringtonem. Tam właśnie graliśmy w karty i odarłem go ze wszystkiego. Zachowywał się nieswojo. Przez chwilę wydawało mi się, że jakiś cień mignął w korytarzu. Podejrzewam, że to był właśnie Fenton. Barrington wiedział o jego obecności, więc nie chciał mi niczego zdradzić. Zapewne bał się, że podzieli los mojego ojca. Dlaczego Fenton najpierw przybył do Riverside House?

- Lord Reresby miał pewne dokumenty, listy i tak dalej, pisane z Holandii do Fentona. Znalaziono je podczas przeszukania w siedzibie konwentu. Okazało się, że są w nich ważne informacje związane z Rye House. Fenton już od dawna był na liście podejrzanych. Twój ojciec przedtem nic o tym nie wiedział, bo inaczej nigdy by go nie zatrudnił.

- Tak, słyszałem o tych papierach - z namysłem powiedział Marcus. - Zniknęły po śmierci ojca. Wiedziałem tylko, że zawierały nazwiska dwóch spiskowców. Jednym był Barrington. O drugim nikt nie słyszał. - Uniósł głowę. - Dobra robota, Roger.

- Wspomniane listy stanowiły wystarczający dowód na to, aby Fenton i Barrington stanęli przed królewskim sądem. Barringtona aresztowano już o wiele wcześniej, lecz zdołał się wywinąć. Brakowało świadków. Jak wszyscy dobrze wiemy, oskarżenie o zdradę musi być poparte zeznaniami co najmniej dwóch osób. Tymczasem znaleziono jedną. Lord Reresby postanowił sam zjawić się w sądzie, przedstawić posiadane przez siebie dokumenty i wystąpić w roli drugiego świadka. Przede wszystkim chciał ukarać Fentona, ale Barrington też był w to wmieszany. Niestety, potem doszło do morderstwa. Twój ojciec zginął, papiery zniknęły i sprawa utknęła w martwym punkcie.

- Fenton zniszczył wszystkie dowody.

- Potem wrócił do Saxton Court i najspokojniej w świecie podjął przerwane obowiązki. Na pozór nic się nie stało. Nie wiadomo nawet, czy twój ojciec przypadkiem go nie zwolnił przed wyjazdem do Londynu. Fenton był „u rodziny” w momencie morderstwa. Nikt go nie podejrzewał.

- Potrafił zatrzeć wszelkie ślady.

- Pojechałem do Southwark, gdzie obecnie mieszka dawny londyński lokaj twojego ojca. Przyznał, że feralnego dnia Fenton i Barrington przybyli do lorda Reresby'ego. Ich wizyta trwała zaledwie kilka minut.

- Wystarczająco długo, żeby popełnić zbrodnię. A lokaj? Nie zauważył nic podejrzanego?

- Nie, chociaż Barrington był mocno podniecony. Wychoząc, powiedział do Fentona: „Nie powinieneś tego robić”. Fenton kazał mu być cicho.

- Dlaczego wcześniej nikt o tym nie wiedział?
  - Fenton szantażował lokaja, który bał się o życie swoich najbliższych.
  - Rozumiem. Świetnie się spisałeś, Roger.
  - Oczywiście musiałem lokajowi nieźle zapłacić za tę informację.
  - Oddam ci wszystko, co wydałeś.
  - Nie o to chodzi! Nie żałuję ani jednego wydanego pensa. - Roger wyciągnął nogi w stronę kominka. - Zrobiłem to także dla Elizabeth. Do dziś pamiętam, jak mocno przeżyła śmierć ojca.
  - Zawsze byli sobie bardzo bliscy. Jesteś pewien, że to wszystko prawda?
  - Początkowo też miałem pewne wątpliwości, zwłaszcza kiedy lokaj zażądał pieniędzy. Ale nie, wierzę mu bez zastrzeżeń. To zaufany sługa.
  - Zatem to Fenton jest mordercą?
  - Tak. Wiele się o nim dowiedziałem, zwłaszcza od republikanów. Pan Watkins dał się wciągnąć w bardzo długą rozmowę. Piłem z nim i bez cienia wstydu udawałem, że chcę zmienić swoje zapatrywania na korzyść republiki.
- Marcus się uśmiechnął.
- Nie bałeś się aresztowania?
  - Nie widzisz, że natychmiast uciekłem z Londynu, kiedy tylko znalazłem potrzebne informacje? - Roger stłumił ziewnięcie. - Jeśli chcesz wiedzieć coś więcej, to nalej mi drugą brandy. Daj też coś do jedzenia. Umieram z głodu.
- Catherine natychmiast zerwała się z kanapy.

- Wybacz mi, Rogerze. Zupełnie zapomniałam. Zaraz się tym zajmę.

Wybiegła z salonu, żeby wydać służbie odpowiednie polecenia.

Roger wygodniej rozparł się w fotelu i zerknął na szwagra.

- Jak ona sobie radzi?

- Najlepiej, jak potrafi, lecz bardzo jej z tym ciężko.

- A Stapleton? Jest tutaj?

- Tak, ale zachowaj to tylko dla siebie. Aresztowano by nas wszystkich, gdyby ktoś usłyszał, że w Saxton Court ukrywa się jeden z buntowników. Wiedzą o tym jedynie Archie i Alice. Na razie zastanawiam się co dalej. Może słyszałeś, że lord Jeffreys wybiera się do Somerset na czele armii prawników?

- Owszem. Piekielnie żał mi oskarżonych.

- Lord Jeffreys niczym nie różni się od ciebie lub ode mnie! Pomyśl tylko... W ostatniej wojnie wiernie stałem po stronie króla. Katolickiego króla, który zamierza zniszczyć moją protestancką Anglię. Wciąż nie potrafię sobie z tym poradzić.

- Ba... Nie ty jeden...

Marcus przez dłuższą chwilę wpatrywał się w przestrzeń, bębnił palcami w stół i myślał o czymś zawzięcie. Wreszcie powiedział:

- Już od dawna byłem przekonany, że to właśnie Fenton zabił mojego ojca. Mimo to do dzisiaj nie mogę uwierzyć, że taki spryciarz jak on dał się aresztować.

- Co teraz zrobisz?

- Wyjadę do Londynu.

Roger spojrział na niego ze zdziwieniem.

- A to dlaczego?

Marcus opowiedział mu o rozmowie z George'em i o groźbie, jaka zawisła nad Catherine.

- W Londynie będzie bezpieczniejsza - dodał na koniec.

Roger zgodził się z nim bez zastrzeżeń.

- Lord Jeffreys przewodniczył sędziom na rozprawie przeciwko spiskowcom z Rye House - zauważył. - Wśród wielu nazwisk, które tam wtedy padły, znalazło się też nazwisko Henry'ego Barringtona. Jeffreys na pewno je zapamiętał. Na waszym miejscu jak najszybciej wyjechałbym z Saxton Court.

- Jeszcze jedno, Rogerze. Przyjąłbyś nas do siebie? Dom w Westminster od dwóch lat stoi pusty. Potrzeba trochę czasu, żeby służba zrobiła tam porządki. Potem go chyba sprzedam.

- Oczywiście! Możecie mieszkać u nas tak długo, jak zechcecie. Przez pewien czas będę w Somerset, by dopilnować interesów, lecz Elizabeth przyjmie was z otwartymi ramionami. Kiedy wyjeżdżacie?

- Najszybciej jak to możliwe. Przedtem jednak muszę porozmawiać z Fentonem.

- W więzieniu? Myślisz, że to rozsądne? Słyszałem, że to istne piekło. Wśród więźniów panuje ospa.

Marcus pokręcił głową.

- Muszę się z nim widzieć, zanim kapitan Kirke go powiesi. Chcę, żeby przede mną przyznał się do winy, choć wolałbym go nie oglądać.

Spojrzał w stronę drzwi, w których właśnie stanęła Catherine. Na pewno usłyszała jego ostatnie słowa. Weszła do salonu i spojrzała na męża.

- Skoro musisz - powiedziała powoli. - Idź do niego. Rozumiem, co czujesz, ale bądź ostrożny. Przekaż Fentonowi, że go nienawidzę.

Marcus uśmiechnął się z ironią.

- Od dawna o tym wie.

- Uważaj na kapitana Kirke'a. Lepiej go unikaj.

- Nie będzie takiej potrzeby. - Ciepłjsza nuta zabrzmiała w głosie Marcusa. Pomału rozwarł ramiona. Drżąca Catherine wtuliła się w jego objęcia.

- Nie bój się - powiedział łagodnie. - Dopóki nie znajdą Harry'ego, nie mogą ci przedstawić najmniejszych zarzutów. Kirke wie o tym. Już tutaj nie wróci.

- Skąd wiesz?

- Po spotkaniu z Fentonem zabiorę cię do Londynu. Nie zostaniemy tutaj, przynajmniej na razie. Nie wiadomo, co będzie po przyjeździe Jeffreysa.

- A Harry? Nie możemy go tak zostawić.

- Nie zostawimy. Na pewno coś wymyślę.

Uśmiechnęła się.

- Wiem - odpowiedziała cicho. Marcus przytulił ją jeszcze mocniej. Podświadomie wiedział, że gdy będą w Londynie, a Harry w Holandii, nad ich dziwnym małżeństwem znów zaświeci słońce.

Następnego dnia Marcus pojechał do Taunton. Było za późno na rozmowę z Fentonem. Najwyżej mógł popatrzeć, jak będą go wieszać.

Stanął nieco z boku rozgadanej ciżby, w miejscu, z którego



miał całkiem niezły widok na plac przed gospodą „Pod Białym Jeleniem”. Najpierw zjawili się dobosze. Zabrzmiał ponury werbel. Tłum przycichł, chociaż ludzie widzieli już niejedno. Podobne egzekucje były na porządku dziennym. Słońce przygrzewało coraz mocniej. Muchy brzęczały w wilgotnym powietrzu. Marcus zdjął kapelusz i otarł spocone czoło. Szkoda, że nie ma ani odrobiny wiatru, pomyślał mimo woli. Patrzył dalej. Wokół siebie widział kobiety i dzieci. Kilku chłopców wspięło się ojcom na ramiona. Wszyscy czekali na skazańców.

Nagle rozległ się szmer podniecenia. Ciekawość brała górę nad współczuciem. W polu widzenia ukazało się trzech więźniów. Fenton szedł jako ostatni. Marcus odruchowo cofnął się o pół kroku, jakby chciał odsunąć się od niego jak najdalej.

Pierwszy więzień miał siwe, krótko przycięte włosy i ubrany był w poplamiony kubrak. Szedł z trudem, wyglądał na chorego. Drugi, mały i niepozorny, rozglądał się z przerażeniem. Małe oczka żałośnie błyszczały w napuchniętej twarzy. Sprawiał przykre wrażenie.

Marcus patrzył wyłącznie na Fentona. Ten stanął spokojnie w pobliżu szubienicy. Mocno zacisnął usta. Zachowywał się arogancko nawet w obliczu śmierci. Powiódł wzrokiem po gapiach, jakby wśród nich szukał okazji do ucieczki.

Kat założył pętlę na szyję pierwszego skazańca. Siwowłosy mężczyzna chrapliwie wstrzymał oddech. Śmierć nastąpiła szybko i po chwili skazaniec dyndał na końcu sznura, ze złamanym karkiem.

Drugi wpadł w histerię na widok wisielca. Z dzikim, obłądnym wrzaskiem zaczął się szamotać i rzucać na ziemię. Dopadli go żołnierze. Dowódca gwardzistów posiniał z wściekłości. Powstało zamieszanie. Tłum zafalował groźnie, ale gwardziści już po chwili przywrócili porządek. Mały więzień w drgawkach zawisł obok pierwszego. Dopiero wtedy wszyscy spostrzegli, że trzeci zniknął. Zdumieni gwardziści biegali na wszystkie strony. Na próżno. Fenton przepadł niczym kamień w wodę.

Zgodnie z obietnicą poczynioną żonie, Marcus istotnie wymyślił ratunek dla Harry'ego. W tajemnicy przed Catherine namówił starą Alice, żeby przygotowała czernidło do włosów. Potem zajął się zbiegiem. Ciemna farba pokryła jego jasne włosy i długą miękką brodę. Przez cały czas pobytu w ustronnej jaskini Harry nie miał okazji, żeby się ostrzyć lub ogolić. Z długimi włosami i czarnym zarostem w niczym nie przypominał dawnego cherubina.

Wszyscy w Saxton Court byli święcie przekonani, że nowy służący, imieniem John Oakley, przyjechał z Londynu razem z sir Rogerem. W myśl oficjalnej wersji miał zastąpić tragicznie zmarłego Dickona. Służebne panny aż przerywały pracę, żeby z westchnieniem spojrzeć za przystojnym brunetem.

W dniu wyjazdu Marcus z cichym rozbawieniem obserwował z daleka krzątaninę żony. Nawet Catherine nie poznała, że ma do czynienia z młodym Stapletonem. Owszem, ruchy Oakleya wydawały jej się dziwnie znajome, lecz była zbyt zajęta,

żeby o tym pomyśleć. Dopiero, kiedy wziął od niej ciężki kufer, niechący spojrziała w jego niebieskie oczy. Odruchowo rozwarła usta ze zdumienia.

- Harry? - szepnęła.

Młodzieniec w milczeniu przytknął palec do ust i poszedł w swoją stronę. Catherine pobiegła na poszukiwanie męża. Załomotała w drzwi jego sypialni. Na wezwanie wpadła do środka. Marcus siedział na krześle i wkładał długie buty.

Spod oka zerknął na żonę. Zauważył, że jest czymś mocno przejęta i zaczerwieniona. Z trudem łapała oddech. Niżej pochylił głowę, żeby ukryć uśmiech.

- Co się stało, Catherine? - mruknął od niechcenia. - Wyglądasz, jakbyś przed chwilą zobaczyła ducha.

- Marcusie... - wysapała. Rozejrzała się, żeby sprawdzić, czy poza nimi naprawdę nikogo tu nie ma. - Widziałam, Harry'ego. Zupełnie go nie poznałam! Dlaczego wcześniej nic mi nie powiedziałeś?

- Dlaczego? - Parsknął śmiechem. - Moja droga Catherine, skoro ty go nie rozpoznałaś, jest bezpieczny. To była mała próba. Owszem, wciąż istnieje poważne ryzyko, ale podejrzewam, że nikt w okolicy nie będzie się zbytnio przyglądał służącym.

- Och, Marcusie, jesteś cudowny! Dziękuję ci w imieniu własnym i Harry'ego.

- Dziękujesz? - Wstał i popatrzył na nią z rozbawieniem. - Przecież ci mówiłem, że zamierzam pozbyć się pana Stapletona. To nie litość kazała mi go wyciągnąć z kryjówki. Pamiętaj, Catherine, że wcale nie pomagam mu bezinteresownie. Przyjdzie czas, że zażądam od ciebie zapłaty.

Catherine popatrzyła na niego z ukosa i na jej ustach pojawił się tajemniczy uśmieszek.

- Możesz to zrobić zaraz. Marcusie, powtarzałam ci dziesiątki razy, że jestem twoją żoną. Wciąż jestem ci przychylna. To ty postanowiłeś żyć w celibacie.

- Większość kobiet na twoim miejscu wolałaby zimne łóżko niż niewczesne zaloty natarczywego męża.

- Dla ciebie moje łóżko nigdy nie będzie zimne - zapewniła go cicho. - Ani ja.

Marcus uśmiechnął się leniwie i z zadowoleniem. Delikatnie pogładził żonę po policzku.

- Mam potraktować to jako zaproszenie? - spytał niespodziewanie czułym tonem.

Zarumieniła się aż po koniuszki uszu.

- Na złość mogłabym odpowiedzieć „nie”, ale nie potrafię. Tak, Marcusie. Zawsze i wszędzie. To ty mnie zaniedbujesz. Czasem przychodzi mi do głowy, że już ci się nie podobam.

Marcus nadal nie mógł uwierzyć, że jej uczucia do Harry'ego zupełnie wygasły. Z wytęsknieniem czekał na chwilę, kiedy pan Stapleton - to znaczy John Oakley - bezpiecznie znajdzie się w Holandii. Chciał mieć żonę tylko dla siebie. Rozmarzonym wzrokiem popatrzył na jej usta.

- Jesteś spełnieniem wszystkich męskich marzeń - rzekł. - A może nawet więcej...

Catherine zalotnie przechyliła głowę i odpowiedziała mu uśmiechem.

- Zatem namawiam cię do wspólnej nocy - rzuciła tonem wyzwania.

- Umowa stoi - odparł ze sztuczną powagą.

- Załatwione - podsumowała Catherine. - Przejdźmy do następnych spraw. Jak zamierzasz wyprawić Harry'ego z Londynu?

- Mam znajomości wśród żeglarzy, którzy pływają na kontynent. Jeden z nich jest mi winien niewielką przysługę. Zabierze pasażera bez żadnych zbędnych pytań.

- Pomału zaczynam wierzyć, że wszystko nam się uda.

- Pomału? - spytał Marcus. - Ależ, Catherine! Na pewno damy radę!

Zrobił kpiącą minę i roześmiał się na całe gardło.

- Masz rację. - W jej głosie znów zabrzmiała nuta dawnej siły i determinacji.

- Część zasługi przypadnie Alice. To ona przygotowała farbę.

- Alice? Beze mnie wciągnęłaś ją do spisku? - z przesadnym oburzeniem zawołała Catherine. - A to stara oszustka! Niech tylko ją zobaczę...

Marcus przyglądał jej się z uwielbieniem.

- Bez niej bym sobie nie poradził. A teraz pędź dokończyć pakowania. Przed wieczorem musimy być w Wells.

Catherine z nadzieją w sercu wybiegła z pokoju. Marcus z zadumą patrzył za nią i cieszył się jej szczęściem.

W południe wyjechali z Saxton Court. Większość służby uciekła jeszcze podczas rebelii, więc ci, którzy pozostali, nie wyłączając Archiego, mieli pełne ręce roboty. Harry zasiadł na koźle, obok starego stajennego. Marcus i Catherine zajęli

miejsca w powozie. Alice i dwie młodsze pokojówki usadowiły się w drugim pojeździe, na końcu kawalkady.

- Nie zwlekajmy dłużej - powiedział Marcus, siadając naprzeciwko Catherine. - Chciałbym jeszcze za dnia oddalić się od Taunton.

W czasie podróży do Londynu wreszcie miał dogodną chwilę, żeby dłużej pomyśleć o ostatnich wypadkach. Od dnia spotkania w Saxton Court nie widział kapitana Kirke'a. Nie wiedział też, co dalej działo się z Fentonem. Roger obiecał mu, że będzie miał oko na przebieg dalszych wydarzeń w Somerset.

Catherine nisko opuściła głowę, żeby ukryć uśmiech. Bawiło ją, z jakim oddaniem Marcus wcielił się w rolę czułego i opiekuńczego męża. Za to kochała go jeszcze bardziej. Przez chwilę przypatrywała mu się ukradkiem. Rozparł się, wyprostował nogi i wbił wzrok w tuman kurzu, widoczny za oknem powozu.

Przez cały czas mijali uzbrojone patrole, przeczesujące okolicę w poszukiwaniu buntowników. Nikt nie zwracał uwagi na ciemnowłosego młodzieńca, siedzącego na koźle. Przecież to był służący lorda Reresby'ego, pozostający poza podejrzeniem. Powóz toczył się po wybojach, w gospodach szurały myszy - poza tymi drobnymi niedogodnościami, podróż miła im bez żadnych przygód.

Marcus był w złym humorze. Miał już dość ciągłej jazdy w zamkniętym powozie. Drażniła go też stała obecność Harry'ego, chociaż usiłował tego nie okazywać. Wiedziona

kobiecą intuicją, Catherine doskonale wiedziała, co dzieje się w jego duszy. Bolała nad tym, że są tak blisko siebie, a zarazem tak bardzo odlegli.

Powóz toczył się powoli wyboistym traktem. Catherine z ukosa spojrzała na Marcusa. Siedział lekko zwrócony bokiem, beznamiętnie patrząc przez okno. Niesforny kosmyk opadał mu na czoło.

- Dlaczego siedzisz tutaj ze mną, skoro nie masz mi nic do powiedzenia? - spytała w pewnej chwili.

- Bo tu jest o wiele wygodniej niż na koźle - odparł sucho.

- I trochę lepsze towarzystwo?

- Bez wątpienia.

- Pochlebiasz mi - odpowiedziała ironicznie.

- Ależ skądże.

- Marcusie, dobrze wiem, co przeżywasz. Przeszkadza ci, że Harry wciąż jest z nami. Nie lubisz go, prawda?

- Wręcz przeciwnie, i to mnie najbardziej złości. Ten chłopak ma rację. W zupełności zgadzam się z jego poglądami. Powinienem być mu niechętny, ale nie potrafię.

- Zatem gniewasz się na mnie. Pytanie tylko o co? O to, że próbuję mu pomóc w najtrudniejszych chwilach?

- Nie. Na twoim miejscu zrobiłbym to samo. Irytuje mnie tylko, że ostatnimi czasy trochę za dużo myślisz właśnie o nim.

Przez resztę podróży nic się nie zmieniło. Marcus ustawicznie trwał w zaciętym uporze, w milczeniu spoglądał w okno i co najwyżej wzdychał. Catherine mogła jedynie podziwiać jego profil.

Ze względu na obecność Alice lub Marcusa, rzadko miała okazję odezwać się do Harry'ego. W każdej krótkiej rozmowie starannie omijała wszelkie zagadnienia związane z jej małżeństwem. Nie chciała o tym mówić.

Dopiero przed samym końcem przydługiej podróży stanęli na krótki popas w pięknej wiejskiej oberży, całej porośniętej zieloną winoroślą. Po posiłku Marcus pozostał przy stole, z kuflem piwa w ręce. Catherine wyszła na zewnątrz i usiadła na ławce, stojącej pod ścianą. Patrzyła, jak oberżysta szerokim ukłonem wita następnych gości. Dzień był ciepły i pogodny; wokół rozchodził się zapach leśnych kwiatów. Po niebie pędziły niewielkie obłoki, gnane szybkim wiatrem.

Harry już z daleka zobaczył Catherine i podszedł do niej. Uśmiechnęła się.

- Wszystko się kończy, Harry. Następny przystanek: Londyn. Powinieneś się cieszyć, że to już niedługo.

- Cieszę się, istotnie. Chociaż myślałem, że podczas tej podróży częściej będziemy razem. Twój mąż ciągle nas obserwuje.

- To dla niego niezwykła i trudna sytuacja. Musisz go zrozumieć. Pamiętaj, że to przede wszystkim ze względu na mnie postanowił ci pomóc. Jestem mu bardzo wdzięczna.

- Nie wiem, jak mu dziękować za to, co dla mnie zrobił. To człowiek honoru. Zdaję sobie sprawę, że mógł bez wahania oddać mnie w ręce Kirke'a. Musi cię bardzo kochać.

Catherine spłonęła rumieńcem i odwróciła głowę. Harry delikatnie ujął ją pod brodę i zmusił, żeby znów na niego spojrzała.



- Co się stało? Znamy się tak dobrze, że zawsze będę wiedział, kiedy cię coś trapi. O co chodzi? Nigdy nie wyznał ci miłości? Dlatego jesteś smutna?

- Nie potrafię przewidzieć nastrojów Marcusa. Raz jest tak, raz inaczej.

-I dlatego go kochasz? - W oczach Harry'ego pojawił się cień bólu.

- Tak... Kocham go, Harry! Kocham całym sercem, chociaż mam wrażenie, że znów cię zdradziłam.

- Nie myśl o tym w ten sposób. To wcale niepotrzebne. Znam twoje uczucia - odpowiedział łagodnie. - Nie zapomnisz o nim, gdybyś nawet uciekła ze mną do Holandii. Nie łudzę się nadzieją. Zwłaszcza teraz, kiedy poznałem Marcusa trochę lepiej, jestem w stanie zrozumieć, co do niego czujesz.

Catherine położyła dłoń na jego dłoni.

- Och, Harry... Dziękuję za to, co teraz powiedziałeś. Zawsze byłeś dla mnie najlepszym przyjacielem - szepnęła urywającym głosem. - Tak też będę cię kochać... jako przyjaciela. Dziękuję za wszystko, co było w przeszłości, i za to, że jesteś. Resztę życia chcę spędzić z Marcusem. To wspaniały człowiek, bez względu na to, co nam kiedyś zrobił.

- Wiem. Dumny i wspaniały. Kłopot w tym, że jeszcze nie jest całkiem pewny twojego uczucia. Moim zdaniem, podejrzewa, że nadal mnie kochasz. Zapewniłaś go szczerze o swojej miłości?

Catherine smutno potrząsnęła głową.

- Kilka razy mówiłam, że go chyba kocham... Ale to były tylko słowa.

W tej samej chwili Marcus wyłonił się z gospody. Harry natychmiast wstał. Zanim odszedł, powiedział cicho do Catherine:

- Nie czekaj, aż on to powie.

Odwróciła się. W głębi serca wiedziała, że Harry ma rację.

Wjechali do Londynu. Catherine obojętnie spoglądała przez okno na długi ciąg budynków. Latem widok prowincji cieszył oko podróżnych. Stolica wyglądała zupełnie inaczej. Dokoła rozbrzmiewały piskliwe okrzyki przekupniów, zachwalających najróżniejsze dobra. Zgiełk, kurz i nie zawsze najprzyjemniejsze wonie wdzierały się do powozu. Catherine nigdy nie lubiła miasta. Tęskniła za zielenią, słońcem oraz wiatrem. W Londynie nie czuła się swobodnie.

Powóz zjechał przed miejską rezydencję Rogera, w modnej dzielnicy na północ od St James Palace, przy trakcie wiodącym do wsi Knightsbridge. Elizabeth właśnie schodziła po schodach. Uśmiechała się lekko, witając przyjezdnych.

- Ho, ho - powiedziała na widok Catherine. Serdecznie wzięła ją w ramiona. - Wyglądasz zupełnie inaczej. Jakbyś... odmłodziła. Co to za tajemnica?

Catherine zaczerwieniła się jak piwonia. Alice nieraz jej powtarzała, że ciąża powoli staje się widoczna. Elizabeth od razu wyczuła pewną zmianę. Dlaczego Marcus do tej pory nic nie zauważył?

- Dziwię się, że to mówisz, bo podróż była ciężka i każdy z nas na pewno jest bardzo zmęczony. Mam nadzieję, że wreszcie choć trochę wypocznę.

- Na pewno. Przygotowałam już dla ciebie pokój, tuż obok dawnej sypialni Marcusa. Macie wewnętrzne drzwi, na wszelki wypadek.

- Bardzo ci dziękuję - odpowiedziała Catherine, spoglądając na męża. W jej oczach zamigotały figlarne iskierki. - Na pewno się przydadzą. Lubimy być blisko.

Zauważyła, że Marcus jakby poweselał. Kąciki jego ust zadrgały w uśmiechu. Catherine instynktownie przyłożyła rękę do łona. Wszystko się ułoży, pomyślała z nadzieją. Będziemy szczęśliwi...

- Wiem! - zawołała uradowana Elizabeth, zupełnie nie podejrzewając, że coś mogło popsuć się pomiędzy jej bratem a jego młodą żoną. - Ogromnie się cieszę, że wreszcie postanowiliście przyjechać do Londynu. Możecie zostać u nas, jak długo zechcecie. W domu dzisiaj jest cisza, przynajmniej na razie. Dzieci poszły z nianią do parku. Niech tam się wyszumia. Niestety, niedługo wróca, skorzystajmy więc z chwili spokoju. Zapraszam do salonu. Poczęstunek czeka. Chcę wiedzieć o wszystkim, co się dzieje w Taunton.

- Zapewne tęsknisz za Rogerem - zauważył Marcus, podążając za siostrą. Naprawdę się cieszył, że już po podróży. Humor mu się poprawił.

- To prawda, ale nie chcę odciągać go od pracy. Dobrze wiesz, ile ma zawsze roboty. To jego pasja. Ostatnio brakuje mu dobrych pomocników. Podejrzewam, że w Taunton jest prawdziwe piekło.

- W całym Somerset, Elizabeth. Choćby właśnie dlatego postanowiliśmy trochę posiedzieć w Londynie. Nie zamierzamy

nadużywać twojej gościnności. Jutro sprawdzę, co słychać w Westminster - obiecał Marcus.

- Pamiętam, że planowałeś sprzedać tamtą rezydencję - zauważyła Elizabeth, siadając obok Catherine na miękkiej kanapie.

- To prawda, chociaż nie podjąłem jeszcze ostatecznej decyzji. Zbyt wiele wspomnień wiąże się z tym miejscem. Ostatnie są najgorsze. Wezmę ze sobą Catherine. Zobaczmy, co na to powie.

- Po dwóch latach dom nadaje się do remontu. Nie wystarczą wiosenne porządki.

- Pewnie masz rację. Początkowo myślałem, że zajrzę tam już dzisiaj, ale przedtem muszę coś załatwić.

Catherine zerknęła podejrzliwie na Marcusa. Domyśliła się, że na pewno chodzi o Harry'ego. Ona też chciała jak najszybciej rozwiązać ten problem.

Następnego dnia wybrali się do Westminster. Catherine była zdziwiona, gdy Marcus postanowił wziąć z sobą Harry'ego.

- Dlaczego? - spytała.

- To będzie dla niego najlepsze schronienie - wyjaśnił jej mąż, gdy powóz powoli sunął w tłumie pojazdów na Charing Cross. - Pewien mój przyjaciel, wierny zwolennik króla i człowiek honoru, jest kapitanem statku, który jutro wypływa do Holandii. Zgodził się zabrać Harry'ego.

- Można mu ufać?

Marcus uśmiechnął się ironicznie.

- Nie rozmawiałbym z nim, gdybym nie miał do niego

zaufania. Straż królewska bacznie pilnuje wszystkich portów, ale mój kapitan to człowiek powszechnie znany i nikt go nie będzie o nic podejrzewał. Harry wejdzie na pokład tuż po pierwszym brzasku. Przedstawi się jako John Oakley. Tę noc jednak musi spędzić w Westminster. Nie chcę narażać Elizabeth.

- Ona o niczym nie wie?

- Oczywiście, że nie. Wstyd mi, że muszę kłamać.

- Masz rację. Przepraszam, nie pomyślałam o tym. Harry zna Londyn, więc na pewno da sobie radę. Nic mu się nie stanie.

- Im szybciej stąd wyjedzie, tym lepiej dla nas wszystkich.

- Marcus smutno się uśmiechnął. - Zostanę sam, z moimi nadziejami.

Catherine poważnie popatrzyła mu prosto w oczy.

- Z niczego się nie wycofuję - zapewniła go uroczystym tonem. - Jestem twoja i tylko twoja. Czy to ci wystarczy?

Zamiast odpowiedzi, Marcus wziął ją w ramiona i pocałował prosto w usta.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo jestem szczęśliwy - powiedział, gdy pocałunek dobiegł końca. - Zmarnowaliśmy już wystarczająco dużo czasu.

- Zrobię wszystko, co tylko zechcesz - odpowiedziała szeptern. - Z własnej woli i z wielką ochotą.

Dom w Westminster był bardzo stary. Kupił go jeszcze dziadek Marcusa w czasach, gdy politycy i parlamentarzyści chcieli być blisko Whitehall i najwyższego trybunału. Teraz wielki budynek stał osamotniony, cichy i zupełnie pusty. Już z daleka wydawało się, że nie pasuje do tętniącej życiem oko-

licy. Podjazd był zarośnięty trawą. Catherine wzdrygnęła się mimo woli. Marcus wydobył z kieszeni wielki klucz i wsunął go do zamka. Spodziewał się, że zardzewiałe drzwi ustąpią z głośnym zgrzytem, ale nie... Klucz obrócił się gładko i bez żadnego szmeru.

- To dziwne. - Marcus zmarszczył czoło. - Wygląda na to, że ktoś całkiem niedawno naoliwił zamek i zawiasy. Ciekawe kto?

- Może Elizabeth? - podsunęła Catherine.

- Wątpliwe. Prawie nie zaglądała tutaj po zabójstwie ojca. Zabrała tylko kilka pamiątek i nieco kosztowności. Potem w ogóle tu nie zachodziła.

Ich kroki rozbrzmiewały głuchym echem w pustym korytarzu. Marcus odwrócił się i wziął żonę za rękę.

- Pójdziemy dalej?

Catherine z wahaniem podążyła za nim. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Nie wiedziała, czego się boi, ale ten dom budził w niej niemiłe uczucia. Przez chwilę spoglądała na pociemniałe ściany. To tu lord Reresby zginął gwałtowną i tragiczną śmiercią... Mocniej ścisnęła dłoń Marcusa. Zauważyła, że wszystkie meble pokryte są grubą warstwą kurzu. Zapewne od dwóch lat nikt nie sprzątał.

Powoli przeszli do salonu i z przygnębieniem popatrzyli na smutne pamiątki przeszłości - książki, szklanki, koszyk pełen włóczki... Marcus zabrał Catherine na piętro, gdzie mieściły się sypialnie, Harry zaś skierował się do kuchni.

Ogłędziny piętra w zasadzie nie przyniosły im nic nowego. Nie znaleźli też żadnych śladów włamania lub grabieży. Przez

pewien czas Marcus omijał ciężkie dębowe drzwi w końcu korytarza. Wreszcie pchnął je i z pewnym wahaniem stanął w progu. Catherine wsunęła głowę do środka. Zobaczyła niewielki, lecz dobrze urządzone gabinet. Na pozór wszystko stało na swoim miejscu, ale w powietrzu unosiła się lekka woń stęchlizny.

- Co to jest? - niemal szeptem spytała Catherine.

- Tutaj zginął mój ojciec - bezbarwnym głosem odpowiedział Marcus.

Zapadła chwila napiętego milczenia. Nagle Catherine drgnęła, słysząc skrzypienie podłogi. Z góry dochodził odgłos kroków. Marcus chyba też to usłyszał. Popatrzyli na siebie.

- Kto to? - szepnęła Catherine. - Na pewno nie Harry. Zostawiliśmy go na dole.

- Pójdę zobaczyć.

Catherine została sama. Bezwiednie przycisnęła ręce do piersi i niemal bez tchu czekała na powrót Marcusa. Wyobrażała sobie, że coś groźnego czai się w ciemnościach. Z trwogą rozejrzała się po małym pokoiku, w którym przed dwoma laty zamordowano lorda Reresby'ego. Popatrzyła na otwartą szufladę biurka i mimo woli przesunęła dłonią po gładkim blacie. Spojrzała na dywan. Nie było śladów krwi. Nic - oprócz wszechobecnej ciszy. Z cichym westchnieniem wyszła na korytarz i zobaczyła Marcusa, który w tej samej chwili zszedł ze schodów.

- Nikogo nie ma - powiedział ponuro, lecz nie wyglądał na uspokojonego. - To pewnie kot, a może szczury.

Catherine się wzdrygnęła.

- A może to dom skrzypi. Może jest nawiedzony?  
- Nic o tym mi nie wiadomo. Boisz się duchów?  
- Duchów? Na ogół są niegroźne. Bardziej należy bać się ludzi.

- W takim razie możemy mieć powody do obawy.

- Co to znaczy?

- Ktoś tu się ukrywa. We wszystkich starych domach są tajemne przejścia, podwójne drzwi, zapadnie i zasuw. W Riverside House na pewno też jest coś takiego.

- Tak, nawet sama znałam dwa tajne pokoje. Ale kto mógłby się tu chować?

- Pewnie jakiś włóczęga. Przecież wiadomo, że dom od dwóch lat stoi pusty. - Marcus mówił to z pełnym przekonaniem. Od samego początku, gdy tylko wszedł do środka, wyczuwał czyjąś obecność. To na pewno nie były koty ani szczury. Kolejna tajemnica, którą musiał odkryć.

- Poszukamy go? - zapytała Catherine. Marcus popatrzył na nią i pokręcił głową.

- To trwałoby zbyt długo.

- Chciałbyś tu z powrotem zamieszkać, Marcusie?

Wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Nawet nie wiem, czy mógłbym. A tobie się podoba?

Catherine się zawahała. Nie chciała go obrazić, mówiąc, że dom w ogóle jej się nie podoba. Na to będzie czas później.

- Nie umiem powiedzieć... Budynek jest bardzo piękny, solidny i bogaty, lecz czuje się smutek, jakby stracił duszę.



Marcus zerknął w głąb gabinetu.

- Mój ojciec bardzo go lubił. To on był jego duszą.
- To dla ciebie na pewno bardzo wiele znaczy, prawda?
- Tak. Chociaż naprawdę nie wiem, czy mógłbym tutaj mieszkać. Najpierw zrobimy remont, a potem zobaczymy.
- Twój ojciec nie żyje. Nie przywrócisz przeszłości. - Catherine wzięła męża pod rękę. - Chodź, znajdziemy Harry'ego. O pozostałych sprawach porozmawiamy później, najlepiej z Elizabeth.

Harry czekał na dole. Nadeszła pora rozstania.

- Niech Bóg cię zachowa w zdrowiu i opiece - z niekłamanym bólem powiedziała Catherine. - Będę za tobą tęsknić dużo bardziej, niż myślisz.

-I ja za tobą, Catherine. Na szczęście dostałaś wspianiałego męża. - Spojrzał w bok, na drugą stronę salonu, na człowieka, który mu zabrał ukochaną i który mimo to został jego przyjacielem. - Twoje miejsce jest przy Marcusie. Mam nadzieję, że potrafi to docenić.

- Co zrobisz, kiedy już znajdziesz się w Holandii?
- Mam tam wielu przyjaciół. Na pewno mi pomogą. Nie powrócę do Anglii, dopóki król Jakub nie ustąpi z tronu. Po śmierci Monmoutha oczy rojalistów zwrócone są na Wilhelma. Będę mu wiernie służył. To jedno mogę zrobić.

Marcus czekał cierpliwie, ale w końcu uznał, że czas przerwać tę scenę. Podszedł do Harry'ego, sięgnął do kieszeni i podał mu spory trzos z brzęczącą monetą.

- Przyda się panu na początek w Holandii.

- Bardzo dziękuję. Jest pan niezwykle hojny, sir. Pozostaję pańskim dłużnikiem.

Marcus chrząknął głośno.

- Nie ma o czym mówić.

- Nieprawda. Wiele się nauczyłem. Wiem też, że dalsze zmiany nadejdą stopniowo. Będę czekał, aż Jakub wreszcie ustąpi z tronu.

- W to akurat nie wątpię, niech pan jednak pamięta, że tu, w Anglii, wciąż grozi panu bardzo wiele. Proszę odszukać stitek o nazwie „Expedience”. Kapitan nazywa się Daniel Erskine. Rano czeka na pana. Niech pan będzie o świcie i przedstawi mu się jako John Oakley - beznamietnym tonem pouczał go Marcus. - Chce pan jeszcze o coś zapytać?

- Nie, sir.

- W takim razie życzę wiele szczęścia. Chodźmy, Catherine. Na nas też już pora.

Catherine przystanąła w progu i spojrzała na Harry'ego. Trapił ją niepokój. Bała się zostawić go tutaj samego. W mroku pustego korytarza czaiły się jakieś cienie. A może to jedynie była gra wyobraźni?

Zapadł zmrok. Harry od kilku godzin tkwił sam w pustym domu. Zastanawiał się, jak najkrótszą drogą dotrzeć rano do portu. Nagle usłyszał kroki. Zaintrygowany, wziął świecę i ostrożnie wyrzął do holu. Echo dochodziło gdzieś z góry. Powoli wszedł na schody. Spojrzał w ciemność i dostrzegł jakąś czarną postać sunącą w jego stronę. Wyciągnął nóż, lecz w tej samej chwili otrzymał cios w piersi. Stracił równowagę

i runął ze schodów. Zanim upadł, zdążył dosięgnąć nożem przeciwnika. Poczuł, jak stalowe ostrze zgrzytnęło o żebra.

A potem potoczył się jak kamień. Głowa uderzała o twarde stopnie. Nareszcie znieruchomiał. Nie stracił przytomności. Próbował się podnieść, lecz obolałe mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa. Nie mógł się poruszyć.

## Rozdział jedenasty

Marcus pożegnał się z Elizabeth, powiedział dzieciom „dobranoc” i wyszedł na spotkanie z przyjaciółmi. Catherine postanowiła wcześniej się położyć. Była bardzo zmęczona. Alice zapewniła ją, że to normalne podczas ciąży. Przy okazji jak zwykle spytała, kiedy jego lordowska mość usłyszy tę dobrą nowinę? W odpowiedzi Catherine tylko westchnęła. Zamknęła oczy i wtuliła się w miękką poduszkę. Piastunka czekała na odpowiedź.

- Jutro, Alice - mruknęła Catherine, nie otwierając oczu i dodała: - Nie znęcaj się nade mną. Jutro Harry bezpiecznie wyjedzie do Holandii, Francji lub gdziekolwiek. A teraz chcę jedynie zasnąć.

Jednak sen nie przychodził. Było już po północy, gdy przestała się wiercić i nagle usiadła na łóżku. Wciąż miała przed oczami ponury dom w Westminsterze. Trapiło ją przeczucie... Coś tam widziałam, przypomniała sobie. Coś, co nie pasowało do otoczenia... Ale co to było?

Wstała i nerwowym krokiem zaczęła przechadzać się po

pokoju. W pamięci odtwarzała cały przebieg wizyty. Najpierw byliśmy na dole, potem weszliśmy na piętro, do gabinetu ojca Marcusa. Krzesła, książki, ulotki, ślady palców na warstwie kurzu... Zaraz, zaraz! Ulotki! Tuż obok otwartej szuflady. Zupełnie świeże, z opisem bitwy na Sedgemoor. Było tam wymienione nazwisko Monmoutha. Ktoś je niedawno przyniósł. Kto? W jakim celu?

Nagły strach chwycił ją za gardło. Fenton! Uciekł spod szubienicy i przybył do Londynu. Ukrył się w domu lorda Reresby'ego. Doskonale wiedział, że nikt go tam nie znajdzie. Dziś tam nocował Harry... Catherine zakryła dłonią usta. Najgorsze przypuszczenia przyszły jej do głowy. W uszach dźwięczały słowa: „Uratuj Harry'ego!”. Boso przebiegła przez sypialnię i otworzyła wewnętrzne drzwi, prowadzące do pokoju męża. Niemal po omacku podeszła do jego łóżka.

Marcus spał. Zapewne niedawno wrócił ze spotkania. Catherine przycisnęła jedną rękę do piersi, drugą zaś delikatnie potrząsnęła męża za ramię.

- Obudź się, błagam...

Zgodnie z żołnierskim nawykiem, Marcus otworzył oczy już po pierwszym wezwaniu. Wystarczyło mu spojrzeć na drobną, kształtną postać w białej nocnej koszuli, żeby wiedzieć, kto przyszedł.

- Nie śpisz?

Zmrużył jedno oko.

- A powinienem?

- Nie żartuj. To poważna sprawa. Śmiertelnie poważna.

Marcus uśmiechnął się prowokująco, wstał i zapalił świecę

Żółty krąg światła rzucał miękkie cienie na meble stojące w sypialni.

- Żadna inna kobieta oprócz ciebie nie nachodziłaby mnie o tej porze. - Marcus z zachwytem popatrzył na żonę.

- Choć trochę mnie to dziwi. Dlaczego nie śpisz? Dręczyły cię koszmary? Chcesz, żebym poszedł z tobą do twojego pokoju? Jeżeli czai się tam jakiś demon, z łatwością go przepędzimy.

- Nie, nie... Chodzi o coś innego. Nie mogłam zasnąć i...

- Rozumiem - wpadł jej w słowo. - Może za dużo zjadłaś na kolację?

- Nie! - zawołała z rosnącą rozpaczą. Dlaczego ciągle jej przerywał?

Marcus usiadł na łóżku, wziął ją za rękę i posadził tuż obok siebie.

- Zatem po prostu się stęskniłaś? - spytał znaczącym tonem.

Ciemny rumieniec zabarwił policzki Catherine.

- Nie całkiem... - wyjąkała z trudem.

- Szkoda. Tym bardziej że już po kłopotach i możemy najzwyczajniej w świecie cieszyć się wspólnym życiem.

- Tak, Marcusie. Na pewno. Pozwól mi jednak skończyć. Chodzi... chodzi o naszą dzisiejszą wizytę w Westminsterze. Boję się o Harry'ego.

- Naprawdę? - spytał z wyraźną niechęcią. Nie mógł pogodzić się z tym, że wciąż myśli o młodym Stapletonie.

- Przestań. To nie ma nic wspólnego z dawnymi uczuciami. Po prostu wiem, że coś mu grozi. Domyślam się, kto był

w tym domu. - Próbowwała mówić spokojnie, ale zupełnie jej to nie wychodziło. Zaczynała się niemal przy każdym słowie i z trudem łapała oddech.

Marcus przyjrzał jej się uważnie.

- Rzeczywiście coś cię gnębi - stwierdził po krótkiej chwili.

- Opowiedz mi o tym.

- Mam... pewne przecucie. Och, Marcusie, tylko nie pomyśl sobie, że zwariowałam! Jestem... jestem pewna, że tam był Fenton.

- Fenton? Niemożliwe. Skąd ci to przyszło do głowy?

- Niby dlaczego niemożliwe? Przecież uciekł z Taunton. Spod samego stryczka. Zrobił to niemal pod nosem słynnego kapitana Kirke'a. Ten człowiek jest zdolny do wszystkiego! Przy pomocy przyjaciół opuścił Somerset. Przyjechał do Londynu. Na pewno wciąż miał klucz do domu twojego ojca. Pomyśl! To świetna kryjówka!

Marcus w zadumie potarł czoło. Czyżby Fenton istotnie ukrywał się w Londynie? W słowach Catherine było trochę racji, jakkolwiek wydawało się to nieprawdopodobne.

- To już wszystko? - zapytał.

- Nie. Zauważyłam coś, kiedy mnie zostawiłeś samą w gabinecie, lecz byłam tak zdenerwowana, że nie zdawałam sobie sprawy, jakie to może mieć znaczenie. Na biurku leżały ulotki. Zupełnie świeże. Była w nich mowa o Sedgemoor i o egzekucji Monmoutha. Ktoś musiał je tam przynieść najpóźniej przed kilkoma dniami. Wiem, że to Fenton! Na pewno wciąż ukrywa się w domu. Musimy jak najprędzej ostrzec Harry'ego!

Marcus wstał i zaczął się ubierać.

- No dobrze - mruknął - ale ty zostajesz.

- Ani myślę! - zaprotestowała Catherine. - Zaraz będę gotowa.

- Nie, zostaniesz tutaj. O tej porze żadna porządna kobieta nie kręci się po Londynie. Na ulicach jest pełno włóczęgów, żebraków i pijaków.

- I co z tego? Będę w zamkniętym powozie, w towarzystwie męża, który mnie obroni przed każdym napastnikiem! - odparowała podniesionym głosem. - Nie szukaj wymówek!

- Uważaj. Nie lubię, jak ktoś mi się sprzeciwia.

Na twarzy Catherine malował się zacięty upór.

- Pójdę z tobą.

- Nie. To już postanowione - odparł ze złością. - Tu będziesz bezpieczna.

- Bezpieczna? - rzuciła drwiąco. - Niczym więzień w celi! Jeżeli mnie nie weźmiesz, to pójdę piechotą przez calutką drogę aż do Westminsteru!

Marcus z ponurą miną wciągnął spodnie. Niestety, tym razem musiał przyznać się do porażki. Catherine z podniesioną głową poszła do swojej sypialni, żeby się przygotować do nocnej eskapady. W tej kwestii do niej należało ostatnie słowo. Marcus popatrzył za nią ze zmarszczonym czołem, a potem niespodziewanie uśmiechnął się szeroko.

Kiedy dotarli do Westminsteru, było jeszcze ciemno. Błask świecy z trudem rozpraszał cienie zalegające w holu. Wokoło panowała przenikliwa cisza. Zimny dreszcz przebiegł po plecach Catherine. Odruchowo przysunęła się bliżej Marcusa. Po



kilku krokach oboje spostrzegli Harry'ego. Leżał nieruchomo u podnóża schodów.

- Och nie! - jęknęła Catherine.

Marcus podbiegł do bezwładnego ciała.

- Daj tu świecę! - zawołał do żony.

Klęknął obok Harry'ego i ostrożnie przewrócił go na plecy. Stapleton jęknął głucho i z wolna otworzył oczy. Twarz miał szarą jak popiół.

- Co się stało? - bez tchu spytała Catherine.

Na jej widok Harry uśmiechnął się z wyraźnym trudem.

- Nic mi nie jest... - zapewnił ją słabym głosem. - A w ogóle... Co tutaj robisz?

Catherine ujęła go za głowę.

- Spadłeś ze schodów?

- To... dłuższa historia. Sam jej chyba jeszcze do końca nie rozumiem. Ktoś mnie zepchnął. To wiem na pewno. Usłyszałem kroki, więc poszedłem na piętro. Tam mnie zaatakował.

- Kto to był? - zapytała.

- Nie mam pojęcia. Wyskoczył z ciemności.

- Jest pan ranny? - odezwał się Marcus. - Może pan poruszać nogami?

- Chyba tak. Uderzyłem się tylko w głowę. Pomóżcie mi usiąść.

Marcus dźwignął go z ziemi. Harry oparł się plecami o ścianę i przez kilka sekund oddychał głęboko. Przyłożył dłoń do obolałej głowy. Marcus obmacał go starannie, ale nie znalazł żadnych złamań.

- Myślisz, że napastnik ciągle jest w domu? - spytała Catherine.

- Nie. Słyszałem trzask zamykanych drzwi. Zanim upadłem, zdążyłem pchnąć go nożem. Na pewno nieźle oberwał. Nie mam pojęcia, czy daleko zaszedł... - Harry ze świstem wciągnął powietrze w płuca. - Na mnie już pora. Muszę iść, bo „Expedience” odpłynie beze mnie.

- Nie dasz rady - natychmiast zaprotestowała Catherine.

- Wszystko w porządku - uspokoił ją Marcus. - Zawieziemy go na przystań.

Popatrzyła na niego z ukosa.

- W takim stanie? - zapytała cierpko. - Nie lepiej wrócić z nim do Elizabeth...

- Nie, Catherine - przerwał jej Harry. - Twój mąż ma rację. Nie powinniśmy dłużej zwlekać. Nic mi nie będzie. Trzeba się spieszyć. Proszę mi podać rękę - zwrócił się do Marcusa. - Już wstaję.

Powoli podniósł się na nogi. Wprawdzie stał nieco chwiejnie, ale po chwili o własnych siłach zrobił kilka ostrożnych kroków. Uśmiechnął się.

- Zdaje się, że ktoś wynajął pański dom, lordzie Reresby," tylko zapomniał płacić czynszu. Na wszelki wypadek powinien pan zmienić zamki.

Catherine patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami. Nie wiedziała, jak można żartować w takiej chwili.

- Lepiej późno niż wcale. - Marcus był pełen podziwu dla młodzieńca.

- To Fenton - szepnęła Catherine. - Jestem pewna, że to on. Prawdopodobnie słyszał, że Harry wybiera się na statek. Pewnie jest teraz na „Expedience”...

- Też o tym pomyślałem - przyznał Marcus. Spojrzał na Harry'ego. - Jedziemy?

- Dowlokę się do portu choćby na czworakach.

Marcus wziął go pod ramię i powoli wyszli na ulicę. Na szczęście Harry z każdym krokiem szedł już trochę lepiej. Do powozu wsiadł o własnych siłach.

Wstawał świt, kiedy wreszcie znaleźli się na nabrzeżu. Las masztów wyrastał wysoko nad spokojnymi wodami Tamizy. Archie zatrzymał powóz w pobliżu pirsu, przy którym cumował „Expedience”. Towary były już w ładowniach, a statek gotowy do drogi.

Marcus milczał przez całą drogę. Zdawał sobie sprawę, że Catherine ma rację co do Fentona i szykował się na spotkanie z nim. Otworzył drzwiczki, żeby wysiąść, i natychmiast cofnął się gwałtownie.

- Co się stało? - spytała Catherine.

- Patrol. Na pewno szukają zbiegów.

Catherine spojrzała w tę samą stronę i rzeczywiście zobaczyła dwóch żołnierzy, przepychających się przez tłum żeglarczy i dokerów. Dwóch innych stało pod ścianą składu. Jeszcze jeden szedł wzdłuż czekających statków. Poza tym życie w porcie toczyło się normalnym trybem. Nikt nie zwracał na żołnierzy najmniejszej uwagi.

Harry nisko pochylił głowę.

- Spokojnie - powiedział Marcus. - Nie patrz na pana. Na pokładzie będzie pan całkiem bezpieczny.

Zostawił żonę i Harry'ego w powozie, a sam udał się na „Expedience”. Kapitan Erskine czekał przy beczkach ze słodką wodą. Znał Marcusa od czasu, kiedy w kwietniu razem wracali z Hagi.

- Och, lord Reresby - odezwał się na powitanie - miło znów pana widzieć. Wszystko w porządku. O wyznaczonej porze podnoszę kotwicę. Czym jeszcze mogę panu służyć?

- Przywiozłem panu pasażera, o którym wspominałem wcześniej. To John Oakley.

Kapitan zmarszczył brwi.

- John Oakley? - powtórzył powoli. - To chyba pomyłka. Pan Oakley jest już na pokładzie. Przybył jakąś godzinę temu i od razu zaszył się w swojej kajucie. Podobno jest trochę chory.

- To niemożliwe. Pan Oakley w tej chwili czeka w moim powozie. Proszę opisać pańskiego pasażera, panie kapitanie.

- Dosyć wysoki, szpakowaty, o pociągłej twarzy. Pewnie po pięćdziesiątce. - Erskine zauważył wyraz twarzy Marcusa. - Zna go pan?

- Owszem.

- Zaraz go tu sprowadzę.

- Nie trzeba. Sam do niego pójde. Niech pan mu nic nie mówi.

Kapitan był zdziwiony zachowaniem gościa.

- Mogę spytać dlaczego?

- Zapewniam pana, kapitanie, że człowiek na pańskim statku

to nie John Oakley, lecz uciekinier, usiłujący zbiec przed sprawiedliwością. Nazywa się Fenton. Był jednym z głównych zwoleńników Monmoutha i niemal cudem udało mu się umknąć spod stryczka w Taunton. Kiedyś był moim rządcą, więc znam go zupełnie dobrze. Mam też swoje powody, żeby stanął przed sądem.

- To znaczy?

- Zamordował mojego ojca.

Kapitan pomału pokiwał głową.

- Szuka pan zemsty, milordzie? Nie pozwolę na zabójstwo na moim statku.

- To nie leży w moich intencjach. Chcę z nim tylko przez chwilę porozmawiać, zanim wezwiemy żołnierzy. Proszę zaledwie o kilka minut. Potem niech pan zawoła patrol.

- Co mam im powiedzieć?

- Że złapał pan pasażera na gape.

- Dobrze, zgadzam się, ale proszę o pośpiech. W ciągu pół godziny muszę stąd odpłynąć, bo inaczej stracę dobrą falę. Kajuta jest po prawej od głównego przejścia.

Marcus oparł dłoń na rękojęści szpady i poszedł we wskazanym kierunku. Przez chwilę nasłuchiwał pod zamkniętymi drzwiami, ale z kajuty nie dochodziły żadne dźwięki. Nacisnął klamkę i wszedł do środka.

- Szuka pan kapitana? - rozległ się jakiś głos. - Jest na pokładzie.

- Kapitana? - zapytał Marcus. - A skąd ten pomysł? Przyszędłem tu po ciebie, Fenton.

Były rządcą siedział skulony na krześle. Na dźwięk głosu Marcusa gwałtownie poderwał głowę i wyciągnął przed siebie rękę z pistoletem. Marcus uśmiechnął się złośliwie.

- Zatem czekałeś na mnie.

Dłoń Fentona drżała jak w febrze. Harry powiedział, że zranił napastnika nożem. Najwyraźniej rana była dość poważna.

- Nie ruszaj się - syknął Fenton z zimnym błyskiem w oku.  
- Chcesz, żeby twoja żona w tak młodym wieku została wdową?

- Odłóż broń, Fenton. Wszystko skończone.

- Po co tu przyszedłeś? Przyniosłeś mi ułaskawienie? - Mimo bólu w głosie mordercy pobrzmiwała nuta dawnego sarkazmu.

- To byłby zbytek szczęścia. - Marcus spojrzał na plamę krwi, rozszerzającą się na koszuli Fentona. - Jesteś ranny.

- To nic takiego - padła odpowiedź.

- Wątpię - rzeczowo stwierdził Marcus. - Znalazłeś się na krawędzi śmierci. Pozwól, że zadam ci pytanie, na które z góry znam odpowiedź. Chciałbym jednak usłyszeć ją od ciebie. To ty zabiłeś mojego ojca?

- Tak. Niczego się nie wypieram. Znalazł listy, które mogły pogrozić mnie i Barringtona. Musiałem go powstrzymać. Przyjechaliśmy za nim do Londynu. Niestety, Barrington nie miał dość odwagi, żeby skutecznie go uciszyć. Sam to zrobiłem, a potem spaliłem papiery - z trudem dokończył Fenton.

- Tak myślałem - stwierdził Marcus. - Dasz za to głowę, Fenton. Zabiłeś mi ojca, obraziłeś żonę. Terroryzowałeś ludzi z mojego majątku. Pogwałciłeś progi mojego domu. Teraz poniesiesz karę.

- Chcesz mnie zabić?

- Nie muszę. Zrobią to ludzie króla. - Marcus wyczuł, że ktoś za nim stoi, więc lekko odwrócił głowę. Zobaczył Catherine.

- Co ty tu robisz? - zapytał ostro. - Chcesz zginać? Powiedziałem ci, żebyś została na brzegu.

Zdenerwowana Catherine głośno przełknęła ślinę.

- Okropnie długo cię nie było... Idą tu żołnierze.

- Nic się nie martw. Kapitan Erskine wezwał ich na moją prośbę. - Popatrzył na nią. - Stapleton nadal jest w powozie?

- Tak.

- Jednak go znalazłeś... - wychrypiał Fenton. - Poleciał głową na dół... Myślałem, że go zabiłem.

- Jest zdrow i cały - odpowiedziała Catherine. - To odporny młodzieniec.

- W rzeczy samej. Jest tutaj i za chwilę zajmie moje miejsce. A może nie? - W głosie Fentona czaiła się ukryta groźba.

- Nie wezmą mnie samego.

Catherine dała krok w jego stronę.

- Nie stać pana choćby na jeden porządny uczynek? - zapytała cicho. - Harry nic panu nie zrobił. Nic dla pana nie znaczy. Nie musi pan go krzywdzić. Co prawda, nie jest republikaninem, ale przez całe życie walczył o tę samą sprawę, której pan poświęcił swe umiejętności. Wiem, że w Holandii wiernie stanie po stronie Wilhelma i księżnej Marii. Jest młody, więc zapewne zdoła ujrzeć ich na angielskim tronie. Czy to do pana nie przemawia?

- Dlaczego, miałbym mu pomagać?

- Tacy jak on pomogą nam pozbyć się Jakuba. To wszystko, co panu powiem. Niech pan go nie zdradzi.

Pistolet groźnie drgnął w dłoni Fentona. Marcus, wiedziony instynktem żołnierza, natychmiast zasłonił Catherine własnym ciałem. Chwilę później zręcznie wyłuskał broń z ręki przeciwnika i popatrzył na niego z pogardą.

- Mógłbym cię teraz zabić, ale nie chcę. W przeciwieństwie do ciebie, nie jestem mordercą.

Na trapie rozległo się echo ciężkich kroków. Po chwili w drzwiach stanęło dwóch żołnierzy. Ich czujność wzrosła, kiedy zobaczyli zakrwawionego Fentona, siedzącego bezwładnie na krześle. Zrozumieli, że to właśnie pasażer na gapę, o którym wspomniał kapitan Erskine.

Starszy z nich, barczysty i krępy, wsunął się do kajuty.

- Kim jesteście, w imieniu króla?

Błady jak ściana Fenton nic nie odpowiedział. Wyrezył go Marcus.

- To Jacob Fenton.

- A pan? - zapytał żołnierz, nieco miłszym tonem, widząc, że ma do czynienia ze szlachcicem.

- Lord Reresby z Saxton Court w Somerset. Do niedawna oficer wojsk królewskich.

Żołnierz z szacunkiem skinał głową.

- Bardzo mi miło, milordzie. Walczył pan na Sedgemoor, prawda?

- Owszem.

Surowy wyraz twarzy Marcusa dawał do zrozumienia, że



to nie czas i miejsce na takie pogaduszki. Żołnierz wyprężył się i zapytał:

- Wiemy już, że obecny tutaj pan Fenton jest pasażerem na gapę. Inne zarzuty?

- Brał czynny udział w przygotowaniach rebelii Monmoutha. Został schwytany i w ostatniej chwili uciekł spod szubienicy. Od tamtej pory się ukrywał. Ostatnio odniósł ciężką ranę.

- To pan go zranił, sir?

- Nie.

- Mogę zapytać, co też pan robi na pokładzie?

- Możecie. Dobrze znam kapitana Erskine'a. Przyszedłem z żoną, aby go pożegnać przed kolejnym rejsem. Powiedział mi, że znalazł obcego pasażera, więc postanowiłem to sprawdzić. Ze zdumieniem stwierdziłem, że to mój były rządca, Jacob Fenton, którego onegdaj zwolniłem ze służby, bo nie zgadzałem się z jego poglądami.

- Wszystko rozumiem. Powędruje do Tower. Już tam z niego wycisną odpowiednie zeznania.

- Będzie wisiał - wtrącił drugi żołnierz. - Zasłużył sobie na to.

Wszedł do kabiny i szarpnął Fentona za ramię. Były rządca syknął z bólu.

- Pan Fenton jest ranny - wtrąciła Catherine, podchodząc nieco bliżej. - Nie ma powodu, żeby traktować go brutalnie.

Fenton popatrzył na nią, a na jego twarz pojawił się wyraz rezygnacji.

- Proszę przekazać moje ukłony dla pani przyjaciela - szep-

nał tak, że usłyszała go tylko Catherine. - Może zdoła uczynić to, co mnie się nie udało.

Żołnierze wyprowadzili go na zewnątrz. Catherine spoglądała za nim dłuższą chwilę.

- Musimy być przygotowani na najgorsze - rzekł Marcus.  
- Jeśli zdradzi Harry'ego...

- Wątpię, żeby to zrobił - przerwała mu Catherine.

- Skąd wiesz?

- Kobięca intuicja - odparła. Nie chciała mu powiedzieć o ostatnich słowach Fentona. Czekwała, co się dalej stanie. - Kiedy odejdą, weźmiemy Harry'ego na pokład.

Aresztowanie Fentona przyciągnęło niemały tłumek gapiów, ale po kilku minutach ludzie się rozeszli. Marcus zaprowadził Harry'ego Stapletona do kajuty Kapitan Erskine nie stawiał żadnych pytań. Spieszył się, by odpłynąć ze sprzyjającą falą. Pożegnanie było więc bardzo krótkie i już po chwili „Expedience” pożeglowała w dół Tamizy. Catherine i Marcus wrócili do powozu.

- Co dalej? - spytała Catherine.

- Powiedz mi, że już go nie kochasz - nieoczekiwanie odezwał się Marcus.

Catherine popatrzyła na niego z łzami w oczach.

- Nie pamiętasz, że ci to mówiłam już milion razy?! - zawołała. - Dobrze, powtórzę raz jeszcze: w moim sercu jest miejsce wyłącznie dla ciebie. Jestem twoją żoną, Marcusie. Niczego więcej nie pragnę - dodała z westchnieniem. - Ostatnie zmartwienia oddaliły nas od siebie. Na szczęście już po wszystkim.

Przez kilka minut jechali w milczeniu.

- Dlaczego nagle tak umilkłaś, Catherine? - z ciekawością zapytał wreszcie Marcus. - Jakbyś coś sobie przypomniała. O czym myślisz?

- Hm... O niczym - odparła z przekorą w głosie.

Westchnął głęboko. Catherine zawtórowała mu po chwili i oparła głowę na jego ramieniu. Przymknęła oczy.

- Jestem szczęśliwa - powiedziała cicho. Znowu zapadła cisza. Marcus przytulił ją do siebie.

- Bez względu na to, co się wydarzyło ostatnimi dniami, nigdy nie przestałem cię kochać, moja najdroższa - powiedział poważnym tonem.

Jego wyznanie było tak niespodziewane, że Catherine nie posiadała się ze zdumienia. Odchyliła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Kochasz mnie? - spytała ze zdumieniem.

Marcus patrzył na nią z niekłamaną miłością.

- Ależ tak! Kocham i nigdy nie przestanę. Wyglądasz na zaskoczoną - dodał.

- Bo nie przypuszczałam, że to kiedyś powiesz - odparła, na powrót sadowiac się wygodnie w jego ramionach. - W takim razie jak też nie będę dłużej tego ukrywać. Kocham cię, Marcusie.

W tym momencie mąż zawładnął jej ustami w namiętym pocałunku. Przez pewien czas żadne z nich nie myślało o tym, co było kiedyś i co jeszcze będzie. Mieli wyłącznie siebie.

- Zostaniemy w Londynie? - spytała Catherine, kiedy Marcus nareszcie przestał ją całować.

- Tak - odparł. - Przynajmniej na razie. Poczekamy, aż w kraju trochę się uspokoi.

- Ale potem wrócimy do Saxton Court?

Marcus zerknął na jej zaróżowioną twarz.

- Dlaczego pytasz? Nie lubisz Londynu?

- To nie najlepsze miejsce do wychowywania dzieci.

- Kiedy będziesz brzemienna, natychmiast cię stąd zabiorę. Pojedziemy do Somerset.

- Więc najlepiej już jedźmy.

Kilka sekund trwało, zanim Marcus zrozumiał, co mu chciała powiedzieć.

- Słucham? - spytał z niedowierzaniem. - Zaraz... Ty...

Szeroko otworzył oczy.

- Wreszcie zwróciłeś na mnie uwagę.

- Spodziewasz się dziecka?

- Tak, mój miły.

- Kiedy to się stało?

- Już za pierwszym razem. Jeszcze w Hadze.

Nie wierzył własnym uszom.

- To... to cztery miesiące temu!

- Przecież wiedziałeś, czym to grozi.

- Wtedy o tym zupełnie nie myślałam.

Roześmiała się.

- Ja także.

- Jesteś szczęśliwa?

- Tak - odparła cicho i z nadzieją położyła ręce na brzuchu.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś wcześniej?

Catherine skrzywiła się na widok jego naburmuszonej miny.

- Czekałam na odpowiedni moment.
- Aż do dzisiaj?
- Właśnie. Harry opuścił nas na zawsze, a ty wreszcie przestałaś się na mnie boczyć. Wszystko się zmieni. Jesteś zadowolony?

Marcus drgnął, jakby obudzony z długiego letargu. Chwytał żonę w ramiona.

- Zadowolony? To mało powiedziane! Naprawdę nigdy nie przypuszczałem, że dożyję takiego szczęścia. Mój ty głuptasku - szepnął do niej czule - powinnaś mi powiedzieć o tym już dawno temu. Nie bój się, będę dbał o ciebie jak nigdy dotąd. Obiecuję, ale ty musisz mi też obiecać, że będziesz bardzo ostrożna. Dziecko to poważna sprawa...

Catherine *wybuchnęła śmiechem.*

- Tak, przyrzekam, ale bez przesady. Jestem młoda, silna i zdrowa. Nie musisz o mnie się obawiać. Będziesz miał potomka.

W oczach Marcusa zamigotały tajemnicze błyski.

- Trzymam cię za słowo, moja ukochana.

Jacob Fenton zmarł od rany zadanej nożem przez Harry'ego Stapletona. Nie doczekał procesu.

Sędzia Jeffreys oczyścił tereny Somerset z buntowników. W krótkim czasie rozpatrzył niemal dwa tysiące spraw. Główni rebelianci zostali straceni, inni na długie lata poszli do więzienia lub zostali wysłani do zamorskich kolonii, do pracy na plantacjach. Egzekucje trwały niemal przez całą jesień. To były najczarniejsze dni panowania króla Jaku-

ba II. Pamięć o wyczynach Jeffreysa przetrwała na zachodzie przez całe pokolenia.

Aż wreszcie nadszedł czas, kiedy Marcus i Catherine mogli spokojnie wrócić do Saxton Court. Marcus nadal uważał, że rebelia Monmoutha była poważnym błędem, ale nie zamierzał powrócić do królewskiej służby. Był szczęśliwy u boku żony.

Król Jakub II jeszcze przez trzy lata usiłował nawrócić Anglię na katolicyzm i poniósł sromotną klęskę. W końcu nawet John Churchill i część jego dowódców - w tym kapitan Kirke - przeszła na drugą stronę i poparła roszczenia Wilhelma Orańskiego i jego żony Marii. Wilhelm zwyciężył tam, gdzie przegrał Monmouth. Piątego listopada 1688 roku wyładował w Torbay. Wraz z nim wróciło z Holandii wielu patriotów, wśród nich żonaty już od roku Harry Stapleton. Jakub II uciekł do Francji i już nigdy więcej nie ujrzął brzegów Anglii.

Był piękny letni dzień. Marcus płynął łodzią po jeziorze. Siedział przy wiosłach, a jego trzyletni syn, Charles, zawzięcie wymachiwał wędką. Właśnie dziś złowił swoją pierwszą rybę. Ojciec pomógł mu ją wciągnąć do łódki.

Catherine czekała na nich na brzegu, na łące, tuląc do siebie maleńką, dwumiesięczną córeczkę. Pomachała wesoło do obu wędkarzy. Marcus skierował łódkę w stronę brzegu, żeby Charles mógł się pochwalić przed mamą swoją zdobyczą.

Catherine położyła córkę na kocu i pogłaskała chłopca po ciemnej główce.

- Nasz syn przejawia wiele talentów - zauważył Marcus. - Na pewno nie będziemy się przy nim nudzić.

- Szkoda, że ryba pójdzie do garnka! - Catherine się roześmiała. - Na jego miejscu zachowałabym taką zdobycz na wieki.

- Następna na pewno będzie dużo większa - odparł.

Przez chwilę stali razem, ramię w ramię, patrząc na ciche wody jeziora.

- Wydaje mi się, że byłam tu zaledwie wczoraj - powiedziała Catherine. - Pamiętasz tamten dzień tuż po moim przyjeździe do Saxton Court? Staliśmy wtedy w tym samym miejscu i obserwowaliśmy promienie słońca, tańczące na wodzie.

- Pamiętam, Catherine. - Marcus odwrócił się w jej stronę.  
- Już wtedy cię kochałem i wciąż kocham.

Serce Catherine śpiewało z radości. Spojrzała mężowi w oczy. Była tak szczęśliwa, że na jego słowa nie znajdowała żadnej innej odpowiedzi poza prostym wyznaniem:

- Ja też cię kocham.